

AGATHA CHRISTIE

MORD
NOCY LETNIEJ



AGATHA CHRISTIE

**MORD
NOCY LETNIEJ**

Zapraszamy na www.publicat.pl

Tytuł oryginału
Midsummer Mysteries

Projekt okładki i kart tytułowych
NATALIA TWARDY

Koordinacja projektu
PATRYK MŁYNEK

Korekta redakcyjna
IWONA HUCHLA

Redakcja techniczna
KRZYSZTOF CHODOROWSKI

Midsummer Mysteries Copyright © 2021 Agatha Christie Limited.
All rights reserved.

AGATHA CHRISTIE, POIROT, MARPLE, TOMMY AND TUPPENCE and the Agatha Christie Signature are registered trademarks of Agatha Christie Limited in the UK and elsewhere. All rights reserved.

www.agathachristie.com

Translation © copyright by Prószyński Media sp. z o.o. (dotyczy opowiadań zaczerpniętych ze zbioru *Poirot prowadzi śledztwo*)

Polish edition © Publicat S.A. MMXXIII (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora, w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.

All rights reserved.

ISBN 978-83-271-6462-9

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)



jest znakiem towarowym Publicat S.A.

PUBLICAT S.A.

61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24
tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00
e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66
e-mail: wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl

Spis treści

Karta redakcyjna

Kolekcja jubileuszowa Agaty Christie

Wprowadzenie. Lato w Pirenejach

Krew na bruku

Podwójny dowód

Śmierć na Nilu

Aleja Arlekina

Sprawa włoskiego arystokraty

Jane szuka pracy

Zniknięcie pana Davenheima

Szmaragd radży

Wyrocznia delficka

Złowrogi interesant

Niewiarygodna kradzież

Przypisy

W KOLEKCJI JUBILEUSZOWEJ
ukazały się:

- *A.B.C.*
- *Czarna kawa*
- *Dom zbrodni*
- *Dwanaście prac Herkulesa*
- *Entliczek, pentliczek*
- *I nie było już nikogo*
- *Karty na stół*
- *Kieszon pełna żyta*
- *Kurtyna*
- *Mord nocy letniej*
- *Morderstwo na plebanii*
- *Morderstwo na polu golfowym*
- *Morderstwo odbędzie się...*
- *Morderstwo w Boże Narodzenie*
- *Morderstwo w Mezopotamii*
- *Morderstwo w Orient Expressie*
- *Noc w bibliotece*
- *Pani McGinty nie żyje*
- *Pięć małych świnek*
- *Rendez-vous ze śmiercią*
- *Samotny Dom*
- *Strzały w Stonygates*
- *Śmierć lorda Edgware'a*
- *Śmierć na Nilu*

- *Śmierć nadchodzi jesienią*
- *Tajemnica gwiazdkowego puddingu*
- *Tajemnicza historia w Styles*
- *Wielka Czwórka*
- *Wigilia Wszystkich Świętych*
- *Zabójstwo Rogera Ackroyda*
- *Zagadka Błękitnego Ekspresu*
- *Zatrute pióro*
- *Zbrodnie zimową porą*
- *Zerwane zaręczyny*
- *Zło czai się wszędzie*

WPROWADZENIE

LATO W PIRENEJACH

Przełożyły
Magdalena Konikowska,
Teresa Lechowska



Fragment pochodzi z
Autobiografii

Fragment pochodzi z
Autobiografii

Ojciec i Madge wyprawiali się często na konne przejażdżki. Pewnego dnia na skutek moich błagań oznajmiono mi, że nazajutrz pojedę razem z nimi. Byłam niezwykle podniecona. Mama żywiła pewne wątpliwości, ale ojciec szybko je odrzucił.

– Bierzemy ze sobą przewodnika – powiedział – a on przywykł do dzieci i przypilnuje, żeby nie spadła.

Nazajutrz rano przyprowadzono trzy konie. Wyruszyliśmy. Jechaliśmy zygzakami po stromych ścieżkach i ogromnie mi się podobała jazda na grzbiecie olbrzymiego, moim zdaniem, konia. Przewodnik zatrzymywał go, zrywał kwiaty i wręczał mi bukietki, żebym je sobie zatykała za wstążkę kapelusza. Wszystko szło świetnie, ale gdy wjechaliśmy na szczyt i przygotowywaliśmy się do lunchu, przewodnik przeszedł sam siebie. Przybiegł do nas ze złapanym osobiście przepięknym motylem.

– *Pour la petite mademoiselle!*^[1] – zawołał. Po czym wyciągnął z kłapy szpilkę, nabił na nią motyla i przypiął go do mojego kapelusza.

Och, co za zgroza! Czułam, jak biedny motyl trzepocze skrzydłami, walcząc ze szpilką. Odczuwałam wprost katusze, gdy uderzał skrzydełkami w kapelusz. I oczywiście nie mogłam niczego powiedzieć. W moim umyśle kotłowało się zbyt wiele sprzecznych nakazów lojalności. Z jednej strony przewodnik kierował się uprzejmością – przyniósł dla mnie motyla. Był to szczególny dar. Jak więc bym mogła zranić jego uczucia, oświadczając, że go nie chcę? Jakże gorąco pragnęłam, żeby go sobie zabrał! A przez cały czas motyl trzepotał skrzydłami i umierał. Co za okropny trzepot na moim kapeluszu. Dziecko może zrobić jedną tylko rzecz w takich okolicznościach – rozpłakałam się.

Im bardziej wszyscy zaniepokojeni pytali mnie, co się stało, tym bardziej nie mogłam się zdobyć na wyjaśnienie.

– O co chodzi? – dopytywał się ojciec. – Coś cię boli?

– Może ona się boi jazdy na koniu – wtrąciła moja siostra.

A ja mówiłam „nie” i „nie”. Nie boję się i nic mnie nie boli.

– Jest zmęczona – orzekł ojciec.

– Nie – odezwałam się.

– No to wobec tego: co się stało?

Nie mogłam powiedzieć. Oczywiście, że nie mogłam tego powiedzieć. Stał tam przewodnik i patrzył na mnie z uprzejmą i zakłopotaną miną.

– Jest za mała – rzekł ojciec dość zirytowany. – Nie powinniśmy jej byli zabierać na tę wycieczkę.

Płakałam jeszcze bardziej. Zepsułam chyba dzień ojcu i siostrze, wiedziałam, że tak jest, ale nie mogłam przestać. Miałam tylko nadzieję (i modliłam się o to), że on albo choć Madge domyślą się, o co chodzi. Na pewno spojrzą na tego motyla, zobaczą, co się z nim dzieje, i powiedzą: „Ona może nie chce mieć tego motyla na kapeluszu”. A jeśli powiedzą to oni, wszystko będzie w porządku. Lecz ja im tego powiedzieć nie mogę. Co za straszny dzień! Odmówiłam jedzenia lunchu. Siedziałam tylko i płakałam, a motyl trzepotał skrzydłami. W końcu przestał. Powinłam się wówczas poczuć lepiej. Jednak byłam wtedy już tak nieszczęśliwa, że nic nie mogło mi poprawić samopoczucia.

Zjechaliśmy znowu na dół, ojciec zdecydowanie w złym nastroju, siostra zaniepokojona, przewodnik nadal słodki, grzeczny i zakłopotany. Na szczęście nie wpadł na pomysł, żeby podarować mi następnego motyla na rozweselenie. Wróciliśmy do hotelu z żałosnymi minami i poszliśmy do naszego salonu, gdzie siedziała mama.

– O Boże! – wykrzyknęła. – Co się stało? Czy Agata się potłukła?

– Nie mam pojęcia – odparł ojciec z irytacją. – Nie wiem, co jest z tym dzieckiem. Przypuszczam, że coś ją boli albo coś w tym rodzaju. Nie przestaje płakać od lunchu i w ogóle nic nie jadła.

– O co chodzi, Agato? – spytała matka.

Nie mogłam jej tego powiedzieć. Tylko patrzyłam na nią w milczeniu, a łzy płynęły mi po policzkach. Obserwowała mnie uważnie przez kilka minut, po czym zapytała:

– Kto jej przyczepił do kapelusza tego motyla?

Madge wyjaśniła, że zrobił to przewodnik.

– Aha – powiedziała mama. Po czym zwróciła się do mnie: – Nie podobało ci się to, prawda? Motyl był żywy i myślałaś, że to go boli?

Och, co za ulga, cudowna ulga, że ktoś wie, co myślisz, i mówi to, uwalniając cię w końcu od długotrwałego przymusu milczenia. Rzuciłam się ku niej jak szalona, objęłam ją za szyję i wyjąkałam:

– Tak, tak, tak. On się trzepotał. Trzepotał. A tamten pan był taki uprzejmy i chciał mi sprawić przyjemność. Ja nie mogłam nic powiedzieć.

Rozumiała to wszystko i poklepała mnie delikatnie po plecach. Nagle cała ta sprawa jakby zaczęła się odsuwać w dal.

– Świetnie rozumiem, co czułaś – zapewniła mnie moja matka. – Wiem. Ale to już minęło, a zatem nie będziemy więcej o tym mówić.

KREW NA BRUKU

Przełożył
Tomasz Szlagor



Opowiadanie pochodzi ze zbioru
Trzyście zagadek

Opowiadanie pochodzi ze zbioru

Trzyście zagadek

– To dziwne – powiedziała Joyce Lemprière – ale mam pewne opory przed opowiedzeniem wam tej historii. Wydarzyła się dość dawno, dokładnie pięć lat temu, ale od tamtego czasu w pewnym sensie wciąż mnie prześladowuje. Ma jakby dwa oblicza. Z wierzchu jest pogodna, radosna, ale pod spodem kryje się makabra. Dziwne jest też to, że obraz, który wtedy namalowałam, wydaje się skażony tą samą atmosferą. Na pierwszy rzut oka to zwykły, prosty obrazek stromo pnącej się pod górę, skąpanej w słońcu kornwalijskiej uliczki. Jeśli jednak przyjrzeć się uważniej, można dostrzec w nim coś złowrogiego. Nigdy go nie sprzedałam i nigdy na niego nie patrzę. Stoi w rogu studia odwrócony do ściany. Miejscowość nazywa się Rathole. To mała rybacka osada w Kornwalii, bardzo malownicza, być może aż za bardzo. Ma w sobie zbyt wiele pocztówkowego klimatu. Są tam sklepiki, w których przystrzyżone na pazia dziewczęta w fartuchach kaligrafują na pergaminie pouczające sentencje. Wszystko jest tam ładne i urocze, ale zbyt przesłodzone.

– Wyobrażam sobie – mruknął Raymond West. – To wszystko przez turystów... i dla nich, jak sądzę.

Joyce przytaknęła skinieniem głową.

– W Rathole właśnie tak jest. W każdym razie wracając do mojej historii... Pojechałam do Kornwalii na dwa tygodnie, żeby trochę pomalować w plenerze. W Rathole stoi stara gospoda Polharwith Arms. Rzekomo to jedyny budynek, który ostał się po tym, jak w tysiąc pięćset którymś tam roku wioskę zrównali z ziemią Hiszpanie.

– Zrównali z ziemią? – wtrącił Raymond West, marszcząc czoło. – Nie fantazjuj, Joyce.

– W każdym razie wytoczyli na brzeg działa i ostrzelali wioskę, burząc domy. Nie ma to zresztą żadnego znaczenia. Gospoda była wiekowa i cudowna. Przed wejściem znajdował się ganek wsparty na czterech filarach. Znalazłam sobie dogodne miejsce i właśnie zabierałam się do pracy, kiedy krętą drogą w dół zbiega z wolna nadszedł samochód. Oczywiście musiał się zatrzymać przed gospodą, akurat tam, gdzie mi najbardziej przeszkadzał. Wysiedli z niego kobieta

i mężczyzna. Nie przyglądałam się im zbyt uważnie. Ona miała na sobie liliową lnianą sukienkę i odpowiednio dobrany kapelusz.

Po chwili mężczyzna wrócił do auta i przestawił go bliżej nabrzeża, za co mu byłam bardzo wdzięczna. Wracając do gospody, przeszedł koło mnie. W tej samej chwili, jak na złość, zajechał kolejny samochód. Wsiadła z niego kobieta ubrana w najbardziej jaskrawą perkalową suknię, jaką w życiu widziałam, drukowaną w szkarłatne poinsecje, o ile dobrze pamiętam. W dodatku miała na głowie jeden z tych wielkich etnicznych słomianych kapeluszy, pochodzących chyba z Kuby, koloru płomiennej purpury.

Mężczyzna na jej widok zawołał zdziwiony: „Carol, co za niespodzianka! Że też spotykamy się akurat tutaj, na tym odludziu. Nie widziałem cię całe lata. Jest ze mną Margery... to znaczy moja żona. Koniecznie musisz ją poznać”.

Rozmawiając, pomaszrowali uliczką ramię w ramię w kierunku gospody. Żona mężczyzny wyszła ze środka i zmierzała ku nim z naprzeciwka. Kiedy owa Carol mnie mijiała, zerknęłam na nią przelotnie. Dojrzałam jasno upudrowany podbródek i ogniście czerwone usta. Przemknęło mi przez myśl, że Margery nie będzie zachwycona jej widokiem. Nie widziałam jej z bliska, ale wydała mi się mało atrakcyjna, z wyglądu pruderyjna i przesadnie układna.

Oczywiście nic mi było do tego, czasem jednak, kiedy widzi się takie osobliwe migawki z cudzego życia, refleksje nasuwają się same. Z miejsca, w którym stałam, słyszałam urywki ich rozmowy. Umawiali się na wspólną kąpiel w morzu. Mąż, który najwyraźniej miał na imię Denis, zamierzał wypożyczyć łódkę i powiosłować wzdłuż wybrzeża. Zaproponował zwiedzanie słynnej grotty, odległej o nieco ponad półtora kilometra. Carol też chciała ją zobaczyć, ale zasugerowała, żeby tam dojść ścieżką wzdłuż klifu, od strony lądu. Wyznała, że nie cierpi łódek. Ostatecznie ustalili, że Carol pójdzie wzdłuż klifu, a Denis i Margery dopłyną tam łódką i wszyscy spotkają się przy grocie.

Słuchając ich, nabrałam ochoty na plażowanie. Poranek był upalny, a mnie malowanie jakoś nie szło. Poza tym uznałam, że po południu będzie lepsze światło. Spakowałam się więc i pomaszrowałam na małą plażę, którą sama odkryłam. Szło się tam w stronę przeciwną do tej, gdzie znajdowała się grotta. Po kąpeli czułam się fantastycznie. Zjadłam lunch złożony z konserwowych ozorków i dwóch pomidorów, a po południu wróciłam pełna zapału do pracy twórczej.

Wydawało się, że całe Rathole śpi. Miałam rację: po południu światłocien był znacznie bardziej wyrazisty. Uczyniłam Polharwith Arms motywem przewodnim mojego obrazu. Promień słońca padał ukośnie na bruk, w niezwykle sposób rozświetlając punkt przed wejściem do gospody. Tuż nad nim dojrzałam dwa stroje kąpielowe, jeden szkarłatny, drugi granatowy, wiszące na balkonie i suszące się na słońcu, założyłam więc, że wycieczka do groty się udała.

Ponieważ koniecznych było kilka poprawek w rogu obrazu, na parę chwil schyliłam się, by je nanieść. Kiedy znowu uniosłam głowę, zobaczyłam mężczyznę opierającego się o jeden z filarów ganku Polharwith Arms. Dosłownie jakby wyrósł spod ziemi. Jego strój wskazywał, że jest rybakiem. Miał długą ciemną brodę i gdybym szukała modelu srogiego kapitana hiszpańskiego galeonu, on nadawałby się idealnie. Zaczęłam gorączkowo rysować. Chciałam go uchwycić, zanim odejdzie, chociaż z przybranej przez niego pozy można było wnioskować, że jest gotów podpirać ten filar całą wieczność.

W końcu ruszył się z miejsca, ale na szczęście zdążyłam go naszkicować. Podszedł do mnie i zagadnął. Ten facet to miał gadane!

„Rathole – oświadczył – było kiedyś bardzo ciekawym miejscem”.

Odparłam, że wiem, ale bynajmniej go to nie zniechęciło. Opowiedział mi całą historię o tym, jak Hiszpanie zrównali z ziemią, przepraszam, ostrzelali wioskę i że właściciel Polharwith Arms zginął tu jako ostatni. Stał na progu gospody, kiedy został pchnięty szpadą przez hiszpańskiego kapitana. Bryznęła krew i przez następnych sto lat nikomu nie udało się jej zmyć z bruku.

Wszystko to doskonale pasowało do nastroju sennego, leniwego popołudnia. Mężczyzna mówił bardzo łagodnym tonem, a mimo to w jego głosie pobrzmiwało coś złowrogiego. Niby starał mi się przypodobać, ale czułam, że pod tą lukrowaną warstewką kryje się nad wyraz gwałtowna natura. Słuchając go, z całą mocą pojęłam, jakim złem były inkwizycja i wszystkie te okrucieństwa, których w tamtych czasach dopuszczali się Hiszpanie.

Kiedy on mówił, ja malowałam. Nagle uświadomiłam sobie, że pod wpływem jego historii dodałam do obrazu coś z własnej wyobraźni. W miejscu, gdzie przed wejściem do Polharwith Arms promień słońca padał na bruk, domalowałam czerwone plamki. Wydało mi się zdumiewające, że mój umysł potrafi ze mną pogrywać w taki sposób. Kiedy jednak spojrzałam w stronę

gospody, przeżyłam kolejny szok. Moja ręka machinalnie namalowała to, co zobaczyły oczy: krople krwi na skąpanym w słońcu bruku!

Wpatrywałam się w to miejsce przez dłuższą chwilę. Następnie zacisnęłam powieki i powiedziałam sobie: „Nie bądź głupia, przecież tam nie ma żadnej krwi”. Otworzyłam oczy, ale plamy wciąż tam były.

Nagle poczułam, że dłużej tego nie znoś. Przerwałam rybakowi jego dywagacje.

„Wzrok mnie chyba zawodzi – odezwałam się. – Czy te plamy na bruku to krew?”

Popatrzył na mnie z uprzejmą pobłażliwością.

„Już ich tam dawno nie ma, proszę pani. To, o czym opowiadam, wydarzyło się prawie pięćset lat temu”.

„Tak, rozumiem – odparłam – ale teraz, tam na bruku...”

Słowa uwięzły mi w gardle. Wiedziałam, po prostu wiedziałam, że nie zobaczy tego, co ja. Wstałam i trzęsącymi się rękami zaczęłam zbierać swoje rzeczy. Wtedy z gospody wyszedł ów młody mężczyzna, który rano wysiadał z samochodu. Rozejrzał się po ulicy z wyrazem konsternacji na twarzy. Na balkonie pokazała się jego żona i zabrała stroje kąpielowe. Mężczyzna ruszył w kierunku samochodu, ale nagle skręcił, przeszedł na drugą stronę uliczki i zagadnął rybaka.

„Powiedzcie, dobry człowieku... Nie wiecie może, czy kobieta, która przyjechała tamtym drugim samochodem, już wróciła?”

„Ta w sukience w kwiaty? Nie, proszę pana, nie widziałem jej. Poszła rano wzdłuż klifu w kierunku groty”.

„Tak, to wiem. Kąpaliśmy się wszyscy razem w morzu, a potem ona udała się na piechotę w drogę powrotną i od tej pory jej nie widzieliśmy. Przecież nie mogło jej to zająć tyle czasu. Tutejsze klify nie są szczególnie niebezpieczne, prawda?”

„To zależy, proszę, pana, gdzie się pójdzie. Najlepiej zabrać ze sobą kogoś, kto dobrze zna tę okolicę”.

Najwyraźniej miał na myśli siebie i właśnie zaczął rozwijać ten temat, ale młody mężczyzna nie słuchał go dłużej. Pobiegł z powrotem w kierunku gospody i zawołał do swojej żony na balkonie:

„Margery, Carol jeszcze nie wróciła! Dziwne, prawda?”

Nie dosłyszałam odpowiedzi żony, ale jej mąż kontynuował:

„Nie możemy dłużej czekać. Musimy jechać dalej do Penrithar. Jesteś gotowa? Podstawię samochód”.

Jak powiedział, tak zrobił, po czym oboje odjechali. Tymczasem ja usiłowałam przekonać samą siebie, jak nedorzeczne są wytwory mojej wyobraźni. Kiedy samochód odjechał, podeszłam do budynku gospody i obejrzałam z bliska bruk przed wejściem. Oczywiście nie było tam żadnych plam krwi. A więc po prostu je sobie uroiłam. Niemniej jednak ta świadomość sprawiła, że poczułam się jeszcze bardziej nieswojo. Tkwiąc nadal przed gospodą, usłyszałam głos rybaka:

„Wydawało się pani, że widzi krew, co?”

Kiwnęłam głową.

„To dziwne, bardzo dziwne. Mamy tu taki przesąd, proszę pani. Jeśli ktoś zobaczy te plamy krwi...” – Zawiesił głos.

„To... co wtedy?” – zapytałam.

Mówił łagodnie, z wyraźnym kornwalijskim akcentem, ale gładko i bez gwarowych naleciałości, co kazało w nim widzieć człowieka wykształconego.

„Mówi się, szanowna pani, że jeśli te krwawe plamy komuś się ukążą, w ciągu doby zawita tu śmierć”.

Aż mnie zmroziło! Rybak znowu się rozgadał:

„W tutejszym kościele jest bardzo interesująca tablica na temat śmierci...”

„Nie, dziękuję” – powiedziałam stanowczo, odwróciłam się na pięcie i pomaszerowałam uliczką w kierunku domu, w którym się zatrzymałam. Właśnie dotarłam na miejsce, kiedy w oddali dostrzegłam kobietę, ową Carol, podążającą ścieżką wzdłuż klifu. Śpieszyła się. Na tle szarych skał wyglądała jak szkarłatny kwiat jakiejś trującej rośliny. Jej kapelusz miał kolor krwi...

Znowu musiałam się otrząsnąć. Tego dnia wszystko kojarzyło mi się z krwią.

Później usłyszałam jej samochód. Byłam ciekawa, czy też wybierała się do Penrithar, ale skręciła w lewo, w przeciwnym kierunku. Obserwowałam, jak jej samochód wspina się krętą drogą po zboczu i znika z pola widzenia. Nie wiedzieć czemu, odetchnęłam z ulgą. Rathole odzyskało swój senny klimat.

– Jeśli to już wszystko – oświadczył Raymond West, gdy tylko Joyce zamilkła – od razu mogę podać rozwiązanie tej zagadki. Niestrawność, plamy przed oczami po posiłku.

– Nie, to jeszcze nie wszystko – zaprzeczyła Joyce. – Posłuchajcie, jaki był dalszy ciąg tej historii. Dwa dni później przeczytałam w gazecie notatkę pod tytułem *Śmiertelny wypadek podczas kąpieli*. Napisano, że pani Dacre, żona kapitana Denisa Dacre’a, utonęła w położonej nieco dalej zatoczce Landeer. Ona i jej mąż mieszkali w pobliskim hotelu. Tamtego dnia postanowili popływać w morzu. Kiedy jednak zerwał się zimny wiatr, kapitan Dacre uznał, że na kąpiel jest zbyt chłodno, dlatego on i parę innych osób z hotelu zdecydowało się pograć w golfa. Pani Dacre uparła się jednak, że chce popływać, i poszła sama. Gdy nie wróciła, zaniepokojony mąż w towarzystwie znajomych udał się na plażę. Tam znaleźli jej ubrania leżące przy skałach, ale ona sama przepadła bez śladu. Dopiero prawie tydzień później morze wyrzuciło jej ciało na brzeg, w pewnej odległości od miejsca zaginięcia. Na głowie miała ślad po silnym uderzeniu, które nastąpiło przed śmiercią. Założono, że skacząc do morza, uderzyła głową o skałę. O ile mogłam się zorientować, jej śmierć nastąpiła niemal dokładnie dwadzieścia cztery godziny po tym, jak zobaczyłam plamy krwi na bruku.

– Protestuję – powiedział sir Henry. – To nie jest zagadka, tylko historia o duchach. A panna Lemprière musi być medium.

Pan Petherick odkaszlnął na znak, że chciałby zabrać głos.

– Jedna rzecz nie daje mi spokoju – wyznał. – Ten ślad po ciosie w głowę. Obawiam się, że nie możemy wykluczyć przestępstwa. Nie mamy jednak dość informacji, żeby rozwinąć tę teorię. Halucynacja albo wizja panny Lemprière jest niewątpliwie intrygująca, ale nie bardzo rozumiem, na czym mielibyśmy się oprzeć w naszych rozważaniach.

– Niestrawność i zbieg okoliczności – zawyrokował Raymond. – Przecież nie możesz być pewna, czy to byli ci sami ludzie. Poza tym ta klątwa, czy cokolwiek to było, dotyczyłaby jedynie stałych mieszkańców Rathole.

– Coś mi mówi – stwierdził sir Henry – że ten tajemniczy rybak jest w jakiś sposób uwikłany w tę historię. Zgadzam się jednak z panem Petherickiem, że panna Lemprière podała nam za mało informacji.

Joyce popatrzyła na doktora Pendera, ale on z uśmiechem pokręcił głową.

– To bardzo interesująca historia – przyznał – ale obawiam się, że sir Henry i pan Petherick mają rację. Zbyt mało wiemy, żeby pokusić się o jakąkolwiek konkluzję.

Joyce spojrzała badawczo na pannę Marple, która uśmiechnęła się do niej.

– Ja też uważam, moja droga, że to trochę nie fair z twojej strony – stwierdziła. – Jednak akurat mnie to nie przeszkadza. Chcę przez to powiedzieć, że jako kobieta od razu zwróciłam uwagę na wątek ubrań. W związku z tym sądzę, że to nie jest zagadka dla mężczyzn. Swoją drogą musiała naprawdę szybko się przebierać. Cóż za podła kobieta! A ten mężczyzna... jeszcze większy nikczemnik!

Joyce nie mogła oderwać wzroku od starszej pani.

– Ciociu Jane – powiedziała. – To znaczy, panno Marple... Myślę, że pani już zna prawdę.

– No cóż, moja droga – odrzekła panna Marple – to dużo łatwiejsze dla mnie, siedzącej tu sobie spokojnie, niż to było dla ciebie. Poza tym jesteś artystką, więc łatwo udziela ci się atmosfera, prawda? Kiedy jednak siedzi się we własnym fotelu i robi na drutach, widzi się same fakty. Plamy krwi kapiącej na bruk ze stroju kąpielowego, który wisiał na balkonie. Strój był czerwony, więc ci zbrodniarze nie zauważyli, że nasiąkł krwią. Biedna dziewczyna!

– Pani wybaczy, panno Marple – wtrącił sir Henry – ale nie nadążam. Pani i panna Lemprière najwyraźniej rozprawiacie o czymś, co nam, mężczyznom, zupełnie umyka.

– Opowiem wam teraz, jak skończyła się ta historia – oznajmiła Joyce. – Było to rok później. Przebywałam w małym nadmorskim kurorcie na wschodnim wybrzeżu. Właśnie malowałam, kiedy nagle doznałam tego dziwnego uczucia, że doświadczam czegoś, co zdarzyło się już wcześniej. Zobaczyłam dwoje ludzi, mężczyznę i kobietę, witających się z trzecią osobą: kobietą ubraną w perkalową suknię w szkarłatne poinsecje.

„Carol, co za niespodzianka! Minęło tyle lat! Nie znasz mojej żony, prawda? Joan, pozwól, że ci przedstawię... Panna Harding, moja znajoma z dawnych lat”.

Od razu rozpoznałam tego mężczyznę. To był ten sam Denis, którego widziałam w Rathole. Miał inną żonę, Joan zamiast Margery, ale w tym samym typie: młodą, mało atrakcyjną i bardzo niepozorną. Przez chwilę myślałam, że

postradałam zmysły. Zaczęli umawiać się na wspólną kąpiel w morzu. A teraz powiem wam, co zrobiłam. Od razu poszłam prosto na posterunek policji. Spodziewałam się, że wezmą mnie za wariatkę, ale wcale się tym nie przejmowałam. Okazało się, że miałam nosa. Na posterunku zastałam człowieka ze Scotland Yardu, który przyjechał właśnie w tej sprawie. Okazało się, iż trudno mi o tym mówić, że policja podejrzewa Denisa Dacre'a o kilka zbrodni! Zresztą to nie było jego prawdziwe nazwisko, używał różnych, za każdym razem innego. Poznawał dziewczęta, zwykle właśnie takie ciche i niepozorne, które nie miały wielu krewnych ani przyjaciół, następnie żenił się z nimi, ubezpieczał je na duże kwoty i wtedy... och, to potworne!

Denis miał już jedną żonę i była nią właśnie Carol. Działali razem, zawsze według tego samego planu. To dlatego w końcu wpadli. Towarzystwa ubezpieczeniowe nabrały podejrzeń. Za każdym razem Denis zabierał swoją nowo poślubioną żonę w jakieś zaciszne miejsce na wybrzeżu. Wkrótce zjawiała się tam ta druga kobieta i wszyscy razem szli popływać w morzu. Nowa żona Denisa padała ofiarą tych dwojga, po czym Carol przebierała się w jej rzeczy i wracała z Denistem łódką. Rozpytawszy się wśród mieszkańców o ich rzekomo zaginioną przyjaciółkę, opuszczali miejscowość. Wówczas prawdziwa Carol pośpiesznie przebierała się w swój krzykliwy strój, robiła sobie wyrazisty makijaż i wracała po drugi samochód. Zbrodniarze uprzednio dowiadywali się, jaki kierunek ma w danym miejscu prąd morski, i aranżowali śmierć kobiety tam, dokąd w przybliżeniu mogło zdryfować jej ciało. Rolę młodej żony odgrywała Carol. Wybierała odludną plażę przy skałach i zostawiała tam ubranie ofiary, następnie oddalała się w swej kwiecistej perkalowej sukni i spokojnie czekała, aż dołączy do niej Denis.

Podejrzewam, że gdy mordowali biedną Margery, jej krew musiała bryznąć na strój kąpielowy Carol, a że był on czerwony, nikt tego nie zauważył. Kiedy jednak strój został wywieszony na balkonie, krew z niego zaczęła skapywać na ulicę. Co za koszmar! – Joyce się wzdrygnęła. – Wciąż mam to przed oczami.

– Oczywiście – przyznał sir Henry – teraz już pamiętam. Ten mężczyzna naprawdę nazywał się Davis. Umknęło mi z pamięci, że posługiwał się też nazwiskiem Dacre. To była niezwykle przebiegła para. Zawsze zdumiewało mnie, że nikt nie zauważył zamiany tożsamości. Zapewne jest tak, jak mówi panna Marple: ubrania łatwiej zapamiętać niż twarze. Tak czy inaczej, to był bardzo

chytry plan. Chociaż podejrzewaliśmy Davisa, nie mogliśmy mu niczego udowodnić, bo zawsze miał niepodważalne alibi.

– Ciociu Jane – odezwał się Raymond, spoglądając na nią z pewną konsternacją – jak ty to robisz? Wiedziesz takie spokojne życie, a mimo to odnoszę wrażenie, że nic nie jest w stanie cię zaskoczyć.

– Wydaje mi się, że każda rzecz na tym świecie jest do czegoś podobna – odpowiedziała panna Marple. – Swego czasu głośno było o niejakiej pani Green. Pochowała pięcioro dzieci, przy czym każde z nich było ubezpieczone na życie. No cóż, oczywiście wzbudziło to podejrzenia. – Pokręciła głową. – Na prowincji dzieje się wiele zła. Mam nadzieję, że wy, młodzi, nigdy nie będziecie musieli się przekonać, jak bardzo podły jest ten świat.

PODWÓJNY DOWÓD

Przełożyli
Anna Rojkowska,
Andrzej Milcarz



Opowiadanie pochodzi ze zbioru
Wczesne sprawy Poirota

Opowiadanie pochodzi ze zbioru

Wczesne sprawy Poirota

– Ale dyskrecja nade wszystko – powiedział Marcus Hardman chyba już po raz czternasty.

Słowo „dyskrecja” powracało regularnie w jego wypowiedziach jako niewątpliwy motyw przewodni. Niewysoki, zażywny pan Hardman odznaczał się nadzwyczajnie wypielegnowanymi dłońmi i głosem płaczliwego tenora. Będąc na swój sposób osobistością, z wytwornego życia uczynił swój zawód. Zamożny, choć nie należał do największych bogaczy, w pogoni za przyjemnościami towarzyskimi gorliwie wydawał pieniądze. Kolekcjonerstwo było jego hobby. Miał duszę zbieracza. Stare koronki, dawne wachlarze, wiekowa biżuteria – dla Marcusa Hardmana nie liczyły się zwykłe przedmioty bez patyny ani rzeczy nowoczesne.

Przybyliśmy tam, Poirot i ja, na jego usilne prośby. Zastaliśmy mężczyznę cierpiącego katusze z powodu niemożności podjęcia decyzji. Z jednej strony z pewnych względów powiadomienie policji było dla niego nie do pomyślenia. Z drugiej strony niepoinformowanie organów ścigania oznaczało pogodzenie się z utratą kilku klejnotów z kolekcji. Poirot miał być trzecim, szczęśliwym, rozwiązaniem.

– Moje rubiny, panie Poirot, i ten szmaragdowy naszyjnik, o którym mówią, że należał do Katarzyny Medycejskiej! Och, szmaragdowy naszyjnik!

– Czy mógłby pan przedstawić mi okoliczności ich zaginięcia? – poprosił Poirot łagodnym tonem.

– Tak, pragnę to właśnie uczynić. Wczoraj po południu wydałem niewielkie przyjęcie. Była to zupełnie nieformalna herbatka dla kilku osób. Urządzam jedno lub dwa takie spotkania w sezonie i, choć pewnie nie powinienem tego mówić, zazwyczaj są bardzo udane. Zapropnowałem trochę dobrej muzyki: w dużym salonie grał pianista Nacora, a śpiewała Katherine Bird, kontralt. Wczesnym popołudniem pokazywałem moim gościom kolekcję średniowiecznych klejnotów. Trzymam je w małym ściennym sejfie. W środku wygląda on jak szafka i jest wyściełany aksamitem dla lepszej ekspozycji precjozów. Potem obejrzeliliśmy wachlarze w gablocie na ścianie. Następnie udaliśmy się do salonu, aby

posłuchać muzyki. I dopiero gdy wszyscy już wyszli, zauważyłem, że sejf został obrabowany! Chyba nie zamknąłem dobrze, a ktoś wykorzystał okazję i go opróżnił. Rubiny, panie Poirot, szmaragdowy naszyjnik, kolekcja mojego życia! Czego bym nie dał, żeby je odzyskać! Ale wszystko po cichu! Rozumie pan to w pełni, prawda, panie Poirot? Moi goście, moi przyjaciele! To byłby straszliwy skandal!

– Kto ostatni opuścił ten pokój, gdy przeszli państwo do salonu?

– Pan Johnston. Może pan go zna? Milioner z południa Afryki. Właśnie wynajął dom państwa Abbotburch przy Park Lane. Został z tyłu przez parę chwil, pamiętam. Ale na pewno, och, to na pewno nie może być on!

– Czy ktokolwiek z pańskich gości zaglądał ponownie do tego pokoju pod jakimś pretekstem w ciągu popołudnia?

– Byłem przygotowany na to pytanie, panie Poirot. Trzy osoby zaglądały: hrabina Vera Rossakoff, pan Bernard Parker i lady Runcorn.

– Może coś na ich temat...

– Hrabina Rossakoff to wyjątkowo czarująca dama, jeszcze z elity dawnej Rosji. Przybyła tu niedawno. Pożegnała się już ze mną i dlatego byłem nieco zdziwiony, spotykając ją jeszcze w tym pokoju, wpatrzoną w zachwycie w moje wachlarze w gablocie. Wie pan, panie Poirot, im więcej o tym myślę, tym bardziej podejrzane mi się to wydaje. Zgodzi się pan?

– Ogromnie podejrzane, ale może jeszcze coś na temat innych osób.

– Parker wszedł tu tylko po puzdro z miniaturami, które pragnąłem pokazać lady Runcorn.

– A sama lady Runcorn?

– Ośmielam się zauważyć, że lady Runcorn jest kobietą w średnim wieku o wielkiej sile charakteru, która swój czas poświęca głównie na działalność w rozmaitych komitetach dobroczynnych. Wróciła tu po prostu po torebkę, którą gdzieś położyła.

– *Bien*^[2]. Mamy więc czworo potencjalnych podejrzanych: rosyjską hrabinę, szacowną angielską damę, południowoafrykańskiego milionera i Bernarda Parkera. A przy okazji kim jest pan Parker?

Pytanie okazało się ogromnie kłopotliwe dla pana Hardmana.

– On jest... eee... to młody człowiek. Cóż, jest to mój młody znajomy.

– Tyle to już wydedukowałem – powiedział poważnie Poirot. – Czym się zajmuje ten pan Parker?

– To taki towarzyski młody człowiek, ale jeszcze niezupełnie bywalec, jeśli wolno mi użyć takiego określenia.

– Mogę zapytać, jak to się stało, że został pańskim przyjacielem?

– Więc... eee... raz czy dwa razy wykonał dla mnie pewne drobne zlecenia.

– Proszę dalej, *monsieur* – dopominał się Poirot.

Hardman popatrzył na niego z wyrzutem. Najwyraźniej ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę, było ciągnięcie tego tematu. Ponieważ jednak Poirot zachowywał bezlitosne milczenie, skapitulował.

– Widzi pan, panie Poirot, powszechnie wiadomo, że interesuję się starymi klejnotami. Czasem jakaś rodzina ma na zbyciu spadek, który, pan daruje, nigdy nie trafi na rynek ani do pośrednika. Natomiast transakcja bezpośrednio ze mną to zupełnie inna sprawa. Parker aranżuje dla mnie w szczególach takie rzeczy, jest w kontakcie z obiema stronami i w ten sposób unika się nawet drobnych niezręczności. Informuje mnie o wszystkich sprawach tego rodzaju. Na przykład hrabina Rossakoff przywiozła ze sobą z Rosji nieco klejnotów rodzinnych i pragnie je sprzedać. Bernard Parker miał przygotować transakcję.

– Rozumiem – rzekł Poirot w zadumie. – I ufa mu pan bezgranicznie?

– Nie ma powodów, żeby było inaczej.

– Panie Hardman, kogo pan podejrzewa spośród tych czworga?

– Och, panie Poirot, co za pytanie! Jak wspomniałem, to są moi przyjaciele. Nie podejrzewam żadnego z nich albo podejrzewam ich wszystkich, jeżeli woli pan tak to ująć.

– Nie wierzę. Podejrzewa pan jedną osobę z tej czwórki. Nie jest to hrabina Rossakoff. Nie jest to pan Parker. Czy to lady Runcorn, czy pan Johnston?

– Przypiera mnie pan do muru, panie Poirot, naprawdę. Przede wszystkim zależy mi na tym, żeby nie wywoływać skandalu. Lady Runcorn należy do najstarszych rodzin w Anglii, ale faktem jest, że jej ciotka, lady Caroline, cierpiała na ogromnie przygnębiającą przypadłość. To rzecz w najwyższym stopniu niefortunna, lecz prawdziwa. Wszyscy przyjaciele to rozumieli, naturalnie, a pokojówka zwracała łyżeczki do herbaty, czy cokolwiek to było, możliwie jak najszybciej. Widzi pan mój problem!

– Więc lady Runcorn miała ciotkę kleptomankę? Bardzo interesujące. Pozwoli pan, że obejrzę sejf?

Za zgodą pana Hardmana detektyw odepchnął drzwiczki skarbca i zbadał jego wnętrze. Ziało ku nam pustką wyściełanych aksamitem półek.

– Drzwiczki wciąż nie zamykają się jak należy – mruknął Poirot, przywodząc je i odwodząc. – Ciekaw jestem dlaczego... O, a co my tu mamy? Rękawiczka wciśnięta pod zawias. Męska.

Podał ją Hardmanowi, który oświadczył:

– To nie moja rękawiczka.

– O! Coś jeszcze! – Poirot zręcznie się pochylił i z dna sejfu podniósł mały przedmiot. Była to płaska papierośnica pokryta czarną morą^[3].

– Moja papierośnica! – wykrzyknął pan Hardman.

– Pańska? Z pewnością nie, *monsieur*. To nie są pańskie inicjały. – Poirot wskazał na platynowy monogram w postaci dwóch splecionych liter.

Hardman wziął pudełko do ręki.

– Ma pan rację – przyznał. – Przypomina moją, ale inicjały są inne. Litery B i P. Wielkie nieba! Parker!

– Na to wygląda – potwierdził Poirot. – Trochę nieuważny młody człowiek, zwłaszcza jeśli także rękawiczka należy do niego. Byłby to podwójny dowód, prawda?

– Bernard Parker – mruczał Hardman. – Co za ulga! Dobrze, *monsieur* Poirot, panu pozostawiam odzyskanie klejnotów. Można oddać tę sprawę w ręce policji, gdyby pan uznał, że tak należy, to znaczy, jeśli naprawdę ma pan pewność, że to on jest sprawcą.

– Widzisz, przyjacielu – powiedział Poirot, gdy wyszliśmy razem z tego domu – pan Hardman ma inne prawo dla utytułowanych, a inne dla szaraków. Ponieważ nie zostałem jeszcze uszlachcony, czuję sympatię do owego młodego człowieka. Cała sprawa jest trochę dziwna, prawda? Hardman podejrzewał lady Runcorn, ja miałem podejrzenia wobec hrabiny oraz Johnstona i przez cały czas mieliśmy na uwadze tajemniczego pana Parkera.

– Dlaczego podejrzewałeś tych dwoje?

– *Parbleu!*^[4] To takie proste zostać rosyjską emigrantką lub milionerem z Południowej Afryki. Każda kobieta może przedstawiać się jako rosyjska hrabina i ktokolwiek może kupić dom przy Park Lane i podawać się za południowoafrykańskiego milionera. Kto to zakwestionuje? Ale widzę, że mijamy Bury Street. Mieszka tu nasz nieuważny młody przyjaciel. Kujmy żelazo, póki gorące.

Pan Bernard Parker był w domu. Zastaliśmy go spoczywającego na kilku poduszkach, ubranego w krzykliwy purpurowo-pomarańczowy szlafrok. Rzadko zdarzało mi się odczuć do kogokolwiek tak wielką niechęć, jak wtedy do tego młodego człowieka o zniewieściałej białej twarzy i afektowanej, sepleniącej wymowie.

– Dzień dobry, *monsieur* – odezwał się żywo Poirot. – Przychodzę od pana Hardmana. Wczoraj na przyjęciu ktoś ukradł jego kosztowności. Proszę pozwolić mi spytać, *monsieur*, czy to pańska rękawiczka?

Procesy myślowe wydawały się nie przebiegać u pana Parkera gwałtownie. Wpatrywał się w rękawiczkę, jakby zbierając siły.

– Gdzie pan to znalazł? – spytał w końcu.

– Czy to pańska rękawiczka, *monsieur*?

Wydawało się, że pan Parker podjął decyzję.

– Nie, nie moja – oświadczył.

– A ta papierośnica? Pańska?

– Z pewnością nie. Zawsze noszę srebrną.

– Doskonale, *monsieur*. Przekażę tę sprawę w ręce policji.

– Och, sądzę... Na pańskim miejscu bym tego nie robił! – wykrzyknął pan Parker nieco zaniepokojony. – Potwornie niesympatyczni ludzie ci policjanci. Proszę chwilę poczekać. Pójdę zobaczyć się ze starym Hardmanem. Zaraz wrócę, och, proszę poczekać minutę.

Poirot ruszył jednak z determinacją do wyjścia.

– Daliśmy mu do myślenia, prawda? – zapytał, chichocząc. – Zobaczymy jutro, co się będzie działo.

Było nam jednak przeznaczone przypomnieć sobie o sprawie Hardmana jeszcze tego popołudnia. Bez najmniejszego ostrzeżenia drzwi stanęły otworem

i w naszą prywatność wdarła się trąba powietrzna w ludzkiej postaci, mająca na sobie sobolowe okrycie (dzień był zimny, jak może być zimny tylko czerwcowy dzień w Anglii) oraz kapelusz przystrojony szczątkami zaszlachtowanych rybołówów. Hrabina Vera Rossakoff była osobowością cokolwiek niepokojącą.

– To pan jest *monsieur* Poirot? I co pan narobił? Oskarża pan tego biednego chłopca! To podłe. To skandaliczne. Ja go znam. To kurczątko, owieczka. Nigdy by niczego nie ukradł. Robił dla mnie wszystko. I teraz mam stać i patrzeć, jak go męczą i prowadzą na rzeź?

– Proszę mi powiedzieć, *madame*, czy to jest jego papierośnica? – Poirot podsunął czarne pudełko.

Hrabina milczała chwilę, oglądając drobiazg.

– Tak, to jego. Dobrze ją pamiętam. Co z tego? Znalazł ją pan w tym pokoju? Wszyscy tam byliśmy, przypuszczam, że ją upuścił. Ach, wy, policjanci, jesteście gorsi od czerwonogwardzistów...

– A czy to jego rękawiczka?

– Skąd miałabym wiedzieć? Rękawiczki są do siebie podobne. Niech pan nie próbuje mnie powstrzymać. On musi być wolny. Jego osoba musi zostać oczyszczona. Pan to zrobi. Sprzedam moje kosztowności i dam panu dużo pieniędzy.

– *Madame...*

– Więc załatwione, tak? Nie, nie, niech się pan nie kłóci. Biedny chłopiec! Przyszedł do mnie ze łzami w oczach. Powiedziałam: „Uratuję cię. Pójdę do tego człowieka, do tego potwora, ludożercy. Zostaw to Verze”. No i załatwione, idę.

Tak jak weszła, tak i teraz wypadła z pokoju bez żadnych ceremonii, pozostawiając za sobą wyrazisty zapach egzotycznych perfum.

– Co za kobieta! – zawołałem. – I jakie futro!

– A, futro chyba prawdziwe. Czy fałszywa hrabina może nosić prawdziwe futro? To taki mój żarcik, Hastings... Nie, to prawdziwa Rosjanka, tak sobie plotę. No, no, więc panicz Bernard poszedł się do niej wypłakać.

– Papierośnica jest jego. Ciekaw jestem, czy rękawiczki również...

Poirot wyjął z kieszeni drugą rękawiczkę i z uśmiechem położył obok pierwszej. Nie ulegało wątpliwości, że były do pary.

– Skąd masz drugą rękawiczkę, Poirot?

– Leżała rzucona razem z laską na stoliku w holu przy Bury Street. Rzeczywiście, to bardzo nieuważny młody człowiek, ten *monsieur* Parker. Tak, tak, *mon ami*^[5], musimy być dokładni. Dla porządku złożę krótką wizytę przy Park Lane.

Nie muszę mówić, że towarzyszyłem przyjacielowi. Johnstona nie zastaliśmy, ale rozmawialiśmy z jego osobistym sekretarzem. Okazało się, że Johnston dopiero co przybył z Południowej Afryki. Nigdy wcześniej nie był w Anglii.

– Interesuje się kamieniami szlachetnymi, czyż nie? – strzelił Poirot.

– Raczej kopalniami złota. – Sekretarz się roześmiał.

Poirot wracał po tej rozmowie zamyślony. Późno wieczorem spostrzegłem, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, że jest pochłonięty studiowaniem gramatyki rosyjskiej.

– Wielkie nieba, Poirot! Uczysz się rosyjskiego, żeby rozmawiać z hrabiną w jej języku?

– Ona z pewnością nie powinna się wsłuchiwać w moją angielszczyznę, przyjacielu!

– Ale dobrze urodzeni Rosjanie z pewnością mówią po francusku.

– Jesteś kopalnią wiadomości, Hastings! Chyba skończę z rozgryzaniem zawiloci rosyjskiego alfabetu. – Teatralnym gestem odrzucił podręcznik.

Nie byłem jednak przekonany. Miał ten błysk w oku, który znałem od lat. Stanowił nieomylny znak, że Poirot jest z siebie zadowolony.

– Chyba wątpisz, że jest prawdziwą Rosjanką – wymądrzałem się. – Zamierzasz zrobić jej test?

– Ach, nie, z pewnością jest Rosjanką.

– No więc...

– Jeżeli naprawdę chcesz błysnąć przy okazji tej sprawy, Hastings, polecam *Język rosyjski dla początkujących* jako nieocenioną pomoc.

Potem roześmiał się i nic więcej nie powiedział. Podniosłem książkę z podłogi i zagłębiłem się w nią z ciekawością, ale nie mogłem pojąć, o co chodziło Poirotowi.

Następny ranek nie przyniósł żadnych nowych informacji, ale wydawało się, że mojego przyjaciela w ogóle to nie martwi. Przy śniadaniu obwieścił o zamiarze złożenia wizyty panu Hardmanowi, i to jeszcze przed południem. Podstarzałego lwa salonowego zastaliśmy w domu. Wydawał się nieco spokojniejszy niż poprzedniego dnia.

– A zatem, panie Poirot, ma pan jakieś wieści? – spytał niecierpliwie.

Poirot podał mu karteczkę.

– Oto osoba, która zabrała kosztowności, *monsieur*. Czy mam przekazać sprawę policji? Czy woli pan, abym odzyskał biżuterię bez jej udziału?

Pan Hardman wpatrywał się w papier. W końcu odzyskał głos.

– Niezmiernie zdumiewające. Zdecydowanie wolałbym, żeby obeszło się bez skandalu w tej sprawie. Daję panu *carte blanche*^[6], panie Poirot. Jestem pewien, że zachowa pan dyskrecję.

Następnie złapaliśmy taksówkę, a Poirot polecił kierowcy jechać do hotelu Carlton. Tam zapytał o hrabinę Rossakoff. Po paru minutach zostaliśmy wprowadzeni do jej apartamentu. Hrabina powitała nas z otwartymi ramionami ubrana jedynie w oszałamiający negliż ozdobiony etnicznymi motywami.

– *Monsieur Poirot!* – zawołała. – Udało się panu? Wyciągnął pan tego biednego dzieciaka?

– *Madame la comtesse*^[7], przyjacielowi pani, panu Parkerowi, absolutnie nie grozi aresztowanie.

– Ależ pan jest sprytnym mężczyzną! Cudownie! I jeszcze do tego tak szybko.

– Obiecałem jednak panu Hardmanowi, że klejnoty zostaną mu dziś zwrócone.

– A zatem?

– Zatem byłbym niezmiernie zobowiązany, gdyby niezwłocznie przekazała pani te kosztowności w moje ręce. Przykro mi, że panią ponaglam, ale zatrzymałem taksówkę na wypadek, gdyby konieczna okazała się moja wizyta w Scotland Yardzie. A my, Belgowie, *madame*, jesteśmy bardzo oszczędni.

Hrabina zapaliła papierosa. Przez parę sekund siedziała absolutnie nieruchomo, puszczając kółka dymu i wpatrując się w Poirota. Następnie wybuchnęła śmiechem i wstała. Przeszła przez pokój, wysunęła szufladę biurka i wyjęła czarną jedwabną torebkę. Rzuciła ją lekkim ruchem Poirotowi.

– My, Rosjanie, przeciwnie: jesteśmy bardzo rozrzutni – odezwała się głosem spokojnym i pogodnym. – Żeby jednak pieniądze trwonić, trzeba je najpierw mieć. Nie musi pan sprawdzać torebki. Jest w niej wszystko.

Poirot wstał.

– Gratuluję pani bystrości umysłu i właściwej postawy.

– Ach, ponieważ czeka na pana taksówka, co jeszcze mogłabym zrobić?

– Jest pani zbyt miła, *madame*. Czy zostaje pani dłużej w Londynie?

– Obawiam się, że nie. Za pańską sprawą.

– Proszę przyjąć moje przeprosiny.

– Być może spotkamy się kiedyś gdzie indziej.

– Mam taką nadzieję.

– A ja nie! – zawołała ze śmiechem hrabina. – To wielki komplement w moich ustach, bo bardzo mało jest mężczyzn na świecie, których się boję. Do widzenia, *monsieur* Poirot.

– Do widzenia, *madame la comtesse*. Ach, proszę mi wybaczyć, byłbym zapomniał. Pozwoli pani, że zwrócę jej papierośnicę.

Z ukłonem wręczył jej małe czarne pudełko, które znaleźliśmy w sejfie. Przyjęła je bez specjalnej reakcji. Uniosła tylko brwi i mruknęła:

– Rozumiem.

– Co za kobieta! – wykrzyknął entuzjastycznie Poirot, gdy schodziliśmy po schodach. *Mon Dieu*^[8] Ani słowa sprzeciwu, protestu, żadnego blefu! Jedno szybkie spojrzenie i już prawidłowo oceniła położenie. Mówię ci, Hastings, kobieta, która potrafi w taki sposób przyjąć porażkę, z beztróskim uśmiechem, zajdzie daleko! Jest niebezpieczna, ma nerwy ze stali, ona... – Tu przerwał, bo się potknął.

– Czy mógłbyś nieco zwolnić i patrzeć, gdzie idziesz? Byłoby to wskazane – zasugerowałem. – Kiedy zacząłeś podejrzewać hrabinę?

– *Mon ami*^[9], nie miała zamiaru zostawiać tam swojej papierośnicy.

– Ale jeśli to była jej papierośnica, dlaczego miała inicjały B.P.? Inicjały hrabiny to przecież V.R.

Poirot uśmiechnął się wyrozumiale.

– Jest właśnie tak, jak mówisz, *mon ami*, ale w alfabecie rosyjskim B to V, a P to R.

– Chyba nie spodziewałeś się, że to odgadnę. Nie znam rosyjskiego.

– Ani ja, Hastings. Dlatego kupiłem ten skromny podręcznik i ci go pokazałem. – Westchnął. – Nadzwyczajna kobieta. Mam przecucie, przyjacielu, bardzo mocne przecucie, że spotkam ją ponownie. Ciekaw jestem gdzie...

ŚMIERĆ NA NILU

Przełożyła
Magda Białoń-Chalecka



Opowiadanie pochodzi ze zbioru
Parker Pyne na tropie

Opowiadanie pochodzi ze zbioru

Parker Pyne na tropie

Lady Grayle była zdenerwowana. Od chwili wejścia na pokład parowca Fajum narzekała na wszystko. Była niezadowolona ze swojej kabiny. Mogła znieść poranne słońce, ale nie popołudniowe. Pamela Grayle, bratanica jej męża, uczynnie odstąpiła jej swoją kajutę po drugiej stronie statku. Lady Grayle niechętnie przystała na tę zamianę.

Warczała na pannę MacNaughton, swoją pielęgniarkę, za to, że podała jej niewłaściwy szal i spakowała małą poduszkę, zamiast zostawić ją na wierzchu. Utyskiwała na męża, sir George'a, że kupił jej nieodpowiednie korale. Chciała takie z lazurytu, a nie z karneolu. George był idiotą!

– Przepraszam, moja droga, przepraszam – rzekł zmartwiony sir George. – Zaraz pójdę je wymienić. Mamy mnóstwo czasu.

Nie warczała na Basila Westa, sekretarza męża, tylko dlatego, że nikt nigdy nie warczał na Basila. Jego uśmiech rozbijał, zanim ktokolwiek zdążył zacząć narzekać.

Ale najgorsze bez wątpienia spadło na imponującego, odzianego w bogate szaty przewodnika, którego nic nie było w stanie wyprowadzić z równowagi.

Kiedy lady Grayle dostrzegła nieznanego mężczyznę siedzącego w plecionym fotelu i dotarło do niej, że to ich współpasażer, jej gniew zerwał wszelkie tamy.

– Wyraźnie powiedzieli mi w biurze, że jesteśmy jedynymi pasażerami! To koniec sezonu i nikt poza nami nie jedzie!

– Tak jest, pani – potwierdził spokojnie Mohammed. – Tylko pani rodzina i jeden pan.

– Ale zapewniono mnie, że będziemy wyłącznie my.

– Tak jest, pani.

– Nie jest tak! Oszukano mnie! Co ten człowiek tu robi?

– On przyjechać później, pani. Jak wy już kupić bilety. On przyjść dziś rano.

– To zwykły szwindel!

– Tak jest, pani. On bardzo cichy pan. Bardzo miły, bardzo cichy.

– Jesteś kretynem! Nic nie rozumiesz. Panno MacNaughton, gdzie pani jest? Och, tutaj. Tyle razy prosiłam, żeby była pani w pobliżu. Mogę zasłabnąć. Proszę zaprowadzić mnie do kabiny i dać mi aspirynę. I niech Mohammed się do mnie nie zbliża. Ciągłe powtarza „Tak jest, pani”, aż chce mi się krzyczeć!

Panna MacNaughton bez słowa wzięła ją pod rękę.

Była wysoką, ciemnowłosą kobietą w wieku około trzydziestu pięciu lat, atrakcyjną w nierzucający się w oczy sposób. Zaprowadziła lady Grayle do kajuty, podparła ją poduszkami, podała jej aspirynę i wysłuchiwała jej biadolenia.

Lady Grayle miała czterdzieści osiem lat. Od kiedy skończyła lat szesnaście, cierpiała z powodu nadmiaru posiadanych pieniędzy. Dziesięć lat wcześniej poślubiła zubożałego baroneta, sir George’a Grayle’a.

Była postawną kobietą, niebrzydka, jeśli wziąć pod uwagę rysy, ale twarz miała ciągle wykrzywioną i pobrużdżoną zmarszczkami. Gruby makijaż, który zwykła sobie robić, tylko podkreślał spustoszenia wywołane jej charakterem i upływem czasu. Włosy miała na zmianę albo utlenione na platynowy blond, albo zafarbowane henną na czerwono, w efekcie czego stały się matowe i zniszczone. Zazwyczaj przesadnie się stroiła i zanadto obwieszala się biżuterią.

– Powiedz sir George’owi – poleciła, a panna MacNaughton czekała z twarzą pozbawioną wyrazu – powiedz mu, że musi się pozbyć tego człowieka! Potrzebuję prywatności. Tyle ostatnio przeszłam.. – Zamknęła oczy.

– Tak, lady Grayle – odpowiedziała pielęgniarzka i wyszła z kabiny.

Naruszający ich prywatność pasażer nadal siedział w fotelu. Był odwrócony plecami do Luksoru i wpatrywał się ponad Nilem w odległe wzgórza rysujące się złociście nad pasem ciemnej zieleni.

Panna MacNaughton, przechodząc obok, obrzuciła go szybkim, taksującym spojrzeniem.

Znalazła sir George’a w salonie. Trzymał w dłoniach sznur koralu i przyglądał się im z powątpiewaniem.

– Proszę mi powiedzieć, panno MacNaughton, czy uważa pani, że te są odpowiednie?

Pielęgniarzka zerknęła na lazurytowe paciorki.

– Naprawdę bardzo ładne – pochwaliła.

– Myśli pani, że lady Grayle będzie zadowolona?

– Och, nie, tego bym nie powiedziała, sir George. Widzi pan, jej nic nie zadowoli. Taka jest prawda. A przy okazji, przysłała mnie z wiadomością dla pana. Chce, żeby pozbył się pan tego dodatkowego pasażera.

Sir George szeroko otworzył usta ze zdumienia.

– Jak miałbym to zrobić? Co mam mu powiedzieć?

– Oczywiście, że nie może pan tego zrobić. – Głos Elsie MacNaughton brzmiał energicznie i ciepło. – Musi pan tylko powiedzieć, że nic się nie dało załatwić. Wszystko będzie dobrze – dodała uspokajająco.

– Tak pani uważa? – zapytał żałośnie.

– Nie powinien pan brać sobie tego wszystkiego do serca, sir George – odezwała się kobieta jeszcze łagodniejszym tonem. – Wszystkiemu jest winne jej złe samopoczucie. Proszę się tak nie przejmować.

– Czy jest z nią bardzo źle?

Przez twarz pielęgniarki przemknął cień. W jej głosie zabrzmiała jakaś dziwna nuta, gdy odpowiadała:

– Tak... Nie bardzo podoba mi się jej stan. Ale proszę się nie martwić, sir George. Nie wolno panu. Naprawdę. – Posłała mu życzliwy uśmiech i wyszła.

Po chwili leniwym krokiem weszła Pamela, elegancka w swojej bieli.

– Cześć, stryjasku.

– Cześć, Pam.

– Co ty tam masz? Och, jakie ładne!

– Bardzo się cieszę, że tak uważasz. Czy myślisz, że stryjence też się spodobają?

– Jej nic nie może się spodobać. Nie pojmuję, dlaczego się z nią ożeniłeś.

Sir George milczał. Przemknęły mu przed oczami obrazy przegranych wyścigów, natrętnych wierzycieli i atrakcyjnej, choć dominującej kobiety.

– Biedny staruszkule – powiedziała Pamela. – Pewnie nie miałeś wyjścia. Nieźle nam daje popalić, co?

– Od kiedy zachorowała... – zaczął sir George.

– Ona wcale nie jest chora! – przerwała mu gwałtownie. – To nieprawda. Jakoś zawsze może robić to, na co ma ochotę. Kiedy pojechałeś do Asuanu, była wesoła jak... szczygiełek. Założę się, że panna MacNaughton wie, iż ona udaje.

– Nie mam pojęcia, co byśmy poczęli bez panny MacNaughton – rzekł z westchnieniem sir George.

– Bardzo zaradna osóbką – przyznała Pamela. – Jednak ja za nią nie przepadam aż tak jak ty. Och, nie zaprzeczaj! Przecież to prawda! Uważasz, że jest cudowna. I w pewnym sensie jest. Ale to cicha woda. Nigdy nie wiem, co myśli. Jednak radzi sobie ze starą kocią zupełnie nieźle.

– Pamela, nie wolno ci tak mówić o stryjence. Pomijając wszystko inne, przecież jest dla ciebie bardzo dobra.

– Owszem, płaci nasze rachunki, jeśli o to chodzi. Ale urządza nam z tego powodu piekło.

Sir George przeszedł do mniej drażliwego tematu.

– Co zrobimy z tym człowiekiem, który płynie z nami? Moja żona chciałaby mieć statek wyłącznie dla siebie.

– Ale nie może – stwierdziła chłodno Pamela. – Ten gość prezentuje się całkiem nieźle. Nazywa się Parker Pyne. Pracował jako urzędnik państwowy w Dziale Akt Osobowych, jeśli coś takiego w ogóle istnieje. To zabawne, ale wydaje mi się, że gdzieś już widziałam jego nazwisko... Basil – zwróciła się do sekretarza, który właśnie wszedł do pokoju – gdzie ja mogłam widzieć nazwisko Parker Pyne?

– Na pierwszej stronie kącika porad w „Timesie” – odpowiedział natychmiast młodzieniec. – *Jesteś szczęśliwy? Jeśli nie, zasięgnij rady pana Parkera Pyne’a.*

– No nie! To naprawdę zabawne! Możemy przez całą drogę do Kairu opowiadać mu o naszych problemach.

– Ja nie mam problemów – odrzekł z prostotą Basil. – Popłyniemy po złocistym Nilu i zobaczymy świątynie... – szybko zerknął na sir George’a, który zajął się gazetą – ...razem.

Ostatnie słowo wyszeptał niemal bezdźwięcznie, ale Pamela je usłyszała. Spojrzała chłopakowi w oczy.

– Masz rację, Basilu – rzuciła lekko. – Dobrze jest żyć.

Sir George wstał i wyszedł. Twarz dziewczyny spochmurniała.

– O co chodzi, skarbie?

– O znieawidzoną przeze mnie stryjenkę, która została nią po ślubie...

– Nie przejmuj się – powiedział Basil. – Jakie to ma znaczenie, co ona wbiła sobie do głowy? Nie dyskutuj z nią. W sumie to świetny kamuflaż – dodał ze śmiechem.

Do salonu wkroczył dobrodusznie uśmiechnięty pan Pyne. Za nim pojawiła się barwna postać Mohammeda, który był gotów do wygłoszenia swojej stałej kwestii.

– Panie, panowie, my ruszać. Za kilka minut my mijać po prawa strona świątynie Karnaku. Ja opowie teraz historia o mały chłopiec, co kupić jagnię pieczone dla onego ojciec...

Pan Parker Pyne otarł czoło. Właśnie wrócił z wycieczki do świątyni w Denderze. Czuł wyraźnie, że jazda na osiołku nie jest najodpowiedniejszą formą transportu dla osoby jego postury. Właśnie zamierzał odpiąć kołnierzyk, gdy zauważył liścik leżący na toalecie. Otworzył go i przeczytał.

Szanowny Panie!

Byłabym zobowiązana, gdyby zrezygnował Pan ze zwiedzania świątyni w Abydos i pozostał na statku. Chciałabym zasięgnąć pańskiej rady.

*Z poważaniem
Ariadne Grayle*

Na sympatycznej dużej twarzy pana Pyne'a wykwitł uśmiech. Wziął kartkę papieru i odkręcił wieczne pióro.

Szanowna lady Grayle!

Przykro mi, że muszę Panią rozczarować, ale obecnie jestem na wakacjach i nie zajmuję się sprawami zawodowymi.

Podpisał się i przesłał odpowiedź przez stewarda. Kiedy kończył już toaletę, przyniesiono mu kolejny liścik.

Szanowny Panie Pyne!

Rozumiem, że ma Pan wakacje, ale skłonna jestem zapłacić za poradę honorarium w wysokości stu funtów.

*Z poważaniem
Ariadne Grayle*

Parker Pyne uniósł brwi. W zamyśleniu postukał piórem w zęby. Chciał zwiedzić Abydos, ale sto funtów to sto funtów. A Egipt okazał się tak koszmarnie drogi. Odpisał:

*Szanowna lady Grayle!
Nie zwiedzę świątyni w Abydos.*

*Szczerze oddany
J. Parker Pyne*

Mohammed ogromnie się zasmucił, gdy pan Pyne odmówił zejścia ze statku.

– Bardzo miła świątynia. Wszyscy moi panowie lubi zwiedzać ta świątynia. Ja załatwi transport. Załatwi krzesło i marynarze nieść pan.

Niestety, jego klient odrzucił tę kuszącą propozycję, więc pozostali, nie zwlekając, wyruszyli w drogę.

Parker Pyne postanowił poczekać na pokładzie. Po niedługim czasie otworzyły się drzwi kajuty lady Grayle i powolnym krokiem wyszła z nich lady we własnej osobie.

– Takie gorące popołudnie – zauważyła wytwornie. – Widzę, że pan został. To bardzo rozsądnie z pańskiej strony, panie Pyne. Może wypijemy herbatę w salonie?

Pan Pyne natychmiast wstał i udał się za nią. Trzeba przyznać, że trawiła go ciekawość.

Wyglądało na to, że lady Grayle ma spore problemy z przejściem do sedna sprawy. Przeskakiwała z tematu na temat, aż w końcu powiedziała zmienionym głosem:

– Panie Pyne, to, co zamierzam panu wyjawić, musi zostać zachowane w ścisłej tajemnicy! Rozumie pan to, prawda?

– Naturalnie.

Zamilkła i głęboko zaczerpnęła tchu. Parker Pyne czekał.

– Chcę się dowiedzieć, czy mąż usiłuje mnie otruć.

Bez wątpienia pan Pyne nie spodziewał się czegoś takiego. Okazał szczere zdumienie.

– To bardzo poważne oskarżenie, lady Grayle.

– Nie jestem głupia i nie urodziłam się wczoraj. Od jakiegoś czasu mam pewne podejrzenia. Gdy tylko George wyjeżdża, od razu jest mi lepiej. Jedzenie mi nie szkodzi i czuję się po prostu innym człowiekiem. Musi istnieć jakaś przyczyna.

– To bardzo poważna sprawa, lady Grayle. Proszę pamiętać, że nie jestem detektywem. Jestem, jeśli wolno mi tak to określić, specjalistą od spraw serca...

– A sądzi pan, że mnie to wszystko nie martwi? – przerwała mu kobieta. – Nie potrzebuję policjanta, potrafię się sama o siebie zatroszczyć, dziękuję bardzo. Chcę zyskać pewność. Muszę wiedzieć. Nie jestem podłą kobietą, panie Pyne. Traktuję sprawiedliwie tych, którzy tak samo traktują mnie. Umowa to umowa. Ja dotzymałam słowa. Spłaciłam długi męża i nie żałowałam mu pieniędzy.

Parker Pyne przez chwilę serdecznie współczuł sir George'owi.

– Dziewczyna też ma wszystko: ubrania, przyjęcia, i to, i siamto, i owo. Proszę tylko o zwykłą wdzięczność.

– Wdzięczności nie da się poczuć na zawołanie, lady Grayle.

– Nonsens! – odparła. Po chwili dodała: – Tak to właśnie wygląda! Niech pan odkryje dla mnie prawdę! A kiedy już ją poznam...

Spojrzał na nią z zaciekawieniem.

– Właśnie, co wtedy?

– To już moja sprawa – rzuciła i mocno zacisnęła usta.

Pyne zawahał się, po czym powiedział:

– Proszę mi wybaczyć, ale odnoszę wrażenie, że nie jest pani ze mną zupełnie szczerą.

– To niedorzeczne! Powiedziałam panu, czego ma się pan dowiedzieć.

– Owszem, ale nie zdradziła mi pani dlaczego.

Ich spojrzenia się spotkały. Lady Ariadne pierwsza odwróciła wzrok.

- Wydaje mi się, że powód jest oczywisty – odrzekła.
- Nie, ponieważ mam wątpliwości co do pewnej kwestii.
- Mianowicie?
- Czy chce pani, żeby jej podejrzenia się potwierdziły, czy też nie?
- Doprawdy, panie Pyne! – Dama wstała, dygocząc z oburzenia.

Jej rozmówca łagodnie pokiwał głową.

- Oczywiście, oczywiście, ale to nie jest odpowiedź na moje pytanie.
- Och! – Głos ją zawiódł. W pośpiechu opuściła salon.

Pozostawiony sam sobie pan Pyne głęboko się zadumał. Był tak pogrążony w myślach, że aż podskoczył z wrażenia, kiedy ktoś wszedł do salonu i usiadł naprzeciwko niego. Okazało się, że jest to panna MacNaughton.

- Bardzo szybko wróciliście – zauważył.
- Tylko ja wróciłam. Wymówiłam się bólem głowy. – Zawahała się. – Gdzie jest lady Grayle?

- Przypuszczam, że odpoczywa w swojej kajucie.
- Och, to bardzo dobrze. Nie chcę, żeby wiedziała o moim powrocie.
- Zatem nie wróciła pani ze względu na nią?

Panna MacNaughton pokręciła przecząco głową.

- Nie, chciałam się zobaczyć z panem.

Parker Pyne był zaskoczony. Uznał pannę MacNaughton za osobę, która doskonale sama sobie radzi z wszelkimi problemami i nie potrzebuje od nikogo porady. Najwyraźniej był w błędzie.

– Obserwowałam pana, od kiedy wypłynęliśmy. Myślę, że ma pan ogromne doświadczenie i potrafi właściwie ocenić sytuację. A ja rozpaczliwie potrzebuję rady.

– A jednak, proszę wybaczyć, nie należy pani do tego typu ludzi, którzy zazwyczaj pytają innych o radę. Powiedziałbym, że woli pani polegać wyłącznie na własnych osądach.

– Zazwyczaj tak. Ale teraz znalazłam się w szczególnej sytuacji. – Zamilkła na chwilę. – Z zasady nie opowiadam o moich pacjentach, ale w tym wypadku uważam to za konieczne. Gdy wyjeżdżałyśmy z Anglii, lady Grayle stanowiła klasyczny przypadek. Mówiąc wprost, nic jej nie dolegało. Może to nie do końca

prawda, gdyż nadmiar wolnego czasu oraz pieniędzy doprowadza do pewnego stanu patologicznego. Gdyby musiała codziennie szorować podłogi i zajmować się szóstką pociech, na pewno byłaby zdrowsza i szczęśliwsza.

Pan Pyne kiwnął głową.

– Pracując w szpitalu, widziałam wiele podobnych przypadków nerwicy. Lady Grayle delektowała się swoim słabym zdrowiem. Do moich zadań należało nie lekceważyć jej cierpienia, być możliwie jak najbardziej taktowną... i jak najbardziej cieszyć się urokami podróży.

– Bardzo rozsądne podejście – pochwalił Pyne.

– Ale wszystko się zmieniło. Lady Grayle uskarża się na dolegliwości, które są zupełnie prawdziwe, a nie wymaginowane.

– To znaczy?

– Zaczęłam podejrzewać, że jest regularnie podtruwana.

– Od kiedy pani to podejrzewa?

– Od trzech tygodni.

– Czy posądza pani jakąś konkretną osobę?

Spuściła wzrok. Po raz pierwszy jej głos zabrzmiał nieszczerze.

– Nie.

– Powiem to za panią, panno MacNaughton. Podejrzewa pani jedną konkretną osobę, a jest nią sir George Grayle.

– Och, nie, nie! Nie wierzę, aby to był on! On jest taki biedny i zagubiony jak mały chłopiec. Nie mógłby nikogo otruć z zimną krwią. – W jej głosie wyraźnie dało się słyszeć, że cierpi.

– A jednak zauważyła pani, że kiedy sir George’a nie ma, stan jego żony się poprawia, a choroba nawraca tylko w jego obecności.

Nie odpowiedziała.

– Jaka to może być trucizna? Arszenik?

– Coś w tym rodzaju. Arszenik lub antymon.

– A jakie kroki pani podjęła?

– Robię, co w mojej mocy, żeby kontrolować wszystko, co lady spożywa.

Pan Pyne pokiwał głową.

- Czy sądzi pani, że lady Grayle coś podejrzewa? – spytał od niechcienia.
- Och, nie, jestem pewna, że nie.
- I tu się pani myli.

Pielęgniarka była zaskoczona.

– Lady Grayle potrafi lepiej dochować tajemnicy, niż pani to sobie wyobraża. Niewątpliwie potrafi też dbać o swoje sprawy.

- Bardzo mnie to zdumiało – rzekła wolno panna MacNaughton.
- Chciałbym pani zadać jeszcze jedno pytanie. Czy lady Grayle panią lubi?
- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

Przerwał im Mohammed, który wszedł z promiennym uśmiechem, powiewając szatami.

- Lady słyszeć pani. Ona pani prosi. Ona pyta, czemu pani nie przyjść do niej. Elsie MacNaughton wstała pośpiesznie. Pan Pyne również się podniósł.
- Czy odpowiadałoby pani spotkanie jutro wcześniej rano?
- Tak, to najlepsza pora. Lady Grayle śpi do późna. Tymczasem postaram się być bardzo czujna.
- Myślę, że lady Ariadne również zachowa ostrożność.

Pielęgniarka odeszła.

Parker Pyne zobaczył lady Grayle ponownie dopiero tuż przed kolacją. Siedziała z papierosem w dłoni, paląc w popielniczce coś, co wyglądało na list. Nie zaszczyciła go nawet jednym spojrzeniem, z czego wywnioskował, że nadal czuje się urażona.

Po kolacji zagrał w brydża z sir George'em, Pamelą i Basilem. Wszyscy byli trochę rozkojarzeni, więc gra skończyła się wcześniej.

Kilka godzin później Mohammed obudził pana Parkera.

- Starsza pani bardzo chora. Siostra bardzo przestraszona. Ja wzywa doktor.

Pyne szybko się ubrał. Dotarł do drzwi kabiny lady Grayle w tym samym momencie co Basil West. Sir George i Pamela byli już w środku. Elsie MacNaughton rozpaczliwie próbowała ratować swoją pacjentkę. Kiedy pan Pyne wszedł, kobietą leżącą na łóżku wstrząsnęły ostatnie śmiertelne konwulsje. Jej wygięte w łuk ciało zeszywniało na chwilę, a potem bezwładnie opadło na poduszki.

Pan Pyne delikatnie objął Pamelę i wyprowadził ją na zewnątrz.

– To straszne! – Dziewczyna cicho łkała. – Jakież to straszne! Czy ona?...
Czy?...

– Nie żyje? Tak, obawiam się, że to koniec.

Oddał ją pod opiekę Basila. Oszołomiony sir George wyszedł z kajuty.

– Nigdy nie sądziłem, że jest naprawdę chora – mamrotał. – Nawet przez moment.

Parker Pyne przepchnął się obok niego i wrócił do środka.

Twarz Elsie była blada i ściągnięta.

– Posłali po lekarza? – zapytała.

– Owszem – potwierdził, a po chwili spytał: – Strychnina?

– Tak. Te konwulsje nie pozostawiają żadnych wątpliwości. Och, nie mogę w to uwierzyć! – Opadła na krzesło i zaniosła się płaczem. Pan Pyne poklepał ją po ramieniu.

Nagle uderzyła go pewna myśl. Pędem wybiegł z kabiny i pośpieszył do salonu. Znalazł w popielniczce niespalony skrawek papieru, na którym widniało kilka ledwie czytelnych słów.

F_55

– Ciekawa sprawa! – skomentował.

*

Parker Pyne siedział w gabinecie pewnego ważnego kairskiego urzędnika.

– Tak zatem wygląda materiał dowodowy – powiedział w zadumie.

– W zupełności wystarczy, żeby wnieść oskarżenie. Ten facet musi być kompletnym kretynem.

– Rzeczywiście, nie nazwałbym sir George’a zbyt lotnym człowiekiem.

– Na jedno wychodzi! – oświadczył urzędnik i podsumował sprawę: – Lady Grayle poprosiła o filiżankę bulionu, który przygotowała jej pielęgniarka. Potem nabrała ochoty na sherry. Sir George przyniósł jej trunek. Dwie godziny później lady Grayle zmarła z bezspiecznymi objawami zatrucia strychniną. Jedno opakowanie strychniny zostało znalezione w kajucie sir George’a, a drugie w kieszeni jego wieczorowej marynarki.

– Tak właśnie było – potwierdził Pyne. – A tak przy okazji, skąd pochodziła ta strychnina?

– Co do tego istnieją pewne wątpliwości. Pielęgniarka miała trochę strychniny, na wypadek gdyby lady Grayle dokuczało serce. Ale złożyła sprzeczne zeznania. Najpierw mówiła, że jej zapasy są nienaruszone, a teraz twierdzi, że czegoś brakuje.

– To do niej niepodobne tak się plątać – stwierdził Pyne.

– Moim zdaniem oboje maczali w tym palce. Wyraźnie mają się ku sobie.

– Możliwe, ale gdyby panna MacNaughton planowała morderstwo, zrobiłaby to o niebo sprawniej. To bardzo kompetentna młoda osoba.

– Niech i tak będzie, lecz według mnie sir George tkwi w tym po same uszy. Nie ma żadnych szans.

– Hm – mruknął Pyne. – Zobaczę, co da się zrobić.

Udał się na rozmowę ze śliczną bratanicą sir George’a.

Pamela była blada i oburzona.

– Stryjek nigdy by nie zrobił czegoś takiego! Nigdy, nigdy, przenigdy!

– A zatem kto? – zapytał spokojnie Parker Pyne.

Pamela podeszła bliżej.

– Wie pan, co ja myślę? Zrobiła to sama. Była ostatnio bardzo dziwna. Wymyślała różne rzeczy.

– Jakie rzeczy?

– Dziwaczne. Na przykład o Basilu. Ciągle sugerowała, że Basil się w niej kocha. A Basil i ja... my...

– Rozumiem – powiedział z uśmiechem pan Pyne.

– Cała ta sprawa z Basilem to była czysta fantazja. Myślę, że zawzięta się na biednego stryjka, wymyśliła całą tę historię, opowiedziała ją panu, potem podłożyła strychninę w jego kajucie i w kieszeni marynarki, aż w końcu się otruła. Przecież ludzie robili już nie takie rzeczy, prawda?

– Prawda – przyznał Pyne. – Ale nie wydaje mi się, żeby zrobiła to lady Grayle. Nie była tego typu osobą, jeśli mogę tak to określić.

– A te wymysły?

– Chciałbym o nich porozmawiać z panem Westem.

Znalazł młodzieńca w jego pokoju. Basil odpowiadał na pytania bez zbytnich oporów.

– Nie chcę wydać się panu zarozumiały, ale najwyraźniej jej się spodobałem. Dlatego nie śmiałem powiedzieć jej o sobie i o Pameli. Kazałaby sir George'owi mnie wylać.

– Uważa pan, że teoria panny Grayle jest prawdopodobna?

– No cóż, to chyba możliwe... – odparł, choć wyraźnie nie był przekonany.

– Ale nieprawdziwe – dopowiedział spokojnie Pyne. – Nie, musimy znaleźć lepsze rozwiązanie.

Przez kilka minut głęboko się nad czymś zastanawiał.

– Najlepsze będzie przyznanie się do winy – powiedział nagle. Odkręcił pióro i wyjął kartkę papieru. – Niech pan to wszystko opisz.

Basil West wpatrywał się w niego ze zdumieniem.

– Ja? O czym, na Boga, pan mówi?

– Drogi chłopcze... – Głos Pyne'a brzmiał niemalże ojcowsko. – Wiem wszystko. Wiem, że miałeś romans z biedną lady. Że ona czuła skrupuły. A ty zakochałeś się w ślicznej bratanicy bez grosza przy duszy. Zaplanowałeś wszystko. Stopniowe podtruwanie. Mogłoby to wyglądać na naturalną śmierć spowodowaną zapaleniem żołądka i jelit. A jeśli nie, to wina spadłaby na sir George'a, ponieważ starałeś się, żeby wszystkie ataki następowały tylko wtedy, gdy nigdzie nie wyjeżdżał. Niestety odkryłeś, że lady nabrała podejrzeń i że rozmawiała ze mną o całej sprawie. Szybko przystąpiłeś do działania! Podkradłeś trochę strychniny z zapasów panny MacNaughton. Część podłożyłeś w kabinie sir George'a, część w kieszeni jego marynarki. Umieściłeś też wystarczającą ilość w kapsułce, którą dołączyłeś do liściku, pisząc, że jest to „kapsułka marzeń”. Romantyczny pomysł. Połknęła ją, gdy tylko pielęgniarka wyszła, i nikt by się o niczym nie dowiedział. Ale popełniłeś jeden błąd, młody człowieku. Nie ma sensu prosić kobiety, żeby spaliła list. Nigdy tego nie robi. Mam całą tę milutką korespondencję, z listem o kapsułce włącznie.

Basil West pozieleniał. Cała jego uroda gdzieś prysła. Wyglądał jak szczur w klatce.

– Niech cię szlag! – wycharczał. – Więc wiesz wszystko, ty cholerny wścibski intruzie!

Pana Pyne'a uchroniło przed fizyczną przemocą pojawienie się świadków, których roztropnie poprosił o podsłuchiwanie pod przymkniętymi drzwiami.

*

Parker Pyne ponownie omawiał całą sprawę ze swoim przyjacielem, ważnym urzędnikiem.

– I nie miałem nawet cienia dowodu! Tylko ten prawie zupełnie nieczytelny fragment ze słowami „Spal to!”. Wydedukowałem całą historię i wypróbowałem na nim. Zadziałało. Okazało się, że wszystko to prawda. A listy załatwiły sprawę. Lady Grayle paliła wszystko, co do niej pisał, ale on o tym nie wiedział. To była naprawdę niezwykła kobieta – dodał. – Bardzo się zdziwiłem, kiedy do mnie przysłała. Chciała, żebym udowodnił, iż mąż próbuje ją otruć. Odeszłaby wtedy z młodym Westem. Ale chciała zachować się fair. Ciekawa postać.

– Ta biedna dziewczyna będzie cierpiała – rzekł z westchnieniem jego kolega.

– Przejdzie jej – stwierdził Pyne nieco bezdusznie. – Jest młoda. Chciałbym, żeby sir George zaznał trochę radości, zanim nie jest za późno. Przez ostatnich dziesięć lat był traktowany jak pluskwa. Ale Elsie MacNaughton będzie dla niego bardzo dobra. – Uśmiechnął się promiennie, a potem westchnął. – Myślę, że do Grecji pojedę *incognito*^[10]. Naprawdę należą mi się wakacje!

ALEJA ARLEKINA

Przełożyła
Agnieszka Bihl



Opowiadanie pochodzi ze zbioru
Tajemniczy pan Quin

Opowiadanie pochodzi ze zbioru

Tajemniczy pan Quin

Pan Satterthwaite nie wiedział właściwie, co skłoniło go do odwiedzenia Denmanów. Nie należeli do ludzi jego pokroju, to znaczy nie należeli do wielkiego świata ani do interesujących kręgów artystycznych. Nie mieli większych ambicji, na dodatek byli nudni. Po raz pierwszy pan Satterthwaite spotkał ich w Biarritz, przyjął zaproszenie, przyjechał, wynudził się – a jednak znów do nich wracał.

Dlaczego? Po raz kolejny zadawał sobie to pytanie 21 czerwca, pędząc z Londynu w swoim rolls-roysie.

John Denman był mężczyzną czterdziestoletnim, solidnym, dobrze ustawionym, szanowanym w świecie biznesu. Jednak z panem Satterthwaite'em nie łączyli go wspólni znajomi, a tym bardziej wspólne przekonania. Denman wykazywał się bystrością w swojej dziedzinie, lecz poza nią był zupełnie pozbawiony wyobraźni.

„Dlaczego to robię?” – zastanawiał się pan Satterthwaite, ale jedyna odpowiedź, jaka przychodziła mu do głowy, wydawała się tak niejasna i nedorzeczna, że wolałby o niej zapomnieć. Po prostu jego ciekawość wzbudził jeden z pokoi w wygodnym i świetnie prowadzonym domu. Tym pokojem był salonik pani Denman.

Nie wyrażał jej osobowości, gdyż, o ile pan Satterthwaite mógł osądzić, ona w ogóle nie posiadała czegoś takiego jak osobowość. Nigdy jeszcze nie spotkał kobiety tak pozbawionej wyrazu. Wiedział, że z pochodzenia jest Rosjanką. John Denman trafił do Rosji zaraz po wybuchu pierwszej wojny światowej, walczył z oddziałami rosyjskimi i o włos uniknął śmierci, kiedy zaczęła się rewolucja. Przywiózł ze sobą rosyjską dziewczynę, uciekinierkę bez grosza. Poślubił ją mimo wyraźnego sprzeciwu rodziców.

Pokój pani Denman nie wyróżniał się w zasadzie niczym szczególnym. Urządzony przyzwoicie, z autentycznymi meblami Hepplewhite'a^[11], miał wystrój trochę bardziej męski niż kobiecy. Jednak znalazł się w nim jeden niespójny szczegół: chiński parawan z laki w kolorach kremowej żółci i bladego różu.

Każde muzeum kupiłoby go z zachwytem. Był rzeczą dla kolekcjonera, rzadką i piękną.

W solidnym angielskim otoczeniu wydawał się zupełnie nie na miejscu. Powinien stanowić główny akcent pokoju, w którym wszystko subtelnie by z nim harmonizowało. A mimo to pan Satterthwaite nie oskarżał Denmanów o brak smaku. Wystrój reszty domu tworzył spójną całość.

Potrząsnął głową. Ta rzecz, choć tak trywialna, ogromnie go intrygowała. Dla niej właśnie wciąż tu przyjeżdżał. Może był to kobiecy kaprys, lecz takie rozwiązanie go nie zadowalało. Wystarczyło pomyśleć o pani Denman: kobiecie spokojnej, o surowych rysach, mówiącej po angielsku tak poprawnie, że nikt nie odgadłby w niej cudzoziemki.

Samochód dotarł do celu i pan Satterthwaite wysiadł, wciąż skupiony nad zagadką chińskiego parawanu. Posiadłość gospodarzy, Ashmead, miała około dwóch hektarów powierzchni. Znajdowała się w Melton Heath leżącym prawie pięćdziesiąt kilometrów od Londynu, sto pięćdziesiąt metrów nad poziomem morza. Mieszkali tam głównie ludzie o sporych dochodach.

Lokaj uprzejmie powitał pana Satterthwaite'a. Państwa Denmanów nie było, wyszli na próbę, lecz mieli nadzieję, że pan Satterthwaite rozgości się do ich powrotu.

Pan Satterthwaite skinął głową i przystąpił do realizacji zaleceń, wkraczając do ogrodu. Po pobieżnej inspekcji klombów powędrował cienistą aleją i dotarł do bramy w murze. Nie była zamknięta, więc otworzył ją i wyszedł na wąską ścieżkę.

Rozejrzał się w obie strony. Alejka była czarująca, cienista i zielona, okolona wysokim żywopłotem – typowa wiejska dróżka, pełna zakrętów, w dobrym, staroświeckim stylu. Przypomnił mu się adres wytłoczony na papierze listowym: *Ashmead, Aleja Arlekina*. Przypomnił sobie także miejscową nazwę, którą usłyszał od pani Denman.

– Aleja Arlekina – rzekł cicho do siebie. – Ciekawe...

Skreślił za róg.

Nie wtedy, lecz znacznie później zastanawiał się, dlaczego to wcale się nie zdziwił na widok swego nieuchwytnego przyjaciela, pana Harleya Quina. Podali sobie ręce.

– Więc jest pan tutaj – powiedział pan Satterthwaite.

– Tak. Zatrzymałem się w tym samym domu, co pan.

– Zatrzymał się pan?

– To pana dziwi?

– Nie – odparł wolno pan Satterthwaite. – Tylko że... no cóż, pan nigdzie nie zatrzymuje się na długo, prawda?

– Tylko na tyle, ile trzeba – odrzekł z powagą pan Quin.

– Rozumiem.

Przez jakiś czas spacerowali w milczeniu.

– Ta aleja... – zaczął pan Satterthwaite i urwał.

– Należy do mnie – powiedział pan Quin.

– Tak myślałem. Właśnie tak sobie pomyślałem. Ma jeszcze inną nazwę, miejscową. Nazywają ją Aleją Zakochanych. Wiedział pan o tym?

Pan Quin skinął głową.

– Lecz chyba w każdej wiosce jest Aleja Zakochanych? – rzucił łagodnie.

– Pewnie tak – przyznał pan Satterthwaite i lekko westchnął.

Nagle poczuł się stary, wyrzucony poza nawias. Mały, zasuszony, pomarszczony zrzęda. Po obu stronach drogi rósł żywopłot, zielony i pełen życia.

– Ciekawe, gdzie ta aleja się kończy – zainteresował się raptem.

– Tutaj – odparł pan Quin.

Minęli ostatni zakręt. Aleja kończyła się na ugorze i niemal u ich stóp otwierał się wielki dół. Wypełniały go błyszczące w słońcu puszki, stare buty, kolejne puszki, zbyt zardzewiałe, by błyszczeć, strzępy gazet, tysiąc jeden drobiazgów, które nie miały już dla nikogo znaczenia.

– Śmietnisko! – wykrzyknął pan Satterthwaite i westchnął głęboko z pogardą.

– Czasem na śmietniku leżą wspaniałe skarby – zauważył pan Quin.

– Wiem, wiem – rzucił pan Satterthwaite i zacytował z lekkim zażenowaniem: – „Przynieś mi dwie najpiękniejsze rzeczy w tym mieście, powiedział Bóg”^[12]. Wie pan, co jest dalej, prawda?

Pan Quin skinął głową.

Pan Satterthwaite przeniósł wzrok wyżej, na ruiny maleńkiej chatki usadowionej przy ścianie urwiska.

– Niezbyt miły widok z okien – zauważył.

– Zdaje się, że w dawnych czasach nie było tu wysypiska – powiedział pan Quin. – Chyba zamieszkali w niej Denmanowie zaraz po swoim ślubie. Do dużego domu przeprowadzili się po śmierci starszych państwa. Chatkę rozebrano, kiedy zaczęto stąd wydobywać kamień, lecz, jak pan widzi, nie do końca.

Zawrócili i zaczęli iść z powrotem.

– Przypuszczam – zaczął z uśmiechem pan Satterthwaite – że wiele par wędruje tą aleją w ciepłe letnie wieczory.

– Prawdopodobnie.

– Zakochani – rzekł pan Satterthwaite. Powtórzył to słowo w zamyśleniu, bez typowego dla Anglików zakłopotania. Taki wpływ miał na niego pan Quin. – Zakochani... Wiele pan dla nich uczynił, panie Quin.

Jego towarzysz skinął głową bez słowa.

– Ratował ich pan od smutku, a nawet więcej: od śmierci. Był pan także adwokatem zmarłych.

– Mówi pan o sobie, o tym, co pan zrobił, nie ja.

– Na jedno wychodzi – stwierdził pan Satterthwaite. – Wie pan o tym – upierał się, ponieważ pan Quin milczał. – Działał pan za moim pośrednictwem. Z jakichś powodów nie wkracza pan sam do akcji.

– Niekiedy to robię – powiedział pan Quin. – W jego głosie zabrzmiała nowa nuta.

Wbrew sobie pan Satterthwaite zadrżał lekko.

„Pewnie popołudnie zrobi się chłodne” – pomyślał.

A jednak słońce zdawało się świecić równie jasno jak przed chwilą.

W tym momencie zza zakrętu przed nimi wyłoniła się jakaś dziewczyna. Była bardzo ładna, jasnowłosa, niebieskooka, ubrana w różową bawełnianą sukienkę. Pan Satterthwaite rozpoznał w niej Molly Stanwell, którą kiedyś już spotkał u Denmanów.

Pomachała mu ręką na powitanie.

– John z Anną właśnie wrócili! – zawołała. – Wiedzieli, że pan przyjedzie, ale po prostu musieli pójść na próbę.

– Jaką próbę? – zapytał pan Satterthwaite.

– Jakiejś maskarady, nie wiem, jak to się dokładnie nazywa. Aktorzy śpiewają, tańczą i robią mnóstwo innych rzeczy. Pan Manly, pamięta go pan? Śpiewa ładnym tenorem. Ma być Pierrotem, a ja jestem Pierretą. Tańcyć będą profesjonalni aktorzy. Wie pan, jako Arlekin i Kolombina. Do tego jeszcze chór dziewczęcy. Lady Roscheimer ćwiczy z ogromnym zapalem z dziewczynami z wioski. I naprawdę zaczyna jej z tego coś wychodzić. Muzyka jest dość ładna, ale bardzo nowoczesna, właściwie bez melodii. Claude Wickam. Może go pan zna?

Pan Satterthwaite przytaknął, gdyż do jego obowiązków towarzyskich należało znać wszystkich. Wiedział zatem wszystko o ambitnym geniuszu Claudzie Wickamie, a także o lady Roscheimer – tęgiej Żydówce ze skłonnością do utalentowanych artystycznie młodych mężczyzn. Znał też sir Leopolda Roscheimera, który pragnął szczęścia swej żony i, co niezwykle rzadkie wśród mężów, nie miał nic przeciwko temu, by szukała go na własny sposób.

Zastali Claude'a Wickama w trakcie picia herbaty z Denmanami. Gość wpychał sobie do ust wszystko, co było pod ręką, mówił szybko i wymachiwał dużymi białymi dłońmi, które wyglądały tak, jakby miały podwójne stawy. Jego krótkowzroczne oczy zerkały zza wielkich okularów w rogowej oprawie.

John Denman, wyprostowany, lekko czerwony na twarzy, gładko przylizany, słuchał uprzejmie, choć ze znużeniem. Gdy tylko pojawił się pan Satterthwaite, muzyk zaczął do niego kierować swoje uwagi. Anna Denman siedziała przy zastawie do herbaty, cicha i nijaka jak zawsze.

Pan Satterthwaite spojrział na nią ukradkiem. Wysoka, posępna, chuda, ze skórą mocno napiętą na kościach policzkowych, z czarnymi włosami z przedziałkiem pośrodku, ogorzałą cerą. Kobieta spędzająca dużo czasu na świeżym powietrzu, która nie zawraca sobie głowy kosmetykami. Holenderska lalka, drewniana, bez życia, a jednak...

„Ta twarz powinna skrywać emocje, a żadnych nie kryje” – pomyślał. „Dlatego jest tak niestosowna. Zupełnie niestosowna”.

– Słucham pana? – zwrócił się do Claude'a Wickama. – Co pan mówił?

Claude, który lubił brzmienie własnego głosu, zaczął jeszcze raz od początku:

– Rosja to jedyny kraj na świecie wart zainteresowania. Eksperymentują. Ktoś powiedziałby, że z ludzkim życiem, ale eksperymentują. Wspaniałe! – Jedną ręką wepchnął do ust kanapkę, a drugą przestał wymachiwać tylko po to, by ugryźć kawałek czekoladowego eklera. – Weźmy – rzekł z pełnymi ustami – rosyjski balet. – Przypomniał sobie o gospodyni i zwrócił się do niej, pytając, co sądzi o rosyjskim balecie.

Pytanie było jedynie preludium do poważniejszej kwestii, to jest tego, co sam Claude Wickam sądzi o rosyjskim balecie, lecz niespodziewana odpowiedź pani Denman zupełnie zbiła go z tropu.

– Nigdy go nie widziałam.

– Co? – Gapił się na nią z otwartymi ustami. – Lecz... przecież...

Mówiła dalej, tonem jednostajnym i beznamiętnym:

– Przed ślubem byłam tancerką. Teraz więc...

– Urlopu nie spędza się w pracy – oświadczył jej mąż.

– Taniec. – Wzruszyła ramionami. – Znam wszystkie sztuczki. Nie interesuje mnie.

– Och!

Claude potrzebował zaledwie chwili, by odzyskać pewność siebie. Podjął wątek.

– Mówiąc o ludzkim życiu – odezwał się pan Satterthwaite – i eksperymentach. Jeden z nich sporo Rosjan kosztował.

Claude Wickam odwrócił się gwałtownie w jego stronę.

– Wiem, co chce pan powiedzieć! – zawołał. – Charsanowa! Nieśmiertelna i jedyna Charsanowa! Widział pan, jak tańczy?

– Trzykrotnie – odparł pan Satterthwaite niemal z czcią. – Dwa razy w Paryżu, raz w Londynie. Nigdy... nigdy jej nie zapomnę.

– Ja też ją widziałem – powiedział Claude Wickam. – Miałem dziesięć lat. Wuj zabrał mnie na przedstawienie. Boże! Nigdy tego nie zapomnę. – Gwałtownie cisnął kawałek bułki między kwiaty.

– W muzeum berlińskim stoi jej statuetka – kontynuował pan Satterthwaite. – Jest cudowna. To wrażenie kruchości, jakby można ją było stłuc dotknięciem

palca. Widziałem ją jako Kolombinę, w *Jeziorze łabędzim*, jako umierającą nimfę. – Umilkł, potrząsając głową. – Była genialna. Minie wiele lat, zanim narodzi się godna jej następczyni. Do tego taka młoda. Zabito ją bezmyślnie, niepotrzebnie, na samym początku rewolucji.

– Głupcy! Szaleńcy! Dranie! – zawołał Claude Wickam. Zakrztusił się herbatą.

– Studiowałam z Charsanową – odezwała się pani Denman. – Dobrze ją pamiętam.

– Była wspaniała, prawda? – zapytał pan Satterthwaite.

– Tak – potwierdziła cicho pani Denman. – Wspaniała.

Claude Wickam wyszedł. John Denman westchnął z ulgą, aż jego żona się roześmiała.

Pan Satterthwaite skinął głową.

– Wiem, co pan myśli. Jednak mimo wszystko muzyka, którą komponuje ten chłopiec, jest prawdziwą muzyką.

– Zapewne – powiedział Denman.

– Bez wątpienia. Jak długo taka pozostanie, to zupełnie inna kwestia.

Gospodarz spojrział na niego z zaciekawieniem.

– To znaczy?

– Sukces przyszedł szybko, a to niebezpieczne. Zawsze. – Spojrział nad stołem na pana Quina. – Zgadza się pan ze mną?

– Pan zawsze ma rację – odparł pan Quin.

– Przejdziemy na górę do mojego pokoju – zdecydowała pani Denman. – Tam jest tak miło.

Poprowadziła ich za sobą. Pan Satterthwaite wstrzymał oddech na widok chińskiego parawanu. Podniósł wzrok i napotkał badawcze spojrzenie pani Denman.

– Jest pan człowiekiem, który zawsze ma rację – powiedziała, kiwając wolno głową. – Co pan sądzi o moim parawanie?

Poczuł, że słowa te są wyzwaniem, i odpowiedział trochę niepewnie, jękając się lekko:

– Cóż, jest... jest piękny. Więcej nawet: wyjątkowy.

– Ma pan rację. – Za nimi stanął Denman. – Kupiliśmy go na początku małżeństwa. Za dziesiątą część jego prawdziwej wartości, a mimo to przez rok ledwie wiązaliśmy koniec z końcem. Pamiętasz, Anno?

– Tak – potwierdziła pani Denman. – Pamiętam.

– Właściwie nie mieliśmy żadnego powodu, by go kupować. Nie wtedy. Teraz, oczywiście, jest inaczej. Parę dni temu w salonie Christie's wystawiono bardzo dobre rzeczy z laki. Akurat to, czego potrzebujemy, by ten pokój stał się doskonały. Wszystko chińskie, resztę się usunie. Uwierzy pan, Satterthwaite, że moja żona nie chciała o tym słyszeć?

– Lubię ten pokój takim, jaki jest – odparła pani Denman.

Na jej twarzy pojawił się dziwny wyraz. Ponownie pan Satterthwaite poczuł się wyzwany i pokonany. Rozejrzał się wokoło i po raz pierwszy dostrzegł, że w pokoju brak jakiegokolwiek osobistego akcentu. Nie było zdjęć, kwiatów, drobiazgów. Wcale nie przypominał kobiecego pokoju. Poza parawanem – jedynym niespójnym przedmiotem – mógłby stanowić ekspozycję sklepu meblowego.

Zauważył, że pani domu uśmiecha się do niego.

– Proszę posłuchać. – Pochyliła się i przez chwilę wydawała się mniej angielska, bardziej egzotyczna. – Mówię to panu, gdyż pan zrozumie. Kupiliśmy ten parawan za coś więcej niż pieniądze. Kupiliśmy go z miłości. Z miłości, gdyż był piękny i unikatowy, obywaliliśmy się bez innych rzeczy, rzeczy, których potrzebowaliśmy, których nam brakowało. Chińskie przedmioty, o których wspominał mój mąż, kupilibyśmy tylko za pieniądze, nie oddalibyśmy za nie nic z siebie.

Jej mąż się roześmiał.

– Niech będzie, jak chcesz – powiedział, ale w jego głosie zabrzmiał cień irytacji. – A jednak on zupełnie nie pasuje do angielskiego wnętrza. Pozostałe meble są porządne, solidne, autentyczne, ale przeciętne. Dobry, prosty, późny Hepplewhite.

Skinęła głową.

– Dobra, solidna, autentyczna Anglia – szepnęła miękko.

Pan Satterthwaite wpatrzył się w nią. Uchwycił sens skryty za jej słowami. Angielski pokój i przepiękny chiński parawan... Nie, znów mu to uleciało.

– Spotkałem pannę Stanwell w alei – powiedział lekko. – Mówiła mi, że w dzisiejszym przedstawieniu będzie Pierretta.

– Tak – potwierdził Denman. – Jest świetna.

– Niezgrabnie stawia stopy – zauważyła Anna.

– Bzdura – orzekł jej mąż. – Wszystkie kobiety są takie same, panie Satterthwaite. Nie znoszą, kiedy chwali się przy nich inne. Molly jest bardzo ładną dziewczyną, więc oczywiście inne muszą jej wbić szpilkę.

– Mówiłam o tańcu – upierała się Anna Denman. Wydawała się trochę zdziwiona. – Jest bardzo ładna, to prawda, lecz jej stopy poruszają się niezgrabnie. Nie możesz zaprzeczyć, ponieważ znam się na tańcu.

– Ponoć przyjedzie dwoje profesjonalnych tancerzy? – wtrącił się taktownie pan Satterthwaite.

– Tak, na sam balet. Księżę Oranow przywiezie ich swoim samochodem.

– Sergiusz Oranow?

Pytanie padło z ust Anny Denman. Jej mąż odwrócił się i spojrzał na nią.

– Znasz go?

– Znałam go... w Rosji.

Pan Satterthwaite pomyślał, że John Denman wygląda na zaniepokojonego.

– Pozna cię?

– Tak. Pozna.

Roześmiała się – niskim, niemal triumfalnym śmiechem. Teraz w jej twarzy nie było nic z holenderskiej lalki. Kiwnęła uspokajająco głową w stronę męża.

– Sergiusz. A więc przywiezie dwoje tancerzy. Zawsze interesował go taniec.

– Pamiętam – rzucił ostro John Denman, a potem odwrócił się i wyszedł z pokoju. Pan Quin poszedł za nim.

Anna Denman podniosła słuchawkę telefonu i poprosiła o połączenie. Zatrzymała pana Satterthwaite'a ruchem ręki, kiedy zamierzał pójść za przykładem obu mężczyzn.

– Chciałam mówić z lady Roscheimer. Ach, to pani. Tu Anna Denman. Czy księżę Oranow już przyjechał? Co? Co? Mój Boże, to potworne!

Słuchała jeszcze przez chwilę, a potem się rozłączyła.

– Zdarzył się wypadek – zwróciła się do pana Satterthwaite’a. – Do przewidzenia, skoro Sergiusz Iwanowicz prowadził. Nie zmienił się przez te wszystkie lata. Dziewczyna nie jest ciężko ranna, tylko posiniaczona i w szoku. Nie da rady zatańczyć wieczorem. Mężczyzna ma złamaną rękę. Samemu Sergiuszowi nic się nie stało. Złego diabli nie biorą.

– A co z dzisiejszym przedstawieniem?

– No właśnie, przyjacielu. Trzeba coś z tym zrobić.

Usiadła zamyślona. Po chwili spojrzała na niego.

– Zła ze mnie gospodyni, panie Satterthwaite. Nie zabawiam pana.

– Zapewniam panią, że nie jest to konieczne. Choć jedną rzecz chciałbym wiedzieć, pani Denman.

– Tak?

– Jak poznała pani pana Quina?

– Często tu przyjeżdża – odparła powoli. – Przypuszczam, że ma tu własną ziemię.

– Ależ ma, ma. Powiedział mi o tym po południu.

– Jest... – Urwała. Napotkała spojrzenie pana Satterthwaite’a. – Zapewne wie pan, kim jest, lepiej ode mnie – dokończyła.

– Ja?

– Czyż nie?

Zmieszał się. Ta kobieta niepokoiła jego uporządkowaną, schludną duszyczkę. Czuł, że chce pchnąć go dalej, niż miał ochotę pójść, że pragnie zmusić go do wyrażenia tego, czego nie był gotów przyznać nawet sam przed sobą.

– Pan wie! – powiedziała. – Sądzę, że wie pan niemal wszystko, panie Satterthwaite.

To był wielki komplement, lecz mężczyzna nie dał się złapać na lep pochlebstw. Pokręcił głową z niezwykłą u siebie pokorą.

– Cóż można wiedzieć? – zapytał. – Niewiele, tak niewiele.

Skinęła głową. Po chwili odezwała się ponownie, zadumany głosem, nie patrząc na niego.

– Przypuśćmy... Coś panu powiem. Nie będzie się pan śmiać? Nie, nie sądę, by to pana rozśmieszyło. Przypuśćmy więc, że aby wykonywać... – przerwała na

chwilę – ...swój zawód, trzeba użyć fantazji, udawać przed sobą coś, co nie istnieje, wyobrażać sobie pewną postać... To tylko zabawa, gra, pan rozumie? Nic poza tym. Lecz pewnego dnia...

– Tak? – Pan Satterthwaite był zaintrygowany.

– Fantazja się urzeczywistnia! To, co sobie wyobrażaliśmy, rzecz niemożliwa, nieistniejąca staje się prawdą! Czy to szaleństwo? Proszę mi powiedzieć, panie Satterthwaite. Czy to szaleństwo, czy pan też w to wierzy?

– Ja... – Dziwne, jak trudno było mu wydobyć z siebie słowa. Jak mocno zdawały się tkwić w gardle.

– To głupie – stwierdziła Anna Denman. – Głupie.

Wybiegła z pokoju, pozostawiając pana Satterthwaite'a z niewypowiedzianym wyznaniem wiary.

Kiedy zszedł na kolację, pani Denman zabawiła gościa – wysokiego, śniadego mężczyznę zbliżającego się do lat średnich.

– Księżę Oranow, pan Satterthwaite – przedstawiła ich sobie.

Obaj skinęli głowami. Pan Satterthwaite miał wrażenie, że jego nadejście przerwało rozmowę, która nie zostanie już podjęta. Lecz nie odczuwał napięcia. Rosjanin poruszał lekko i swobodnie tematy nader bliskie sercu pana Satterthwaite'a. Był to człowiek o wyrafinowanym smaku artystycznym i wkrótce odkryli, że mają wielu wspólnych znajomych. Dołączył do nich John Denman i rozmowa zeszła na sprawy miejscowe. Oranow wyraził żal z powodu wypadku.

– To nie była moja wina. Lubię prowadzić szybko, ale jestem dobrym kierowcą. To było fatum, przypadek, który rządzi nami wszystkimi. – Wzruszył ramionami.

– Odzywa się w tobie Rosjanin, Sergiuszu Iwanowiczu – zauważyła pani Denman.

– I znajduje wdzięczną słuchaczkę w tobie, Anno Michajłowna – odparował szybko.

Pan Satterthwaite przyjrzał się całej trójce. John Denman, jasnowłosy, wyniosły, angielski w każdym calu, i ta dwójka: oboje ciemnowłosi, szczupli, dziwnie podobni. Coś zaświtało mu w głowie, ale co? Aha! Już wiedział. Pierwszy akt *Walkirii*^[13]. Zygmunt i Zygłinda – jak bliźnięta – oraz obcy im Hunding. Pana Satterthwaite'a ogarnęły różne domysły. Czyżby tu kryło się

wyjaśnienie obecności pana Quina? W jedno wierzył na pewno: gdziekolwiek zjawiał się pan Quin, zanosilo się na dramat. Czy krył się tutaj, w starej, banalnej tragedii trójkąta?

Był lekko rozczarowany. Miał nadzieję na coś lepszego.

– Co ustalono, Anno? – zapytał Denman. – Pewnie trzeba to będzie odłożyć. Słyszałem, że dzwoniłaś do Roscheimerów.

Potrząsnęła głową.

– Nie, nie trzeba niczego odkładać.

– Ale nie poradzisz sobie bez baletu.

– Na pewno nie sposób wystawić Arlekinady bez Arlekina i Kolombiny – zgodziła się chłodno Anna. – Ja będę Kolombiną, John.

– Ty? – Był zdumiony... zaniepokojony, jak ocenił pan Satterthwaite.

Skinęła spokojnie głową.

– Nie musisz się obawiać, John. Nie przyniosę ci wstydu. Zapominasz, że to był niegdyś mój zawód.

„Jaką dziwną rzeczą jest głos” – pomyślał pan Satterthwaite. „To, co przekazuje... i co pozostawia niewypowiedziane, a jednak pełne znaczenia! Chciałbym wiedzieć...”

– Cóż – rzucił Denman niechętnie. – To rozwiązuje jedną połowę problemu. Co z drugą? Gdzie znajdziesz Arlekina?

– Znalazłam go... tam. – Wskazała ręką na otwarte drzwi, w których właśnie pojawił się pan Quin. Oddał jej uśmiech.

– Dobry Boże, Quin! – zawołał John Denman. – Zna się pan coś na tym? Nigdy bym nie zgadł.

– Pan Quin został polecony przez fachowca – wyjaśniła jego żona. – Pan Satterthwaite ręczy za niego.

Uśmiechnęła się do pana Satterthwaite'a, a mały człowieczek odparł cicho:

– O tak, ręczę za pana Quina.

Denman zainteresował się już innym tematem.

– Wiecie, że po spektaklu szykuje się bal maskowy? Ogromna niedogodność. Będziemy musieli pana wystroić, Satterthwaite.

Pan Satterthwaite stanowczo pokręcił głową.

– Wyłumaczą mnie moje lata. – Przyszedł mu do głowy znakomity pomysł. Stołowa serwetka na ramieniu... – Oto ja, starszy kelner, który pamięta lepsze czasy. – Roześmiał się.

– Ciekawy zawód – ocenił pan Quin. – Tyle można zobaczyć.

– Ja muszę włożyć idiotyczny strój Pierrota – stwierdził ponuro Denman. – Przynajmniej jest chłodno. A co z panem? – Spojrzał na Oranowa.

– Włożę kostium Arlekina – odparł Rosjanin. Jego wzrok zatrzymał się na dłużej na twarzy pani domu.

Pan Satterthwaite nie był pewien, czy się pomylił, wyobrażając sobie, że na chwilę atmosfera stała się napięta.

– To może być nas trzech! – rzekł ze śmiechem Denman. – Mam stary kostium Arlekina, który żona uszyła mi na początku małżeństwa na jakieś przyjęcie... – Urwał, patrząc na gors koszuli. – Pewnie się w niego nie zmieszczę.

– Nie – odparła jego żona – teraz się już w niego nie zmieścisz.

I ponownie jej głos mówił coś więcej niż wypowiedziane słowa.

Spojrzała na zegar.

– Jeśli Molly nie zjawi się wkrótce, nie będziemy na nią czekać.

Jednak w tej chwili zaanonsowano jej przyjście. Miała już na sobie sukienkę Pierretty – biało-zieloną – i wyglądała w niej czarująco, jak ocenił pan Satterthwaite.

Była podniecona, pełna entuzjazmu wobec zbliżającego się przedstawienia.

– Okropnie się denerwuję – wyznała, kiedy pili kawę po obiedzie. – Wiem, że głos będzie mi drżał i zapomnę słów.

– Masz uroczy głos – powiedziała Anna. – Na twoim miejscu tym bym się nie martwiła.

– Ale ja się martwię. Nie przejmuję się resztą, to znaczy tańcem. Na pewno pójdzie mi dobrze. Przecież nie można bardzo pomylić się w tańcu, prawda?

Zwracała się do Anny, ale starsza kobieta nie odpowiedziała. Zamiast tego zaproponowała:

– Zaśpiewaj coś panu Satterthwaite'owi. Na pewno podniesie cię na duchu.

Molly podeszła do fortepianu. Jej głos w starej irlandzkiej balladzie zabrzmiał świeżo i melodyjnie.

Sheilo, ciemnowłosa Sheilo, cóż widzisz takiego?

Cóż widzisz takiego w ognia płomieniu?

Chłopca, który mnie kocha, i chłopca, który mnie rzuca.

Widzę też chłopca z Krainy Cienia,

A ten przyniesie mi smutek.^[14]

Kiedy skończyła śpiewać, pan Satterthwaite skinieniem głowy wyraził swoją aprobatę.

– Pani Denman się nie myli. Ma pani uroczy głos. Może niezbyt wyszkolony, lecz zachwycająco naturalny, z tą niemożliwą do wyuczenia nutką młodości.

– Zgadza się – dołączył się John Denman. – Tylko tak dalej, Molly, i nie poddawaj się tremie. A teraz jedźmy już lepiej do Roscheimerów.

Rozeszli się, aby włożyć okrycia. Noc była wspaniała, a ponieważ dom Roscheimerów stał zaledwie sto metrów dalej, postanowili pójść pieszo.

Pan Satterthwaite szedł obok przyjaciela.

– To dziwne – powiedział – lecz piosenka Molly skojarzyła mi się z panem. Ten trzeci chłopiec, „z Krainy Cienia”, kryje w sobie tajemnicę, a gdziekolwiek jest jakaś tajemnica, cóż... pan mi przychodzi na myśl.

– Czy jestem tak tajemniczy? – zapytał z uśmiechem pan Quin.

Pan Satterthwaite przytaknął energicznie.

– Ależ tak. Wie pan, aż do dzisiaj nie miałem pojęcia, że jest pan zawodowym tancerzem.

– Naprawdę?

– Niech pan posłucha. – Pan Satterthwaite zanucił miłosny motyw z *Walkirii*. – To brzmiało mi w głowie przez cały obiad, kiedy patrzyłem na tę dwójkę.

– Jaką dwójkę?

– Księżca Oranowa i panią Denman. Nie zauważył pan w niej odmiany? Jakby... jakby otworzono nagle okiennicę i w pokoju rozbłysło światło.

– Tak – zgodził się pan Quin. – Może i tak.

– Stary dramat – ciągnął pan Satterthwaite. – Nie myślę się, prawda? Tych dwoje należy do siebie. Pochodzą z tego samego świata, mają te same myśli, marzenia... Można dostrzec, jak do tego doszło. Dziesięć lat temu Denman na pewno był bardzo przystojny, młody, urzekający, postać rodem z romansu. Do

tego uratował jej życie. Wszystko to bardzo naturalne. A teraz, kimże takim on jest? Dobrym człowiekiem, zamożnym, odnoszącym sukcesy, lecz cóż, przeciętnym. Prawym, uczciwym Anglikiem, zupełnie jak meble Hepplewhite'a. Tak samo angielskim i tak samo zwyczajnym jak ta ładna dziewczyna ze swoim świeżym, niewyszkolonym głosem. Och, może się pan uśmiechać, ale nie może pan temu zaprzeczyć.

– Niczemu nie zaprzeczam. To, co pan widzi, jest zawsze prawdą. A jednak...

– Jednak?

Pan Quin się pochylił. Jego ciemne, melancholijne oczy odszukały wzrok pana Satterthwaite'a.

– Tak niewiele nauczył się pan o życiu? – szepnął.

Zostawił pana Satterthwaite'a odrobinę wytrąconego z równowagi i tak zadumanego, że pozostali wyruszyli bez niego, nie czekając, aż wybierze odpowiedni szalik. Wyszedł przez ogród, otworzywszy tę samą furtkę, którą odkrył po południu. Aleja skąpana była w świetle księżyca i nawet teraz dostrzegł splecioną w uścisku parę.

Przez chwilę pomyślał, że to...

A potem zobaczył wyraźnie. Byli to John Denman i Molly Stanwell. Dobiegł go głos Denmana, ochrypiły i udęczone.

– Nie mogę żyć bez ciebie! Co my poczniemy?

Pan Satterthwaite obrócił się, by wrócić tam, skąd przyszedł, lecz zatrzymała go czyjaś dłoń. Ktoś stał obok niego, ktoś, kto także to zobaczył.

Wystarczył jeden rzut oka na jej twarz, aby pan Satterthwaite zrozumiał, jak błędne były jego przypuszczenia.

Trzymała drżącą z udreki dłoń na jego ramieniu, póki tych dwoje nie odeszło aleją i nie zniknęło za zakrętem. Zaczął coś mówić, jakieś głupie, nic nieznaczące banały, które miały przynieść pocieszenie – słowa żałośnie niestosowne wobec bólu, jaki musiała odczuwać. Odezwała się tylko raz:

– Proszę mnie nie opuszczać.

To go wzruszyło. A więc komuś jednak był potrzebny. Mówił dalej, jego słowa może i nie miały znaczenia, lecz były lepsze od milczenia. Tak dotarli do Roscheimerów. Raz po raz jej dłoń zaciskała się na jego ramieniu. Czuł, że

cieszy się z jego towarzystwa. Zdjęła rękę dopiero wtedy, gdy dotarli do celu. Wyprostowała się, uniosła wysoko głowę.

– Teraz zatańczę – powiedziała. – Niech pan się o mnie nie boi, przyjacielu. Zatańczę.

Odeszła szybko. Pana Satterthwaite'a pochwyciła w swe szpony obsypana diamentami lady Roscheimer, lamentując głośno. Po chwili przekazała go Claude'owi Wickamowi.

– Ruina! Kompletna ruina! Zawsze przytrafiają mi się takie rzeczy. Ci wieśniacy sądzą, że potrafią tańczyć. Nawet nie skonsultowano się ze mną... – Mówił dalej, bez końca. Znalazł współczującego słuchacza, kogoś, kto go rozumiał. Rozczulał się nad samym sobą. Przerwał dopiero na pierwsze dźwięki muzyki.

Pan Satterthwaite ocknął się z zamyślenia. Znów stał się uważnym krytykiem. Wickam był nieprawdopodobnym osłem, ale potrafił komponować muzykę: delikatną, nieuchwytną jak pajęczyna, choć pozbawioną przesłodzonych akcentów.

Scenografia była dobra. Lady Roscheimer nie szczędziła wydatków, kiedy chodziło o jej protegowanego. Polanka w Arkadii z efektami świetlnymi, które nadawały scenie właściwą atmosferę nierealności.

Dwie tańczące od niepamiętnych czasów postacie. Smukły Arlekin z maską na twarzy i magiczną różdżką błyszczącą w świetle księżyca... Biała Kolombina wirująca w piruecie jak odwieczne marzenie...

Pan Satterthwaite usiadł. Widział to już wcześniej. Tak, na pewno...

Przeniósł się duchem daleko od salonu lady Roscheimer. Znalazł się w muzeum berlińskim obok statuetki nieśmiertelnej Kolombiny.

Arlekin i Kolombina kontynuowali taniec. Cały świat należał do nich...

Światło księżyca... i ludzka postać. Pierrot wędrujący przez las, śpiewający do księżyca. Pierrot, który ujrzał Kolombinę i nie może zaznać spokoju. Baśniowa para znika, lecz Kolombina ogląda się za siebie. Usłyszała pieśń ludzkiego serca.

Pierrot błąka się po lesie... wokół ciemność... jego głos milknie w oddali...

Wiejskie błonia, tańczą wiejskie dziewczęta, pierroci i pierretty. Jest wśród nich Molly. Żadna z niej tancerka, Anna Denman miała rację, ale jej głos jest świeży i melodyjny. Śpiewa swoją piosenkę *Pieretta tańczy na błoniach*.

„Ładna melodia” – pomyślał z uznaniem pan Satterthwaite.

Wickam potrafił zniżyć się do napisania melodii, kiedy była potrzebna. Taniec większości wiejskich dziewcząt przyprawiał go o dreszcze, lecz rozumiał, że lady Roscheimer była zdecydowana w swojej działalności filantropijnej.

Zmuszają Pierrota, by przyłączył się do kręgu. Odmawia. Wędruje dalej z pobladłą twarzą – wieczny kochanek szukający swego ideału. Zapada wieczór. Arlekin i Kolombina, niewidzialni, tańczą w nieświadomym ich obecności tłumie. Błonia pustoszeją, tylko znużony Pierrot zasypia na trawiastym brzegu rzeki. Arlekin i Kolombina tańczą wokół niego. Pierrot budzi się i widzi Kolombinę. Uwodzi ją na próżno, błaga, zaklina...

Przystaje, niepewna. Arlekin nakłania ją do odejścia. Lecz ona już go nie dostrzega. Słucha Pierrota, który ponownie śpiewa pieśń miłości. Rzuca się w jego ramiona. Kurtyna opada.

Drugi akt zaczyna się w chacie Pierrota. Kolombina siedzi przy palenisku. Jest blada, zmęczona. Nasłuchuje... lecz czego? Pierrot śpiewa dla niej, prosi, by znów myślała o nim. Ściemnia się. Rozlega się grzmot... Kolombina odkłada wrzeciono. Jest niespokojna. Nie słucha już Pierrota. W powietrzu brzmi jej własna muzyka, muzyka Arlekina i Kolombiny... Budzi się. Przypomina sobie.

Uderzenie pioruna! W drzwiach staje Arlekin. Pierrot nie może go zobaczyć, lecz Kolombina zrywa się z radosnym śmiechem. Nadbiegają dzieci – odpycha je. Przy następnym grzmocie rozpadają się ściany i Kolombina wybiega roztańczona w dziką noc razem z Arlekinem.

Ciemność, melodia Pierretty. Powoli się rozwidnia. Znów chata. Pierrot i Pierretta zestarzelili się, posiwili, siedzą przy ogniu w fotelach. Muzyka jest wesoła, choć stłumiona. Pierretta kiwa głową. Przez okno wpada blask księżyca, a wraz z nim motyw zapomnianej dawno temu piosenki Pierrota. On kręci się niespokojnie w fotelu.

Delikatna muzyka... baśniowa muzyka... Na zewnątrz Arlekin i Kolombina. Drzwi otwierają się gwałtownie i Kolombina tanecznym krokiem wchodzi do środka. Pochyliła się nad śpiącym Pierrotem, całuje go w usta...

Huk grzmotu! Znów znalazła się na zewnątrz. Pośrodku sceny widać oświetlone okno, a za nim sylwetki Arlekina i Kolombiny oddalające się w tańcu, coraz mniej widoczne...

Spada polano. Pierretta podskakuje zdenerwowana, biegnie do okna i zaciąga zasłonę. Tak się to kończy – nagłym dysonansem.

Pan Satterthwaite siedział nieruchomo, kiedy publiczność zaczęła bić brawo i krzyżeć z zachwytem. Wreszcie podniósł się i wyszedł z sali. Podszedł do Molly Stanwell, która przyjmowała pochwały, zarumieniona i podekscytowana. Dostrzegł Johna Denmana, jak łokciami przebija się przez tłum, z blaskiem w oczach. Molly skierowała się ku niemu, lecz on, niemal nieświadomie, odsunął ją. To nie jej szukał.

– Moja żona? Gdzie jest moja żona?

– Zdaje się, że wyszła do ogrodu.

Jednak to pan Satterthwaite odnalazł ją pierwszy. Siedziała na kamiennej ławce pod cyprysem. Kiedy zbliżył się do niej, uczynił rzecz dziwną. Ukląkł i podniósł jej dłoń do ust.

– Ach! – zawołała. – Myśli pan, że dobrze tańczyłam?

– Tańczyła pani... tak samo jak zawsze, *madame* Charsanowa.

Gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Więc... odgadł pan.

– Jest tylko jedna Charsanowa. Nikt nie mógłby zobaczyć, jak pani tańczy, i zapomnieć. Lecz dlaczego? Dlaczego?

– A co innego mogłam zrobić?

– To znaczy?

Zawsze mówiła prosto i równie prosto odpowiedziała mu teraz:

– Ależ pan to rozumie. Jest pan człowiekiem światowym. Wielka baletnica może mieć kochanków, lecz mąż to co innego. A on... on nie zgadzał się na innych. Chciał, bym należała do niego tak... tak jak nigdy nie mogłaby należeć do nikogo Charsanowa.

– Rozumiem – powiedział pan Satterthwaite. – Rozumiem. Więc pani rzuciła taniec?

Skinęła głową.

– Musiała go pani bardzo kochać – stwierdził łagodnie pan Satterthwaite.

– Żeby się tak poświęcić? – Roześmiała się.

– Nie całkiem. Żeby zrobić to z tak lekkim sercem.

– A, tak... może... ma pan rację.

– A teraz? – spytał pan Satterthwaite.

Spoważniała.

– Teraz? – Umilkła, a po chwili rzuciła głośniej, w ciemność: – To pan, Sergiuszu Iwanowiczu?

W świetle księżycy pojawił się książę Oranow. Wziął ją za rękę i nieświadomie uśmiechnął się do pana Satterthwaite'a.

– Dziesięć lat temu przeżywałem żałobę po Annie Charsanowej – rzekł po prostu. – Była częścią mnie. Dziś ponownie ją odnalazłem. Nigdy się już nie rozstaniemy.

– Na końcu alei, za dziesięć minut – powiedziała Anna. – Nie zawiodę cię.

Oranow skinął głową i odszedł. Tancerka zwróciła się do pana Satterthwaite'a. Na jej ustach błąkał się uśmiech.

– Cóż, nie jest pan zadowolony, mój przyjacielu?

– Czy wie pani – zaczął gwałtownie pan Satterthwaite – że mąż pani szukał?

Dostrzegł, jak jej twarz drgnęła, lecz głos pozostał spokojny.

– Tak – odparła poważnie. – To możliwe.

– Widziałem jego oczy. One... – Urwał raptownie.

Zachowała spokój.

– Tak, być może. Przez godzinę. Godzina może być magiczna, zrodzona ze wspomnień przeszłości, z muzyki, ze światła księżycy... lecz minie.

– Więc nie mogę pani przekonać? – Czuł się stary, przygnębiony.

– Przez dziesięć lat żyłam z człowiekiem, którego kocham – oświadczyła Anna Charsanowa. – Teraz odchodzę do tego, który od dziesięciu lat kocha mnie.

Pan Satterthwaite się nie odezwał. Nie został mu już żaden argument. Poza tym to rzeczywiście wydawało się najprostszym rozwiązaniem. Tylko... tylko nie takiego rozwiązania pragnął. Poczł jej rękę na ramieniu.

– Wiem, przyjacielu, wiem. Jednak nie ma trzeciego wyjścia. Zawsze szukamy jednego: kochanka, idealnego, wiecznego kochanka. Słyszemy muzykę Arlekin. Nie zadowoli nas żaden ziemski kochanek, gdyż wszyscy są śmiertelni. Ale Arlekin jest tylko mitem, niewidzialnym... chyba że...

– Tak. Tak?

– Chyba że... jego imię brzmi... Śmierć!

Pan Satterthwaite zadrżał. Odeszła od niego, pochłonęły ją ciemności...

Nie wiedział, jak długo tam siedział, lecz raptownie podskoczył, mając wrażenie, że marnuje cenny czas. Ruszył pośpiesznie, pchany w określonym kierunku, niemal wbrew woli.

Kiedy dotarł do alei, ogarnęło go dziwne uczucie nierealności. Magia... magia i światło księżyca. I dwie zbliżające się do niego postacie...

Oranow w stroju Arlekina. Tak najpierw pomyślał. Potem, kiedy go minęli, zrozumiał swoją pomyłkę. Ta smukła, gibka postać mogła należeć tylko do jednej osoby: do pana Quina...

Poszli aleją, lekko, jakby płynęli w powietrzu. Pan Quin obrócił głowę i obejrzał się, a pan Satterthwaite przeżył szok, gdyż nie była to twarz pana Quina, jaką znał do tej pory. To była obca twarz... choć nie, nie całkiem obca. Ach! Wiedział już: to była twarz Johna Denmana, takiego, jakim był, zanim życie ułożyło mu się zbyt wygodnie. Żywa, żądna przygód twarz chłopca i kochanka...

Dobiegł go jej śmiech, czysty i szczęśliwy... Patrzył za nimi i dostrzegł w oddali światła chatki. Stał jak człowiek pogrążony we śnie.

Obudzono go brutalnie. Poczul na ramieniu czyjaś dłoń. Odwrócił się i spojrział w twarz Sergiusza Oranowa. Mężczyzna był blady, zaniepokojony.

– Gdzie ona jest? Gdzie jest? Obiecała, a jednak nie przyszła.

– Pani właśnie poszła w dół alei. Sama – powiedziała służąca pani Denman stojąca w cieniu furki za nimi. Czekala z okryciem swej pani. – Stałam tu i widziałam, jak przechodzi.

– Sama? Powiedziałaś: sama? – rzucił ostro pan Satterthwaite.

Pokojówka rozszerzyła w zdumieniu oczy.

– Tak, proszę pana. Nie widział jej pan?

Pan Satterthwaite schwycił kurczowo Oranowa.

– Prędko! – rzucił. – Ja... ja się boję.

Poszli razem aleją. Rosjanin mówił szybko i nieskładnie:

– To cudowne stworzenie! Ależ zatańczyła dzisiaj! I ten pański przyjaciel. Kto to jest? Wspaniały tancerz. Wyjątkowy! Dawno temu, kiedy tańczyła Kolombinę do muzyki Rimskiego-Korsakowa^[15], nigdy nie znalazła idealnego Arlekina.

Mordow, Kassanin, żaden z nich nie był doskonały. Miała taką swoją fantazję. Kiedyś mi o tym powiedziała. Zawsze tańczyła z wyśnionym Arlekinem, który naprawdę nie istniał. Tańczył z nią prawdziwy Arlekin, tak mówiła. To dzięki tej fantazji stawała się tak cudowną Kolombiną.

Pan Satterthwaite skinął głową. Ale myślał tylko o jednym.

– Szybciej! – rzucił. – Musimy zdążyć na czas. Och! Musimy zdążyć.

Minęli ostatni zakręt i podeszli do głębokiego dołu, w którym leżało coś, czego nie było tam przedtem: ciało kobiety w cudownej pozie, z ramionami rozrzuconymi szeroko i głową odrzuconą w tył. Martwa twarz, martwe ciało, triumfujące i piękne w blasku księżyca.

Pan Satterthwaite mgliście przypomniał sobie pewne słowa. Były to słowa pana Quina: „Czasem na śmietniku leżą wspaniałe skarby”. Teraz je zrozumiał.

Oranow wyrzucał z siebie urywane zdania. Po jego twarzy płynęły łzy.

– Kochałem ją. Zawsze ją kochałem! – Użył niemal tych samych słów, które trochę wcześniej tego dnia przysły na myśl panu Satterthwaite'owi. – Należeliśmy do tego samego świata, ona i ja. Mieliśmy te same myśli, te same marzenia. Zawsze bym ją kochał...

– Skąd pan to wie?

Rosjanin spojrzał na niego zaskoczony irytacją w jego głosie.

– Skąd pan to wie? – powtórzył pan Satterthwaite. – Tak myślą wszyscy zakochani, to właśnie mówią... Ale jest tylko jeden kochanek...

Odwrócił się i niemal wpadł na pana Quina. Wzburzony chwycił go za ramię i odciągnął na bok.

– To pan! – zawołał. – To pan był z nią przed chwilą.

Pan Quin odczekał moment, po czym odparł łagodnie:

– Może pan i tak to ująć, jeśli pan chce.

– A pokojówka nie widziała pana?

– Nie widziała.

– Ale ja widziałem. Dlaczego?

– Może z powodu ceny, którą pan zapłacił, widzi pan rzeczy, których inni nie dostrzegają.

Pan Satterthwaite patrzył na niego przez chwilę, nie rozumiejąc. Potem nagle zaczął drżeć jak liść osiki.

– Co to za miejsce? – wyszeptał. – Co to za miejsce?

– Mówiłem już panu wcześniej. To moja aleja.

– Aleja Zakochanych – mruknął pan Satterthwaite. – Wędrują nią zwykli ludzie.

– Większość, wcześniej czy później.

– A na jej końcu... Co znajdują na końcu?

Pan Quin się uśmiechnął. Jego głos brzmiał bardzo łagodnie. Wskazał na zrujnowaną chatkę powyżej.

– Dom swoich marzeń... albo wysypisko śmieci. Kto to może wiedzieć?

Pan Satterthwaite spojrzał na niego. Ogarnął go nagły bunt. Poczł się oszukany, zdradzony.

– Ale ja... – Głos mu zadrżał. – Ja nigdy nie poszedłem pańską aleją.

– Żałuje pan?

Pan Satterthwaite się zląkł. Zdało mu się, że sylwetka pana Quina rośnie do ogromnych rozmiarów... Miał wrażenie czegoś złowieszczonego, groźnego... Radość, smutek, rozpacz.

I jego wygodna duszyczka skurczyła się przestraszona.

– Żałuje pan? – powtórzył pan Quin. Było w nim coś przerażającego.

– Nie – wyjąkał pan Satterthwaite. – Nie...

I nagle się otrząsnął.

– Ale widzę różne rzeczy! – zawołał. – Może jestem tylko obserwatorem życia, ale dostrzegam to, czego inni nie widzą. Sam pan to powiedział, panie Quin.

Lecz pan Quin już zniknął.

SPRAWA WŁOSKIEGO ARYSTOKRATY

Przełożyła
Brygida Kaliszewicz



Opowiadanie pochodzi ze zbioru
Poirot prowadzi śledztwo

Opowiadanie pochodzi ze zbioru

Poirot prowadzi śledztwo

Poirot i ja mieliśmy wielu przyjaciół i znajomych wśród osób niezwiązanych z naszą działalnością śledczą. Zaliczał się do nich doktor Hawker, nasz bliski sąsiad, z zawodu lekarz. Miłym zwyczajem doktora było to, iż wpadał czasem wieczorem, żeby pogawędzić z Poirotem, którego geniuszu był żarliwym wielbicielem. Sam doktor, szczerzy i niezwykle ufny, podziwiał te talenty, tak bardzo odmienne od jego własnych.

Pewnego wieczoru na początku czerwca przybył około 20.30 i zasiadł do zajmującej dyskusji na tak urzekający temat, jak nagminne stosowanie arszeniku podczas popełniania zbrodni. Minął chyba kwadrans, gdy nagle drzwi do salonu się otworzyły i wpadła przez nie roztrzęsiona kobieta.

– Och, doktorze, wzywano pana! Taki straszny głos! Myślałam, że zemdleję, naprawdę.

W naszym nowym gościu rozpoznałem gosposię doktora Hawkera, pannę Rider. Doktor był kawalerem i mieszkał w ponurym, starym domu kilka ulic dalej. Zwykle spokojna panna Rider teraz niemal odchodziła od zmysłów.

– Co za straszny głos? Kto to był i co się stało?

– Zadzwoił telefon, doktorze. Podniosłam słuchawkę i usłyszałam czyjś głos: „Pomocy! Doktorze, pomocy! Zabili mnie!”. Potem zamilkł. Zapytałam: „Kto mówi? Kto mówi?”. Wówczas usłyszałam odpowiedź, prawie szeptem: „Foscatine”, lub coś podobnego, Regent’s Court”.

Z ust doktora wyrwał się okrzyk:

– Hrabia Foscatini! Tak, ma mieszkanie w Regent’s Court. Muszę się tam natychmiast udać. Co się mogło stać?

– To pański pacjent? – zapytał Poirot.

– Zajmowałem się nim przed kilkoma tygodniami z powodu pewnej niewielkiej dolegliwości. To Włoch, ale znakomicie mówi po angielsku. Cóż, zmuszony jestem pożegnać się z panem, *monsieur* Poirot, chyba że... – Zawahał się.

– Wiem, co pan ma na myśli – odparł Poirot z uśmiechem. – Z przyjemnością będę panu towarzyszył. Hastings, zejdź, proszę, i złap taksówkę.

Taksówki mają to do siebie, że zawsze trzeba ich szukać, gdy akurat brak na to czasu, ale w końcu zatrzymałem jedną i już wkrótce pędziliśmy w kierunku Regent's Park. Regent's Court był to nowy blok mieszkalny położony tuż przy St John's Wood Road. Niedawno go zbudowano, więc wyposażony został w najnowsze urządzenia techniczne.

W holu nie było nikogo. Doktor nerwowo nacisnął przycisk przywołujący windę i gdy przyjechała, zaczął gwałtownie indagować przyodzianego w uniform windziarza.

– Mieszkanie numer jedenaście. Hrabia Foscatini. O ile się nie mylę, wydarzył się tam jakiś wypadek.

Mężczyzna popatrzył na niego ze zdziwieniem.

– Pierwsze słyszę. Pan Graves, służący hrabiego Foscatiniego, wyszedł jakieś pół godziny temu i nic nie mówił.

– Czy hrabia jest sam w mieszkaniu?

– Nie, proszę pana, je kolację z dwoma dżentelmenami.

– Jak wyglądają? – zapytałem ożywiony.

Staliśmy teraz w windzie szybko jadącej na drugie piętro, gdzie znajdowało się mieszkanie hrabiego.

– Nie widziałem ich, proszę pana, wiem tylko, że to jacyś cudzoziemcy.

Otworzył metalowe drzwi i wyszliśmy na podest. Mieszkanie numer jedenaście znajdowało się naprzeciw nas. Doktor zadzwonił do drzwi. Nikt ich nie otworzył, a ze środka nie dobiegł nas żaden dźwięk. Doktor dzwonił jeszcze wielokrotnie – słyszeliśmy tryl dzwonka wewnątrz, ale najmniejszych oznak życia w odpowiedzi.

– Sprawa wygląda poważnie – wymamrotał doktor. Odwrócił się do windziarza. – Czy są do tych drzwi jakieś zapasowe klucze?

– Jest jeden, na dole, w portierni.

– Więc niech go pan przyniesie. I myślę, że dobrze by było zadzwonić po policję.

Poirot wyraził aprobatę skinieniem głowy.

Mężczyzna wkrótce wrócił, a wraz z nim przyszedł gospodarz.

– Proszę mi wyjaśnić, panowie, co to wszystko znaczy.

– Naturalnie. Otrzymałem od hrabiego Foscatiniego telefoniczną wiadomość, że został napadnięty i umiera. Pojmuje pan, że nie mamy czasu do stracenia, jeśli już nie jest za późno.

Gospodarz bez dalszych wstępów wyjął klucz i wszyscy weszliśmy do mieszkania.

Znaleźliśmy się w małym kwadratowym przedpokoju. Drzwi z prawej strony były uchylone. Gospodarz wskazał na nie ruchem głowy.

– Jadalnia.

Doktor Hawker szedł przodem. Podążaliśmy tuż za nim. Gdy weszliśmy do pokoju, zaparło mi dech w piersiach. Na okrągłym stole, stojącym w samym środku, znajdowały się resztki posiłku. Trzy krzesła odsunięto do tyłu, tak jak gdyby ich użytkownicy dopiero co wstali. W kącie, na prawo od kominka, stało duże biurko, przy którym siedział jakiś człowiek, czy raczej to, co z niego zostało. Prawą ręką nadal trzymał podstawkę telefonu, ale twarzą upadł do przodu, najwyraźniej na skutek straszliwego ciosu, jaki zadano mu w tył głowy. Narzędzia zbrodni nie trzeba było daleko szukać. Marmurowa statuetka stała tam, gdzie ją w pośpiechu odstawiono, jej dolna część była poplamiona krwią.

Lekarskie oględziny nie zajęły nawet minuty.

– Nie żyje. Śmierć musiała być prawie natychmiastowa. Dziwię się, że zdołał jeszcze zadzwonić. Lepiej go nie ruszać, dopóki nie przyjedzie policja.

Przychylając się do propozycji gospodarza, przeszukaliśmy mieszkanie, ale rezultat był łatwy do przewidzenia. Mało prawdopodobne było, aby mordercy mogli się tam schować, skoro wystarczyło po prostu wyjść z mieszkania.

Wróciliśmy do jadalni. Poirot nie brał udziału w naszej eskapadzie. Zostałem go pilnie przypatrującego się stołowi. Przyłączyłem się do niego. Stół był okrągły, polerowany, mahoniowy. Jego środek ozdabiała czara z różami, a na błyszczącej powierzchni leżały białe koronkowe podkładki pod naczynia. Była też patera z owocami, ale trzy talerzyki do deserów pozostały nietknięte. Trzy filiżanki do kawy zawierały pozostałości tego napoju, w dwóch była czarna kawa, w jednej z mlekiem. Wszyscy trzej mężczyźni pili porto, a karafka, napełniona do połowy, stała przed środkowym nakryciem. Jeden z mężczyzn wypalił cygaro, dwóch pozostałych papierosy. Szylkretowo-srebrne pudełko z cygarami i papierosami leżało otwarte na stole.

Zanotowałem w pamięci wszystkie te szczegóły, ale musiałem przyznać, że ani trochę nie wyjaśniały one całej sytuacji. Ciekawiło mnie, co zobaczył w nich Poirot, skoro był taki skupiony. Zapytałem go o to.

– *Mon ami* – odparł – nie pojmujesz istoty sprawy. Szukam czegoś, co by tu nie pasowało.

– Czego na przykład?

– Jakiegoś błędu, nawet najmniejszego, jaki mógł popełnić morderca.

Wkroczył szybko do przyległej kuchenki, rozejrzał się po niej i przecząco pokręcił głową.

– *Monsieur* – poprosił gospodarza – proszę mi wyjaśnić, w jaki sposób dostarcza się tu posiłki.

Gospodarz podszedł do małego okienka w ścianie.

– Do tego służy ta mała winda – wyjaśnił. – Prowadzi do kuchni, która znajduje się na najwyższym piętrze budynku. Zamówienie składa się przez ten telefon, a potrawy są przesyłane windą, jedno danie co jakiś czas. Brudne talerze i półmiski są odsyłane do kuchni w ten sam sposób. Dzięki temu nie trzeba samemu gotować, a zarazem można uniknąć rozgłosu, jaki towarzyszy ciągłemu jadaniu posiłków w restauracji.

Poirot z aprobatą skinął głową.

– A zatem talerze i półmiski, jakich użyto dzisiejszego wieczoru, są na górze, w kuchni. Pozwoli pan, że się tam udam?

– Ależ oczywiście, jeżeli pan chce! Roberts, windziarz, zabierze pana na górę i przedstawi obsłudze, ale obawiam się, że niczego pan tam nie znajdzie. Trafiają tam setki talerzy i półmisków, a wszystkie składa się razem.

Poirot pozostał jednak niewzruszony, więc razem odwiedziliśmy kuchnię i wypytaliśmy mężczyznę, który odbierał zamówienie z mieszkania numer jedenaście.

– Zamówiono kolację dla trzech osób, z karty dań – wyjaśnił. – Zupę jarzynową, filet z soli po normandzku, tournedos^[16] z wołowiny i suflet ryżowy. O której godzinie? Chyba około ósmej. Nie, obawiam się, że talerze i półmiski zostały już umyte. Niestety. Chodzi panu o odciski palców, jak sądzę?

– Niezupełnie – odparł Poirot, zagadkowo się uśmiechając. – Bardziej mnie interesuje apetyt hrabiego Foscatiniego. Czy próbował każdej potrawy?

– Tak, ale oczywiście nie potrafię powiedzieć, ile zjadł każdej z nich. Wszystkie talerze były brudne, a półmiski puste, z wyjątkiem tego, na którym podano suflet. Sporo go zostało.

– Ach tak! – zawołał Poirot i wydawał się usatysfakcjonowany.

Gdy wracaliśmy do mieszkania, zauważył cicho:

– Najwyraźniej mamy do czynienia z człowiekiem działającym metodycznie.

– Masz na myśli mordercę czy hrabiego Foscatiniego?

– Ten ostatni bez wątpienia był bardzo dokładnym dżentelmenem. Po tym, jak błagał o pomoc i zakomunikował o zbliżającym się zgonie, ostrożnie odwiesił na miejsce słuchawkę.

Zaskoczony zacząłem wpatrywać się w Poirota. Jego słowa, a wcześniej jego pytania podsunęły mi pewną myśl.

– Podejrzewasz, że został otruty? – wyszeptalem. – Cios w głowę miał jedynie posłużyć do zmylenia śladów.

Poirot tylko się uśmiechnął.

Gdy weszliśmy do mieszkania hrabiego, zastaliśmy już tam inspektora miejscowej policji wraz z dwoma posterunkowymi. Niewiele brakowało, a ten pierwszy oburzyłby się na nasz widok, lecz uspokoił go Poirot, wspominając o inspektorze Jappie, naszym przyjacielu ze Scotland Yardu, dzięki czemu pozwolono nam zostać, aczkolwiek niechętnie. I dobrze się stało, bo nie upłynęło nawet pięć minut, gdy do pokoju wpadł jakiś mocno poruszony mężczyzna, z widocznymi oznakami żalu i wzburzenia.

Był to Graves, służący i kamerdyner świętej pamięci hrabiego Foscatiniego. Historia, którą nam opowiedział, była wręcz sensacyjna.

Poprzedniego ranka dwóch dżentelmenów chciało się widzieć z jego panem. Byli to Włosi, starszy z nich, mężczyzna lat około czterdziestu, przedstawił się jako signor Ascanio. Młodszy był dobrze ubranym młodzieńcem, lat około dwudziestu czterech.

Hrabia Foscatini najwyraźniej spodziewał się ich wizyty, gdyż natychmiast wysłał Gravesa z domu z jakimś błahym poleceniem. Tu mężczyzna urwał i zawahał się, nim dalej zaczął opowiadać. W końcu jednak przyznał, że zainteresowany celem spotkania nie od razu zastosował się do dyspozycji pracodawcy, lecz zwlekał nieco, próbując się zorientować, o czym mówili.

Rozmowa była prowadzona na tyle cicho, iż usłyszał mniej, niż się spodziewał, ale dotarło do niego wystarczająco dużo, aby mógł pojąć, że dyskutowano na temat jakiejś pieniężnej propozycji, u której podłoża tkwiła groźba. Dyskusja bynajmniej nie była przyjazna. Ostatecznie hrabia Foscatini podniósł nieco głos i służący usłyszał wyraźnie: „Panowie, nie mam teraz czasu na dalsze spory. Zjedzcie ze mną kolację jutro o ósmej, a wtedy na nowo podejmiemy tę dyskusję”.

Bojąc się, że zostanie przyłapany na podsłuchiwanie, Graves wyszedł pośpiesznie, aby wypełnić polecenie hrabiego.

Tego wieczoru obaj mężczyźni przybyli punktualnie o 20.00. Podczas kolacji rozmawiali o sprawach nieistotnych: polityce, pogodzie i świecie teatru. Gdy Graves postawił na stole porto i przyniósł kawę, jego pracodawca stwierdził, że tego wieczoru służący może mieć wychodne.

– Czy zwykle się tak zachowywał, gdy miał gości? – zapytał inspektor.

– Ależ nie, proszę pana. To właśnie zrodziło moje przypuszczenia, że sprawa, którą zamierza z tymi dżentelmenami przedyskutować, musi być wyjątkowa.

Na tym kończyła się opowieść Gravesa. Wyszedł około 20.30 i spotkawszy przyjaciela, wraz z nim udał się do Metropolitan Music Hall przy Edgware Road.

Nikt nie widział wychodzących gości hrabiego Foscatiniego, ale czas popełnienia morderstwa określono dokładnie: 20.47. Zegar stojący na biurku, który w chwili upadku zrzuciła ofiara, zatrzymał się na tej godzinie, wtedy też panna Rider odebrała telefon.

Policyjny chirurg dokonał oględzin zwłok i teraz leżały one na kanapie. Po raz pierwszy zobaczyłem twarz: oliwkową cerę, długi nos, bujne czarne wąsy i pełne czerwone wargi, odsłaniające olśniewająco białe zęby. Nie była to twarz zbyt sympatyczna.

– Cóż – stwierdził inspektor, ponownie zamykając notatnik. – Sprawa wydaje się jasna. Jediną trudnością będzie schwytanie tego signora Ascania. Nie sądzę, aby jego adres przypadkiem znalazł się w kieszonkowym notesie nieboszczyka.

Jak już wcześniej stwierdził Poirot, świętej pamięci Foscatini był człowiekiem dokładnym. Słowa *signor Paolo Ascanio*, *hotel Grosvenor* były zanotowane drobnym, starannym pismem.

Inspektor zajął się telefonowaniem, po czym odwrócił się do nas, pokazując zęby w szerokim uśmiechu.

– W samą porę. Nasz wytworny dżentelmen zamierzał właśnie złapać pociąg mający bezpośrednie połączenie ze statkiem płynącym na kontynent. A zatem, panowie, to chyba wszystko, co możemy zrobić. Sprawa jest ponura, ale dosyć prosta. Prawdopodobnie to jeszcze jedna włoska wendeta.

Tak beztrąsko odprawieni schodziliśmy tym razem po schodach. Doktor Hawker był niezwykle podniecony.

– Jak w powieści, prawda? Bardzo ekscytujące. Aż trudno uwierzyć!

Poirot nie odpowiedział. Był bardzo zamyślony. Przez cały wieczór prawie nie otwierał ust.

– Cóż zatem twierdzi król detektywów? – zapytał Hawker, poklepując go po plecach. – Tym razem pańskie szare komórki nie mają nad czym pracować.

– Tak pan uważa?

– Bo też co by to mogło być?

– Na przykład okno.

– Okno? Ależ było solidnie zamknięte. Nikt nie mógłby tamtędy wejść ani wyjść. Zwróciłem na to szczególną uwagę.

– A dlaczego mógł pan na to zwrócić uwagę?

Doktor wyglądał na zakłopotanego. Poirot pośpieszył z wyjaśnieniem.

– Mam na myśli zasłony. Nie były zaciągnięte. Trochę to dziwne. I jeszcze ta kawa. Taka czarna.

– I co z tego?

– Taka czarna – powtórzył Poirot. – Gdy weźmiemy pod uwagę i ten fakt, a warto o nim pamiętać, że zjedzono tak mało ryżowego sufletu, co otrzymamy?

– Nonsens! – rzekł doktor ze śmiechem. – Stroi pan sobie żarty.

– Nigdy nie stroję żartów. Obecny tu Hastings wie, że mówię najzupełniej poważnie.

– Mimo wszystko nadal nie wiem, do czego zmierzasz – wyznałem. – Czyżbyś podejrzewał tego służącego? To prawda, że mógł należeć do bandy i wrzucić jakiś środek odurzający do kawy. Przypuszczam, że sprawdzą jego alibi.

– Bez wątpienia, przyjacielu, ale mnie interesuje alibi signora Ascania.

– Myślisz, że ma jakieś alibi?

– To właśnie nie daje mi spokoju. Nie wątpię, że już wkrótce będziemy to wiedzieć.

„Daily Newsmonger” zapoznał nas gruntownie z kolejnymi wydarzeniami w tej sprawie.

Paola Ascania aresztowano i oskarżono o zabicie hrabiego Foscatiniego. Aresztowany zaprzeczył, że znał hrabiego, i oświadczył, że nie był w pobliżu Regent’s Court ani tego wieczoru, gdy popełniono zbrodnię, ani poprzedniego ranka. Młodszy mężczyzna zniknął bez śladu. Signor Ascanio przybył z kontynentu sam i zatrzymał się w hotelu Grosvenor dwa dni przed morderstwem. Wszystkie wysiłki, aby odszukać drugiego mężczyznę, spełzły na niczym.

Ascaniowi nie wytoczono jednak procesu. Ni mniej, ni więcej, tylko sam włoski ambasador zgłosił się na policję i zeznał, że tego wieczoru, od 20.00 do 21.00, Ascanio był z nim w ambasadzie. Zatrzymanego zwolniono. Naturalnie, wiele osób uważało, że zbrodnia miała charakter polityczny i celowo została zatuszowana.

Poirot interesował się żywo tymi wszystkimi szczegółami. Byłem jednak nieco zaskoczony, gdy pewnego ranka poinformował mnie, że spodziewa się gościa i że gościem tym ma być nie kto inny, jak tylko sam Ascanio.

– Pragnie się z tobą skonsultować?

– *Du tout*^[17], Hastings, to ja pragnę skonsultować się z nim.

– W jakiej sprawie?

– Morderstwa w Regent’s Court.

– Zamierzasz udowodnić, że je popełnił?

– Żaden człowiek nie może być sądzony dwukrotnie za tę samą zbrodnię, Hastings. Postaraj się podejść do tego rozsądnie. Ach, to pewno dzwoni nasz gość.

Kilka minut później wszedł do pokoju Paolo Ascanio, niewysoki mężczyzna rzucający ukradkowe, tajemnicze spojrzenia. Stał, patrząc na nas podejrzliwym wzrokiem.

– *Monsieur Poirot?*

Mój przyjaciel delikatnie poklepał się po piersi.

– Zechce pan usiąść, signor. Otrzymał pan mój list. Zależy mi na wyjaśnieniu tej tajemnicy. W pewnym stopniu może mi pan pomóc. Zaczniemy zatem. W towarzystwie kolegi odwiedził pan świętej pamięci hrabiego Foscatiniego we wtorek rano, dziewiątego...

Włoch zareagował oburzeniem.

– Ależ nie byłem tam! Przysięgałem już w sądzie...

– Mnie się jednak wydaje, że popełnił pan krzywoprzysięstwo.

– Grozi mi pan? Też coś! Nic mi pan nie może zrobić. Zostałem uniewinniony.

– To prawda, z tym że nie straszę pana szubienicą, lecz opinią publiczną. Opinia publiczna! Widzę, że nie lubi pan tego słowa. Tak też przypuszczałem. A bardzo sobie cenię własne przypuszczenia... Proszę się więc opamiętać, signor, bo jedyna pańska szansa to być ze mną szczerym. Nie pytam, co sprowadziło pana do Anglii. Wiem tylko, że przybył pan specjalnie w tym celu, aby się zobaczyć z hrabią Foscatinim.

– On nie był hrabią – mruknął z dezaprobatą Włoch.

– Już wcześniej zauważyłem, że jego nazwisko nie figuruje w *Almanachu Gotajskim*^[18]. Mniejsza o to, wielu szantażystów używa tytułu hrabiego.

– Sądzę, że równie dobrze mogę być z panem szczerzy. Wygląda na to, że wie pan bardzo dużo.

– Posłużyłem się, nie bez pożytku, szarymi komórkami. A zatem odwiedził pan denata we wtorek rano. Tak było, prawda?

– Tak, ale nie poszedłem tam następnego wieczoru. Nie było takiej potrzeby. Opowiem panu wszystko. Pewne informacje dotyczące człowieka zajmującego ważną pozycję we Włoszech weszły w posiadanie tego łajdaka. Zażądał dużej sumy w zamian za oddanie dokumentów. Przyjechałem do Anglii, aby załatwić tę sprawę. Tamtego ranka go odwiedziłem po wcześniejszym uzgodnieniu terminu. Był ze mną jeden z młodych sekretarzy ambasady. Hrabia był rozsądniejszy, niż przypuszczałem, choć z drugiej strony suma, jaką mu zapłaciłem, była rzeczywiście olbrzymia.

– Przepraszam, w jakiej walucie pan mu ją wypłacił?

– Zapłaciłem od razu włoskimi banknotami o stosunkowo małym nominale, a on wręczył mi obciążające dokumenty. Nigdy więcej już go nie widziałem.

– Dlaczego nie powiedział pan tego, gdy pana aresztowano?

– Sprawa była delikatnej natury, dlatego musiałem zaprzeczyć jakimkolwiek związkom z tym człowiekiem.

– Jak więc tłumaczy pan wydarzenia tamtego wieczoru?

– Mogę jedynie przypuszczać, że ktoś celowo podał się za mnie. Rozumiem, że pieniędzy w mieszkaniu nie znaleziono.

Poirot popatrzył na niego i przecząco pokręcił głową.

– Dziwne – wymamrotał. – Wszyscy mamy szare komórki, a tak niewielu z nas wie, jak ich używać. Do widzenia, signor Ascanio. Wierzę w prawdziwość pańskiej opowieści. Tak też przypuszczałem. Ale musiałem się upewnić.

Po pożegnaniu gościa niskim ukłonem Poirot usiadł z powrotem w fotelu i uśmiechnął się do mnie.

– Posłuchajmy, co ma do powiedzenia kapitan Hastings.

– Cóż, sądzę, że Ascanio ma rację, ktoś się za niego podał.

– Czy nigdy nie używasz mózgu, który dobry Bóg ci ofiarował? Przypomnij sobie słowa, jakie wypowiedziałem owego wieczoru, gdy wyszliśmy stamtąd. Wspomniałem, że zasłony w oknie nie były zaciągnięte. Mamy teraz czerwiec. O ósmej jest jeszcze jasno. Zmierzch zapada pół godziny później. *Ça vous dit quelque chose?*^[19] Mam wrażenie, że w końcu ci się powie. Wróćmy teraz do tematu. Kawa, jak już wspomniałem, była bardzo mocna. Zęby hrabiego Foscatiniego były natomiast niezwykle białe. Kawa przecież pozostawia na zębach osad. Wnioskujemy z tego, że hrabia Foscatini nie pił kawy. Mimo to kawa znajdowała się we wszystkich trzech filiżankach. Dlaczego ktoś miałby udawać, że hrabia Foscatini pił kawę, gdy tak naprawdę tego nie robił?

Przecząco pokręciłem głową, całkowicie zdezorientowany.

– Pomogę ci. Jaki dowód mamy na to, że Ascanio i jego kolega, czy też jakichkolwiek dwóch mężczyzn, którzy by się za nich podawali, poszło tam pamiętnego wieczoru? Nikt nie widział, jak wchodzili, nikt nie widział, jak wychodzili. Potwierdzają to zeznania jednego człowieka i mnóstwo nieożywionych przedmiotów.

– Co masz na myśli?

– Noże, widelce, talerze i puste półmiski. Ach, to był wspaniały pomysł! Graves jest złodziejem i łajdakiem, ale jakże metodycznie działa! Podsłuchał

rano część rozmowy, wystarczająco dużo, aby zdać sobie sprawę, że Ascanio znajdzie się w na tyle niezręcznej sytuacji, iż trudno będzie mu się bronić. Następnego wieczoru, około ósmej, powiedział swemu pracodawcy, że jest do niego telefon. Foscatini usiadł przy biurku, wyciągnął rękę po słuchawkę i nagle Graves zadał mu z tyłu cios marmurową figurką. Potem popędził do telefonu w kuchni, aby złożyć zamówienie: kolacja dla trzech osób! Gdy została ona dostarczona, nakrył stół, pobrudził talerze, noże, widelce i tak dalej. Lecz musiał się także pozbyć jedzenia. Jest to człowiek, który ma nie tylko głowę na karku, ale też pojemny żołądek! Po zjedzeniu trzech tournedos okazało się jednak, że suflet z ryżu to dla niego za wiele! Wypalił nawet cygaro i dwa papierosy, aby uczynić mistyfikację bardziej wiarygodną. Ach, jaka dbałość o szczegóły! Następnie, przesunąwszy wskazówki zegara na ósmą czterdzieści siedem, rozbił go, w wyniku czego zegar się zatrzymał. Jediną rzeczą, o której zapomniał, jest zaciągnięcie zasłon. Gdyby kolacja taka naprawdę się odbyła, zaciągnięto by je, gdy tylko zaczęłyby zapadać zmierzch. Potem pośpiesznie wyszedł, mimochodem napomykając windziarzowi o gościach. Pobiegł do budki telefonicznej i gdy zbliżała się ósma czterdzieści siedem, zadzwonił do doktora, udając swego umierającego pracodawcę. Pomysł był tak znakomity, że nikt nawet nie sprawdził, czy o tej porze w ogóle dzwoniło z mieszkania numer jedenaście.

– Z wyjątkiem Herkulesa Poirota, jak sądzę? – rzuciłem nieco uszczypliwie.

– Nie, włączając w to i jego – odparł mój przyjaciel z uśmiechem. – Mam zamiar zrobić to teraz. Najpierw jednak musiałem swoje domysły przedstawić tobie. Ale przekonasz się, że mam rację. Potem inspektor Japp, któremu napomknąłem o tej sprawie, będzie mógł aresztować owego zacnego Gravesa. Ciekaw jestem, ile z tych pieniędzy już wydał.

Poirot miał rację. Jak zwykle, niech go diabli!

JANE SZUKA PRACY

Przełożyła
Adela Drakowska



Opowiadanie pochodzi ze zbioru
Tajemnica lorda Listerdale'a

Opowiadanie pochodzi ze zbioru
Tajemnica lorda Listerdale'a

Jane Cleveland przewertowała strony „Daily Leader” i westchnęła. Westchnienie dobyło się z najgłębszych zakamarków jej duszy. Z niesmakiem spojrzała na marmurowy stolik, na którym postawiono talerzyk z jajkiem sadzonym na grzance i czajniczek herbaty. To wcale nie oznaczało, że nie była głodna. Wprost przeciwnie. Jane była okropnie głodna. W tej chwili czuła, że mogłaby spałaszować ogromny, dobrze wysmażony befsztyk z frytkami i fasolką, a potem popić go winem – bardziej podniecającym napojem niż herbata.

Jednak młode kobiety, których zasoby pieniężne znajdują się w stanie godnym pożałowania, nie powinny być wybredne. Szczęśliwie się składało, że Jane mogła zafundować sobie jajko i herbatę. Zdawało się mało prawdopodobne, aby mogła uczynić to samo jutro. Chyba że...

Wróciła do ogłoszeń w „Daily Leader”. Krótko mówiąc, Jane była bez pracy i jej sytuacja stawała się dramatyczna. Nawet pretensjonalna kobieta prowadząca obskurny pensjonat spoglądała już na nią krzywo.

„A przecież – zastanawiała się Jane, wysuwając w charakterystyczny dla siebie, wojowniczy sposób podbródek – jestem inteligentna, ładna i wykształcona. Czego więcej można chcieć?”

W „Daily Leader” poszukiwano maszynistek z ogromnym doświadczeniem, menedżerów posiadających niewielki kapitał do zainwestowania, kobiet do udziału w zyskach z hodowli drobiu (tutaj również konieczny był jakiś kapitał) oraz nieskończonej liczby kucharek, służących i pokojówek – zwłaszcza pokojówek.

„Nie miałabym nic przeciwko zostaniu pokojówką – pomyślała Jane – ale oczywiście nikt nie zatrudni pokojówki bez doświadczenia. Przypuszczam, że mogłabym pójść gdziekolwiek w charakterze »młodej i chętnej«, ale takim dziewczynom płacą tak marnie, że szkoda gadać”.

Znowu westchnęła, rozłożyła gazetę przed sobą i rzuciła się na sadzone jajko z energią zdrowej młodości. Kiedy uwinęła się z ostatnim kęsem, przewróciła stronę i, popijając herbatę, zabrała się do studiowania drobnych ogłoszeń. Ta rubryka stanowiła zawsze ostatnią nadzieję.

Gdyby miała dwa tysiące funtów, sprawa przedstawiałaby się o wiele prościej. Proponowano przynajmniej siedem możliwości świetnego zainwestowania pieniędzy – wszystkie przynoszące dochód nie mniejszy niż trzy tysiące funtów rocznie. Jane nieco skrzywiła usta.

– Gdybym miała dwa tysiące funtów – mruknęła – trudno by mi było się z nimi rozstać.

Przerzuciła wzrokiem kolumnę z góry na dół z wprawą nabytą podczas długiej praktyki.

Jakaś kobieta proponowała świetne ceny za stare ubrania. *Garderoba pań przeglądana jest w ich własnych domach.* Niektórzy mężczyźni kupowali absolutnie wszystko, ale przede wszystkim zęby! Utytułowane damy wyjeżdżające za granicę chciały się pozbyć swoich futer za śmiesznie niską cenę. Ogłaszali się tam również: dotknięty nieszczęściem duchowny, ciężko pracująca wdowa i sparaliżowany oficer – wszyscy potrzebowali rozmaitych kwot: od pięćdziesięciu do dwóch tysięcy funtów. I nagle Jane zatrzymała wzrok. Odstawiła filiżankę i raz jeszcze przeczytała ogłoszenie.

– W tym, rzecz jasna, kryje się jakaś pułapka – wyszeptwała. – Zawsze w czymś takim jest pułapka. Muszę być ostrożna. Ale jednak...

Ogłoszenie, które tak bardzo zaintrygowało Jane Cleveland, brzmiało następująco:

Jeżeli młoda dama w wieku od dwudziestu pięciu do trzydziestu lat, o ciemnoniebieskich oczach, bardzo jasnych włosach, czarnych rzęsach i brwiach, prostym nosie, szczupła, mająca sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, obdarzona zdolnościami naśladowczymi i znająca francuski zgłosi się na 7 Endersleigh Street pomiędzy piątą i szóstą po południu, dowie się czegoś, co przyniesie jej korzyść.

– Naiwna Gwendolina, czyli jak dziewczęta schodzą na złą drogę – szepnęła Jane. – Niewątpliwie muszę zachować ostrożność. Ale jak na takie rzeczy opis zawiera zbyt wiele szczegółów. Zastanawiam się... Przyjrzyjmy się dokładnie wymaganiom.

Przystąpiła do rzeczy, mrużąc pod nosem:

– Od dwudziestu pięciu do trzydziestu lat, a mam dwadzieścia sześć. Ciemnoniebieskie oczy, zgadza się. Włosy bardzo jasne, czarne rzęsy i brwi,

wszystko w porządku. Prosty nos? Tak, w każdym razie wystarczająco prosty, nie zakrzywiony i nie zadarty. Jestem szczupła, nawet jak na dzisiejsze czasy. Mam wprawdzie tylko metr sześćdziesiąt osiem wzrostu, ale mogę włożyć buty na wyższych obcasach. Potrafię naśladować. To nic specjalnego, ale imituję ludzkie głosy. A francuski znam śpiewająco, niemal jak rodowita Francuzka. W sumie spełniam wszystkie wymagania. Powinni paść z zachwytu, kiedy się pojawię. Jane Cleveland, idź i wygraj!

Jane rezolutnie wyrwała ogłoszenie z gazety i schowała je do torebki, po czym poprosiła o rachunek z wyraźnym ożywieniem w głosie.

Za dziesięć piąta Jane przeprowadzała rozpoznanie w okolicy Endersleigh Street. Była to mała uliczka, trochę zaniedbana, lecz przyzwoita, wciśnięta między dwie większe, w sąsiedztwie Oxford Circus.

Numer siedem zdawał się niczym nie różnić od sąsiednich domów. Podobnie jak inne, budynek zajmowały biura. Kiedy jednak Jane przyjrzała mu się baczniej, po raz pierwszy zaświtało jej w głowie, że nie była jedyną szczupłą niebieskooką blondynką o prostym nosie w wieku od dwudziestu pięciu do trzydziestu lat. W Londynie mieszkało oczywiście mnóstwo takich dziewcząt, a co najmniej czterdzieści lub pięćdziesiąt z nich zgromadziło się właśnie pod numerem siódmym na Endersleigh Street.

„Konkurencja” – pomyślała Jane. „Lepiej zrobię, jeśli ustawię się w kolejce”.

Gdy to uczyniła, zza rogu wyłoniły się następne trzy kandydatki, a za nimi ciągnęły inne. Jane zajęła się, nie bez uciechy, ocenianiem swych najbliższych sąsiadek. Za każdym razem udało jej się znaleźć coś niewłaściwego – jasne rzęsy zamiast ciemnych, oczy bardziej szare niż niebieskie, blond włosy, które kolor zawdzięczały sztuce fryzjerskiej, a nie naturze, całą kolekcję interesujących nosów albo też figurę, którą jedynie przez wyjątkową życzliwość można było nazwać szczupłą.

Kobiecie poprawił się nastrój.

– Uważam, że mam takie same szanse jak każda – mruknęła do siebie. – Ciekawa jestem, o co tu chodzi. Czyżby o zespół rewiowy?

Kolejka posuwała się do przodu wolno, ale dosyć płynnie. Po chwili z budynku zaczął wypływać drugi strumień dziewcząt. Niektóre szły z wysoko podniesioną głową, inne z głupkowskim uśmiechem.

„Odrzucone” – pomyślała Jane z radością. „Na litość boską, mam nadzieję, że będą tam jeszcze wolne miejsca, zanim ja wejdem”.

Kolejka ciągle posuwała się do przodu. Pełno było gorączkowych spojrzeń w malutkie lusterka, szaleńczego pudrowania nosów i demonstrowania szminek.

– Chciałabym mieć ładniejszy kapelusz – szepnęła ze smutkiem Jane.

Wreszcie nadeszła jej kolej. W środku po jednej stronie holu znajdowały się szklane drzwi opatrzone tabliczką z napisem: *Państwo Cuthbertsonowie*. Przez te właśnie drzwi przechodziły kandydatki. Jane odetchnęła głęboko i weszła.

Za drzwiami znajdował się sekretariat przeznaczony dla urzędników. Za nim widać było kolejne szklane drzwi. Polecono Jane, aby tam weszła, co też uczyniła. Znalazła się w małym gabinecie, w którym za dużym biurkiem siedział mężczyzna w średnim wieku, o bystrym spojrzeniu i sumiastych, z cudzoziemska wyglądających wąsach. Przesunął wzrokiem po Jane i wskazał jej drzwi po lewej stronie.

– Proszę tam poczekać – rzucił szorstko.

Dziewczyna usłuchała. Pokój, do którego weszła, nie był pusty. Siedziało tam już pięć dziewcząt, wszystkie bardzo spięte i lustrujące się nawzajem. Dla Jane było jasne, że została zaliczona do wybranek, i humor jej się poprawił. Musiała jednak przyznać, że tych pięć dziewcząt w równym stopniu co ona sama odpowiadało warunkom podanym w ogłoszeniu.

Czas płynął. Korowód dziewcząt przewijał się przez biuro. Większość z nich odprawiano i wychodziły drzwiami wiodącymi na korytarz, ale od czasu do czasu pojawiała się następna kandydatka zaliczona do wybranego grona. O 18.30 w pokoiku zebrało się już czternaście dziewcząt.

Jane usłyszała szmer głosów za ścianą. Po chwili wyglądający na cudzoziemca dżentelmen, którego w myślach przezwała „pułkownikiem” z powodu wojskowego charakteru jego wąsów, pojawił się w drzwiach.

– Teraz przyjmę panie po kolei – oznajmił. – W takiej kolejności, w jakiej przybyłyście, proszę.

Panna Cleveland była szóstą na liście. Minęło dwadzieścia minut, nim została poproszona do środka. „Pułkownik” stał z założonymi do tyłu rękami. Poddał ją szybkiemu egzaminowi, sprawdził jej znajomość francuskiego i zmierzył wzrost.

– Niewykluczone, panienko – powiedział po francusku – że będzie się pani nadawała. Jeszcze nie wiem, ale to możliwe.

– Czy mogę spytać, na czym ma polegać ta praca? – zapytała Jane bez ogródek. Wzruszył ramionami.

– Jeszcze nie mogę tego zdradzić. Dowie się pani wówczas, gdy zostanie pani wybrana.

– To wydaje się bardzo tajemnicze – sprzeciwiła się Jane. – Nie mogłabym podjąć się czegokolwiek, zanim nie dowiem się, o co chodzi. Czy ma to coś wspólnego ze sceną, jeśli wolno spytać?

– Ze sceną? O, nie!

– Och! – rzekła Jane z lekka zaskoczona.

Przyglądał się jej przenikliwie.

– Jest pani inteligentna, prawda? I dyskretna?

– Posiadam ogrom inteligencji i dyskrecji – odparła spokojnie dziewczyna. – A co z wynagrodzeniem?

– Wynagrodzenie wyniesie dwa tysiące funtów za dwa tygodnie pracy.

– Och! – wyrwało się Jane.

Była zbyt zaskoczona tą szczodrobliwością, aby pokryć chwilowe zmieszanie.

„Pułkownik” podjął na nowo rozmowę.

– Wybrałem jeszcze jedną młodą kobietę. Obie nadajecie się w równym stopniu. Może będą inne wśród tych, których jeszcze nie widziałem. Udzielę pani instrukcji dotyczących dalszego postępowania. Czy zna pani hotel Harridge?

Jane wstrzymała oddech. Któż w Anglii nie zna hotelu Harridge? W tym słynnym przybytku, usytuowanym skromnie przy bocznej ulicy w dzielnicy Mayfair, zatrzymywały się same znakomitości i członkowie rodów królewskich. Właśnie dziś rano Jane przeczytała o przyjeździe księżnej Pauliny z Ostrovii. Przybyła do Londynu, aby otworzyć wielką wentę^[20] dobroczynną na rzecz pomocy rosyjskim uchodźcom i oczywiście zatrzymała się w Harridge’u.

– Tak – stwierdziła Jane w odpowiedzi na pytanie „pułkownika”.

– To świetnie. Proszę się tam udać i zapytać o hrabiego Strepticza. Niech mu pani prześle swoją wizytówkę. Ma pani wizytówkę?

Jane podała mu blankiet, na którym dopisał w rogu parafkę w kształcie litery P.

– To gwarancja, że hrabia panią przyjmie. Będzie wiedział, że przychodzi pani ode mnie. Ostateczna decyzja należy do niego. Jeśli panią zaakceptuje, wszystko wyjaśni, pani zaś będzie mogła przyjąć lub odrzucić jego propozycję. Czy to panią zadowala?

– Całkowicie – zgodziła się Jane i opuściła pokój. – Jak dotąd – szepnęła do siebie, wychodząc na ulicę – nie dostrzegam żadnej pułapki. Jednak musi gdzieś być. Nie daje się pieniędzy za nic. W grę musi wchodzić przestępstwo. Nic innego nie pozostaje.

Humor jej się poprawił. Nie miała nic przeciwko przestępstwu, oczywiście w rozsądnych granicach. Ostatnio gazety pełne były opisów bandyckich wyczynów rozmaitych kobiet. Jane poważnie myślała o staniu się jedną z nich, jeśli wszystko inne by zawiodło.

Z lekkim drżeniem serca przekroczyła ekskluzywne, dostojne wejście hotelu Harridge. Bardziej niż kiedykolwiek przydałby jej się nowy kapelusz.

Dzielnie pomaszrowała do recepcji, bez cienia wahania okazała wizytówkę i zapytała o hrabiego Strepticza. Odniosła wrażenie, że recepcjonista spojrzął na nią z pewnym zaciekawieniem. Mimo to wziął od niej wizytówkę i przekazał boyowi hotelowemu, cichym głosem wydając polecenie, którego Jane nie dosłyszała. Po chwili chłopiec wrócił i poprosił ją, aby poszła za nim. Wjechali windą i podeszli korytarzem do podwójnych masywnych drzwi. Boy zapukał. Chwilę później Jane stała w przestronnym pokoju na wprost wysokiego, chudego mężczyzny z jasną brodą, który w delikatnej białej dłoni trzymał jej wizytówkę.

– Panna Jane Cleveland – odczytał wolno. – Jestem hrabia Strepticz.

Jego usta rozciągnęły się w czymś, co miało przypominać uśmiech, ukazując dwa rzędy równych białych zębów. Grymas ten jednak nie sprawiał wrażenia radości.

– Jak rozumiem, odpowiedziała pani na nasze ogłoszenie – kontynuował hrabia – a poczciwy pułkownik Kranin przysłał panią tutaj.

„A więc to rzeczywiście pułkownik” – pomyślała Jane zadowolona ze swej przenikliwości, ale w odpowiedzi skinęła jedynie głową.

– Pozwoli pani, że zadam kilka pytań?

Nie czekając na odpowiedź, zarzucił ją pytaniami podobnymi do tych, które zadawał pułkownik Kranin. Jej wypowiedzi zdawały się go zadowalać. Raz czy dwa skinął głową.

– Poproszę teraz panią, *mademoiselle*, aby przeszła się pani wolno do drzwi i z powrotem.

„Może chcą, żebym została modelką” – zastanawiała się Jane, stosując się do polecenia. „Ale nie płaci się modelce dwóch tysięcy funtów. Przypuszczam, że lepiej będzie nie zadawać na razie żadnych pytań”.

Hrabia Strepticz zmarszczył brwi. Zastukał białymi palcami po stole. Nagle wstał i otworzywszy drzwi do sąsiedniego pokoju, odezwał się do kogoś, kto tam przebywał.

Wrócił na swoje miejsce, a w ślad za nim pojawiła się niska kobieta w średnim wieku. Była pulchna i wyjątkowo brzydka, ale mimo to sprawiała wrażenie ważnej osoby.

– No i co, Anno Michajłowna – zagadnął hrabia. – Co pani o niej sądzi?

Dama zlustrowała Jane, jak gdyby dziewczyna była woskową lalką na wystawie. Nawet nie zadała sobie trudu, aby ją powitać.

– Może będzie dobra – rzekła w końcu. – Widzę bardzo niewiele prawdziwego podobieństwa, ale figura i karnacja odpowiadają bardziej niż u innych. A co pan o tym myśli, Fiodorze Aleksandrowiczu?

– Zgadzam się z panią, Anno Michajłowna.

– Czy ona mówi po francusku?

– Wyśmienicie.

Jane czuła się coraz bardziej jak marionetka. Żadnemu z tych dziwnych ludzi nie przychodziło widać do głowy, że była jednak istotą ludzką.

– Czy zachowa dyskrecję? – spytała dama, przyglądając się dziewczynie i marszcząc brwi.

– To jest księżna Poporeńska – odezwał się hrabia Strepticz do Jane po francusku. – Pyta, czy pani potrafi zachować dyskrecję.

Jane zwróciła się do księżnej:

– Dopóki nie dowiem się, na czym ma polegać moje zadanie, trudno mi składać obietnice.

– Ta mała ma świętą rację – zauważyła dama. – Myślę, że jest inteligentna, Fiodorze Aleksandrowiczu. Bardziej inteligentna niż inne. Powiedz mi, drogie dziecko, czy również jesteś odważna.

– Nie wiem – odparła Jane zaintrygowana. – Nie marzę o tym, żeby zostać ranna, ale potrafię to znieść.

– Och, nie to miałam na myśli! Nie obawiasz się niebezpieczeństwa, prawda?

– Niebezpieczeństwo! – zawołała Jane. – Nie ma sprawy. Lubię niebezpieczeństwo.

– I jesteś biedna? Chciałabyś zarobić dużo pieniędzy?

– Wypróbujcie mnie – zaproponowała Jane z uczuciem bliskim entuzjazmu.

Hrabia Strepticz i księżna Poporeńska wymienili spojrzenia, a następnie jednocześnie skinęli głowami.

– Czy mam wyjaśnić sprawę, Anno Michajłowna? – zapytał hrabia.

Księżna potrząsnęła głową.

– Jej Wysokość pragnie to uczynić osobiście.

– To niepotrzebne i nierozsądne.

– Jednak takie wydała polecenia. Mam przyprowadzić do niej dziewczynę, gdy tylko pan skończy z nią rozmawiać.

Strepticz wzruszył ramionami. Widać nie był zadowolony, ale również nie miał zamiaru się przeciwstawiać. Zwrócił się do Jane:

– Księżna Poporeńska przedstawi teraz panią Jej Wysokości Wielkiej Księżnej Paulinie. Proszę się niczego nie obawiać.

Jane nie bała się ani trochę. Zachwyciła ją perspektywa poznania prawdziwej Wielkiej Księżnej, zwłaszcza że w najmniejszym stopniu nie podzielała socjalistycznych poglądów. Na chwilę zapomniała nawet o swoim kapeluszu.

Księżna Poporeńska, poruszając się charakterystycznym kaczkowatym krokiem, któremu potrafiła mimo wszystko nadać pewną godność, poprowadziła Jane przez sąsiedni pokój – pełniący funkcję przedpokoju – i zapukała do znajdujących się w głębi drzwi. Usłyszawszy przyzwolenie, otworzyła drzwi i weszła do środka. Dziewczyna pośpieszyła za nią.

– Pozwoli pani, *madame*, że jej przedstawię – oświadczyła księżna Poporeńska uroczystym tonem – pannę Jane Cleveland.

Młoda kobieta, która siedziała w dużym fotelu w drugim końcu pokoju, poderwała się i podbiegła ku nim. Przez chwilę przyglądała się uważnie Jane, po czym zaśmiała się radośnie.

– Ależ to wspaniale, Anno! – zawołała. – Nigdy nie przypuszczałam, że się nam tak powiedzie. Proszę podejść bliżej i przyjrzeć się nam obu.

Wzięła Jane za rękę i powiodła ją do wysokiego lustra, które wisiało na ścianie.

– Widzi pani?! – zawołała radośnie. – Łudzące podobieństwo!

Już od pierwszego spojrzenia na Wielką Księżną Paulinę panna Cleveland zaczęła rozumieć. Wielka Księżna była młodą kobietą, może o rok czy dwa lata starszą od niej. Miała taki sam odcień jasnych włosów i taką samą szczupłą figurę. Może była trochę wyższa. Teraz, kiedy tak stały obok siebie, podobieństwo wprost rzucało się w oczy. Zgadzały się niemal wszystkie szczegóły.

Wielka Księżna klasnęła w dłonie. Sprawiała wrażenie bardzo wesołej.

– Nie mogło być lepiej – oświadczyła. – Pogratuluj Fiodorowi Aleksandrowiczowi, Anno. Doprawdy spisał się świetnie.

– Jak dotąd, *madame* – zauważyła księżna Poporeńska niskim głosem – ta młoda kobieta nie wie, czego się od niej oczekuje.

– Prawda – zreflektowała się Wielka Księżna, powściągając nieco swój zapał. – Zapomniałam. Zaraz ją oświecę. Pozostaw nas same, Anno Michajłowna.

– Ależ, *madame*...

– Powtarzam, zostaw nas same. – Tupnęła nogą ze złością.

Kiedy Anna Michajłowna, nie kryjąc swej dezaprobaty, opuściła pokój, Wielka Księżna usiadła i dała znak Jane, aby uczyniła to samo.

– Te stare kobiety bywają nieznośne – skomentowała Paulina. – Ale nie można się bez nich obejść. Anna Michajłowna jest lepsza od innych. A więc, panno... ach, panno Jane Cleveland. Podoba mi się pani imię. W ogóle pani mi się podoba. Jest pani sympatyczna. Od razu rozpoznaję sympatycznych ludzi.

– To bardzo inteligentnie z pani strony, *madame* – odezwała się Jane po raz pierwszy.

– Jestem inteligentna – przyznała spokojnie Paulina. – A teraz wszystko pani wyjaśnię. Zresztą nie ma tego wiele. Zna pani zapewne historię Ostrovii... Właściwie cała moja rodzina nie żyje, została wymordowana przez komunistów. Prawdopodobnie jestem ostatnią z rodu. Nie mogę objąć tronu, ponieważ jestem kobietą. Myślałby kto, że zostawią mnie w spokoju. Skądże! Gdziekolwiek się udam, usiłują mnie zabić. Prawda, że to absurd? Ci cuchnący wódką barbarzyńcy nie znają miary.

– Rozumiem – powiedziała Jane, wyczuwając z grubsza, jakie przypadnie jej zadanie.

– Większość czasu spędzam w odosobnieniu, gdzie mam zapewnione środki ostrożności, ale niekiedy muszę wziąć udział w oficjalnych uroczystościach. Na przykład w czasie mego pobytu tutaj muszę być obecna na kilku półoficjalnych ceremoniach. Również w drodze powrotnej, w Paryżu. Widzi pani, mam majątek na Węgrzech. Tam można się wspaniale rozerwać.

– Naprawdę? – wtrąciła Jane.

– Znakomicie. Uwielbiam zabawy. Również... Nie powinnam tego mówić, ale to zrobię, ponieważ tak sympatycznie pani wygląda. Chcemy tu zorganizować pewną ceremonię, bardzo kameralną, rozumie pani. Krótko mówiąc, sprawą najwyższej wagi jest to, abym nie została zamordowana w ciągu najbliższych dwóch tygodni.

– Ale przecież policja... – zaczęła Jane.

– Policja? Ach, oczywiście wierzę w ich sprawność. My także mamy swoich szpiegów. Możliwe, że zostanę ostrzeżona. Ale może się też stać inaczej... – Wzruszyła ramionami.

– Zaczynam pojmować – rzekła wolno Jane. – Chce pani, żebym ją zastąpiła.

– Tylko przy pewnych okazjach – wyjaśniła Wielka Księżna z ożywieniem. – Musi pani być pod ręką, rozumie pani? Mogę pani potrzebować dwa, trzy, cztery razy w ciągu najbliższych dwóch tygodni. Wyłącznie podczas publicznych wystąpień. Oczywiście, prywatnie nie będzie mnie pani zastępowała.

– Oczywiście – zgodziła się Jane.

– Poradzi sobie pani doskonale. Fiodor Aleksandrowicz bardzo inteligentnie wpadł na pomysł z ogłoszeniem, nieprawdaż?

– A jeśli – zainteresowała się Jane – zostanę zamordowana?

Wielka Księżna wzruszyła ramionami.

– Oczywiście, istnieje takie ryzyko. Ale zgodnie z naszymi poufnymi informacjami wszystko wskazuje na to, że nie chcą mnie zabić, tylko porwać. Uczciwie jednak mówiąc, nie jest wykluczone, że mogą rzucić bombę.

– Rozumiem – powiedziała Jane.

Starła się naśladować niefrasobliwy ton Pauliny. Bardzo pragnęła nawiązać do sprawy wynagrodzenia, ale nie wiedziała, jak o tym napomknąć. Paulina wybawiła ją z kłopotu.

– Oczywiście, sownie panią wynagrodzimy – oznajmiła nonszalancko. – Nie bardzo sobie przypominam, jaką sumę proponował Fiodor Aleksandrowicz. Mowa była o frankach i koronach.

– Pułkownik Kranin – podsunęła Jane – wspominał o dwóch tysiącach funtów.

– Rzeczywiście – potwierdziła Paulina z ożywieniem. – Teraz sobie przypominam. To wystarczy, mam nadzieję? A może wołałaby pani trzy tysiące?

– Jeśli nie robi to pani różnicy – podjęła skwapliwie Jane – wołałabym trzy tysiące.

– Widzę, że praktyczna z pani kobieta – zauważyła uprzejmie Wielka Księżna. – Sama bym chciała być taka. W ogóle nie mam pojęcia o pieniądzach. Muszę mieć to, co chcę, ot i wszystko.

Panna Cleveland uznała to za proste, ale godne podziwu nastawienie.

– Oczywiście, jak pani zauważyła, istnieje pewne niebezpieczeństwo – ciągnęła Paulina z troską w głosie. – Chociaż, moim zdaniem, nie wygląda pani na osobę, która obawia się niebezpieczeństwa. Podobnie zresztą jak ja. Mam nadzieję, że nie uważa mnie pani za tchórza, dlatego że proszę panią o zastępstwo? Widzi pani, dla Ostrovii to sprawa niezwyklej wagi, abym wyszła za mąż i jak najprędzej urodziła dwóch synów. Później wszystko mi jedno, co się ze mną stanie.

– Rozumiem – przytaknęła Jane.

– A więc, zgadza się pani?

– Tak – rzuciła Jane śmiało. – Zgadzam się.

Paulina kilka razy mocno klasnęła w dłonie. Księżna Poporeńska pojawiła się natychmiast.

– Powiedziałam jej wszystko, Anno – oznajmiła Wielka Księżna. – Zrobi, czego od niej oczekujemy, i ma obiecane trzy tysiące funtów. Powiedz Fiodorowi, aby to zanotował. Jest do mnie bardzo podobna, nieprawdaż? Myślę nawet, że jest ode mnie ładniejsza.

Anna Michajłowna wyszła swym kołyszącym krokiem z pokoju i po chwili wróciła z hrabią Strepticzem.

– Wszystko ustaliłyśmy, Fiodorze Aleksandrowiczu – poinformowała Wielka Księżna.

Hrabia się skłonił.

– Zastanawiam się, czy ona potrafi zagrać tę rolę... – rzucił, z powątpiewaniem przyglądając się Jane.

– Pokażę panu – zapaliła się dziewczyna. – Pozwoli pani, *madame*? – zwróciła się do Wielkiej Księżnej.

Ta ostatnia skinęła głową z zadowoleniem.

Jane wstała.

– Ależ to wspaniale, Anno – powiedziała. – Nigdy nie przypuszczałam, że się nam tak powiedzie. Proszę podejść bliżej i przyjrzeć się nam obu.

I, tak samo jak wcześniej uczyniła to Paulina, pociągnęła drugą dziewczynę do lustra.

– Widzi pani? Łudzące podobieństwo!

Słowa i gesty były wyśmienitą repliką Pauliny. Księżna Poporeńska skinęła głową i mruknęła z aprobatą.

– Dobrze gra – przyznała. – Zmyli większość ludzi.

– Jest pani bardzo zdolna – pochwaliła pannę Cleveland Paulina. – Nie potrafiłabym nikogo naśladować, nawet gdyby od tego zależało moje życie.

Jane uwierzyła jej bez zastrzeżeń. Zdążyła się już zorientować, że ta młoda dama nie umie udawać.

– Anna ustali z panią szczegóły – rzekła Wielka Księżna. – Zaprowadź panią do mojej sypialni, Anno, i daj jej przymierzyć niektóre z moich rzeczy.

Wdzięcznie skinęła głową na pożegnanie i Jane w towarzystwie księżnej Poporeńskiej opuściła pokój.

– W tym stroju Wielka Księżna otworzy wentę dobroczynną – wyjaśniła starsza dama, demonstrując biało-czarną kreację o śmiałej linii. – Uroczystość odbędzie się za trzy dni. Może okazać się konieczne, aby ją pani tam zastąpiła. Jeszcze nie wiemy. Jak dotąd nie otrzymaliśmy informacji.

Na polecenie księżnej Jane zdjęła własne podniszczone ubranie i przymierzyła suknię. Pasowała na nią doskonale. Anna kiwnęła głową z uznaniem.

– Leży jak ulał, tylko jest na panią ciut za długa. Jest pani trochę niższa od Jej Wysokości.

– Można temu łatwo zaradzić – wtrąciła pośpiesznie Jane. – Zauważyłam, że Wielka Księżna nosi pantofle na niskich obcasach. Jeśli włożę podobne, ale na wyższych obcasach, wszystko będzie w sam raz.

Anna Michajłowna pokazała buty, które Wielka Księżna zazwyczaj wkładała do tej sukni. Zrobione były z jaszczurczej skórki i zapinały się na pasek. Jane zapamiętała fason, aby kupić takie same, tylko na innych obcasach.

– Byłoby dobrze – poradziła Anna Michajłowna – aby włożyła pani suknię w jaskrawym kolorze i z odmiennego materiału niż suknia Jej Wysokości. Dzięki temu, jeśli szybkie odwrócenie ról okaże się konieczne, zamiana będzie trudniejsza do zauważenia.

Młoda kobieta zastanawiała się przez moment.

– Może płomiennie czerwona z wypukłym wzorem? Do tego mogę założyć binokle^[21]. One bardziej zmieniają wygląd.

Obydwie propozycje zostały przyjęte i przystąpiono do omawiania dalszych szczegółów.

Jane wyszła z hotelu ze stoma funtami w portmonetce na zakup niezbędnych strojów oraz poleceniem wynajęcia sobie apartamentu w hotelu Blitz na nazwisko panny Montresor z Nowego Jorku.

Dwa dni później odwiedził ją hrabia Strepticz.

– Cóż za odmiana! – zawołał, kłaniając się nisko.

Jane odwzajemniła mu się efektownym ukłonem. Cieszyły ją nowe stroje i pełne przepychu życie.

– Doskonale mi się wiedzie – przyznała z westchnieniem. – Ale, jak przypuszczam, pańska wizyta oznacza, że muszę zabrać się do pracy, aby zarobić swoje pieniądze.

– W rzeczy samej. Otrzymaliśmy dość prawdopodobne informacje, iż może dojść do próby porwania Jej Wysokości w drodze powrotnej z wenty dobroczynnej. Jak pani wiadomo, kiermasz odbędzie się w Orion House, piętnaście kilometrów od Londynu. Jej Wysokość musi pojawić się osobiście na uroczystości, ponieważ hrabina Anchester, organizatorka wenty, zna ją osobiście. Ale wymyśliłem pewien plan.

Z grubsza naszkicował jej plan działania. Jane wysłuchała go uważnie, zadała kilka pytań i w końcu oświadczyła, że doskonale zrozumiała rolę, którą przyjdzie jej odegrać.

Nazajutrz było słonecznie i pogodnie – wymarzony dzień na jedno z największych wydarzeń londyńskiego sezonu, jakim była wenta w Orion House zorganizowana przez hrabinę Anchester na rzecz pomocy przebywającym w Anglii uchodźcom z Ostrovii.

Ze względu na zmienność angielskiej aury wenta odbywała się w przestronnych komnatach Orion House, który od pięciuset lat należał do rodu Anchesterów. Na wystawę wypożyczono rozmaite dzieła sztuki, a uroczym gestem był dar ofiarowany przez sto pań z towarzystwa. Każda z nich podarowała jedną perłę wyjętą z własnego naszyjnika. Następnego dnia perły te miały zostać sprzedane na aukcji. Ponadto przewidziano liczne występy i inne atrakcje na świeżym powietrzu.

Jane przybyła do Anchesteru wcześniej jako panna Montresor. Ubrana była w suknię koloru płomiennej czerwieni, na głowie miała czerwony kapelusik w kształcie hełmu, na nogach zaś pantofle na wysokich obcasach z jaszczurczej skóry.

Przyjazd Wielkiej Księżnej Pauliny stał się wielkim wydarzeniem. Pod eskortą udała się na podium, gdzie małe dziecko obdarowało ją bukietem róż. Zainaugurowała wentę, wygłaszając krótkie, pełne wdzięku przemówienie. Towarzyszyli jej hrabia Strepticz i księżna Poporeńska.

Miała na sobie suknię, którą Jane już widziała – białą w wyrazisty czarny deseń. Jej czarny kapelusz w kształcie hełmu ozdobiony był pękiem czarnych piór zwieszających się z rondka, a koronkowa woalka zakrywała pół twarzy.

Panna Cleveland uśmiechnęła się do siebie.

Wielka Księżna obesza kiermasz, zatrzymując się przy każdym stoisku, i kupiła kilka rzeczy z wyrazem niezmaconej łaskawości na twarzy. Następnie poczyniła przygotowania do odjazdu.

Jane niezwłocznie podjęła się swej roli. Poprosiła księżną Poporeńską o przedstawienie jej Wielkiej Księżnej.

– Ach, oczywiście! – powiedziała Paulina dźwięcznym głosem. – Panna Montresor, przypominam sobie to nazwisko. Jak sądzę, amerykańska dziennikarka. Wiele zrobiła dla naszej sprawy. Chętnie udzielię jej krótkiego wywiadu. Czy jest tu jakieś miejsce, gdzie nikt nie będzie nam przeszkadzał?

Natychmiast oddano do dyspozycji Wielkiej Księżnej salonik, a hrabia Strepticz został posłany po pannę Montresor. Gdy tylko wyszedł, w obecności księżnej Poporeńskiej dokonano szybkiej zamiany strojów.

Trzy minuty później otworzyły się drzwi i pojawiła się w nich Wielka Księżna, trzymając przy twarzy bukiet róż. Przesłała zebrany łaskawe ukłony, zamieniła po francusku kilka słów pożegnania z hrabiną Anchester, po czym wyszła i wsiadła do czekającego na nią samochodu. Księżna Poporeńska zajęła miejsce obok niej i samochód ruszył.

– Załatwione – odezwała się Jane. – Zastanawiam się, jak sobie radzi panna Montresor.

– Nikt jej nie zauważy. Wyjdzie po cichu.

– Zapewne – zgodziła się młoda kobieta. – Niezle się spisałam, prawda?

– Zagrała pani swą rolę bardzo przekonująco.

– Dlaczego hrabia z nami nie jedzie?

– Musiał pozostać. Ktoś powinien czuwać nad bezpieczeństwem Jej Wysokości.

– Mam nadzieję, że nikt nie rzuci bomby – rzekła Jane z obawą w głosie. – Ej, dlaczego skręcamy z głównej drogi?

Samochód zwiększył prędkość i popędził boczną drogą.

Jane podskoczyła i wystawiwszy głowę przez okno, zaczęła upominać kierowcę. Ten jednak roześmiał się tylko i jeszcze przyśpieszył. Dziewczyna opadła na siedzenie.

– Wasi szpiedzy mieli rację – oznajmiła ze śmiechem. – Stało się. Sądzę, że im dłużej wytrwam, tym bezpieczniej dla Wielkiej Księżnej. W każdym razie musimy dać jej czas, aby spokojnie wróciła do Londynu.

W obliczu niebezpieczeństwa poczuła przyływ odwagi. Nie uśmiechała jej się perspektywa podłożenia bomby, ale ten rodzaj przygody przemawiał do jej sportowego ducha.

Nagle samochód się zatrzymał z piskiem opon. Wskoczył z niego jakiś mężczyzna. W ręku trzymał rewolwer.

– Ręce do góry! – warknął.

Księżna Poporeńska szybko wykonała rozkaz, ale Jane spojrzała tylko na napastnika z pogardą i nadal trzymała ręce na kolanach.

– Proszę go spytać o cel tego zamachu – odezwała się po francusku do swej towarzyszki.

Zanim jednak księżna zdołała otworzyć usta, mężczyzna wyrzucił z siebie potok słów w jakimś obcym języku.

Nic nie rozumiejąc, Jane wzruszyła ramionami i nie powiedziała ani słowa. Tymczasem z samochodu wysiadł szofer i przyłączył się do nieznanego napastnika.

– Czy znakomita dama raczy wysiąść? – zapytał, uśmiechając się szeroko.

Zasłaniając kwiatami twarz, Jane opuściła samochód. Księżna Poporeńska poszła w jej ślady.

– Znakomita dama zechce pójść tędy?

Nie zwracając uwagi na bezczelność i kpinę w głosie nieznanego mężczyzny, Jane bez sprzeciwu udała się w kierunku niskiego, pospolicie wyglądającego domku, który znajdował się jakieś sto metrów od miejsca, w którym zatrzymano samochód. Droga kończyła się na bramie i podjeździe prowadzącym do tego niewątpliwie opustoszałego domostwa.

Mężczyzna, ciągle wymachując bronią, szedł z tyłu za dwiema kobietami. Kiedy weszli po schodach na górę, szybko wysunął się do przodu i zamasyście otworzył drzwi po lewej stronie. Był tam pusty pokój, do którego, zapewne specjalnie, wniesiono stół i dwa krzesła.

Panna Cleveland weszła do środka i usiadła. Anna Michajłowna podążyła za nią. Mężczyzna z hukiem zatrzasnął drzwi i przekręcił klucz.

Jane zbliżyła się do okna i wyjrzała.

– Oczywiście mogłabym wyskoczyć – stwierdziła. – Ale daleko nie ucieknę. Musimy chwilowo tu pozostać i zrobić z tego jak najlepszy użytek. Zastanawiam się, czy dadzą nam coś do jedzenia.

Mniej więcej pół godziny później otrzymała odpowiedź na swoje pytanie.

Wniesiono i postawiono na stole dużą miskę parującej zupy. Do tego dwa kawałki czerstwego chleba.

– Niezbyt to wykwintne jedzenie dla arystokracji – zażartowała Jane, kiedy znów zamknięto drzwi. – Czy pani skosztuje pierwsza, czy ja?

Księżna Poporeńska ze wstrętem odrzuciła pomysł jedzenia.

– Jakże mogłabym jeść? Kto wie, w jakim niebezpieczeństwie może być moja pani?

– Nic jej nie grozi – odparła Jane. – Martwię się raczej o siebie. Ci ludzie nie będą zachwyceni, kiedy się zorientują, że schwytali niewłaściwą osobę. Doprawdy mogą być bardzo nieprzyjemni. Postaram się udawać wyniosłą Wielką Księżną, ale dam drapaką, gdy tylko pojawi się możliwość.

Księżna Poporeńska nie raczyła odpowiedzieć.

Jane była głodna, więc zjadła całą zupę. Miała dziwny smak, ale była gorąca i aromatyczna.

Po chwili zachciało jej się spać. Miała wrażenie, że księżna Poporeńska cicho pochlipuje. Dziewczyna usadowiła się na swym niewygodnym krześle w możliwie najdogodniejszej pozycji, po czym głowa jej opadła.

Zasnęła.

*

Jane drgnęła i się przebudziła. Odniosła wrażenie, że spała nieskończenie długo. Czowała się niedobrze i ociężale.

Raptem dostrzegła coś, co przywróciło jej natychmiast pełną przytomność.

Miała na sobie ognieście czerwoną sukienkę w wypukły wzorek.

Wyprostowała się i rozejrzała wokół. Tak, nadal przebywała w tym samym opustoszałym domu. Wszystko wyglądało dokładnie tak samo jak w momencie,

gdy zasypiała – z wyjątkiem dwóch rzeczy: na sąsiednim krześle nie siedziała już księżna Poporeńska i doszło do zagadkowej zmiany jej stroju.

– To mi się nie mogło przyśnić – powiedziała do siebie Jane. – Gdyby wszystko było snem, nie znajdowałabym się tutaj.

Wyrzała przez okno i poczyniła kolejne spostrzeżenie. Gdy zasypiała, do pokoju wpadały promienie słońca. Teraz zaś dom rzucał głęboki cień na oświetlony słońcem podjazd.

„Okna wychodzą na zachód” – pomyślała. „Zasnęłam po południu. Teraz zatem musi być poranek następnego dnia. Do zupy wsypano narkotyk. A więc... och, sama nie wiem. To czyste szaleństwo”.

Wstała i podeszła do drzwi. Były otwarte. Przeszukała dom. Wszędzie było cicho i pusto.

Przyłożyła rękę do bolącego czoła i usiłowała skupić myśli.

Po chwili koło drzwi wejściowych zauważyła podartą gazetę. Rzuciły jej się w oczy wielkie nagłówki: *Amerykańska złodziejka w Anglii, Dziewczyna w czerwonej sukience, Sensacyjna grabież na wencie w Orion House.*

Jane chwiejnym krokiem wyszła na słońce. Usiadła na schodkach i w miarę czytania oczy jej robiły się coraz większe ze zdumienia.

Chwilę po odjeździe Wielkiej Księżnej Pauliny trzej mężczyźni oraz dziewczyna w czerwonej sukience wyjęli broń i bez przeszkód sterroryzowali gości. Zabrali sto pereł i uciekli szybkim sportowym samochodem. Do tej pory nie natrafiono na ich ślad.

W wiadomościach z ostatniej chwili (było to wieczorne wydanie gazety) wyjaśniono w kilku słowach, że „złodziejka w czerwonej sukni” zatrzymała się w hotelu Blitz jako panna Montresor z Nowego Jorku.

– Oszukano mnie – skonstatowała Jane. – Wystrychnięto mnie na dudka. Cały czas wiedziałam, że gdzieś musi się kryć pułapka.

Nagle się wzdrygnęła. W powietrzu rozległ się dziwny dźwięk. Był to głos mężczyzny, który powtarzał w kółko jedno słowo.

– Cholera – mówił. – Cholera. – I znów: – Cholera.

Głos ten wstrząsnął Jane. Zbiegła po schodach. W kącie pod schodami leżał młody mężczyzna. Usiłował unieść głowę z ziemi. Dziewczyna odniosła

wrażenie, że jego twarz była jedną z najmiłszych twarzy, jakie kiedykolwiek widziała. Była piegowata i miała nieco figlarny wyraz.

– Cholerna głowa – powtórzył. – Niech to diabli. Ja... – Urwał i wpatrywał się w Jane. – Chyba śnię – dodał cicho.

– Też tak myślałam – odparła. – Ale to nie sen. Co się stało z pańską głową?

– Ktoś mnie uderzył. Na szczęście jest dość twarda. – Z wysiłkiem przybrał siedzącą pozycję i skrzywił twarz w grymasie bólu. – Mam nadzieję, że wkrótce mój mózg zacznie pracować. Jak widzę, nadal przebywam w tym samym miejscu.

– Skąd się pan tu wziął? – zapytała Jane z zaciekawieniem.

– To długa historia. Ale, ale... nie jest pani Wielką Księżną jak-jej-tam, nieprawdaż?

– Nie. Jestem zwyczajną Jane Cleveland.

– Pod żadnym względem nie jest pani zwyczajna – zapewnił młody człowiek, patrząc na nią ze szczerym podziwem.

Jane się zarumieniła.

– Powinam panu chyba przynieść trochę wody lub czegoś podobnego? – zapytała niepewnie.

– Tak się na ogół robi – przyznał. – Jednak wolałbym whisky, jeśli gdzieś tu jest.

Jane nie mogła znaleźć whisky. Mężczyzna wypił więc spory haust wody i oświadczył, że czuje się lepiej.

– Mam opowiedzieć swoje przygody czy najpierw pani?

– Pan pierwszy.

– Nie ma tu nic nadzwyczajnego. Zauważyłem, że Wielka Księżna przysłała na przyjęcie w pantoflach na niskich obcasach, a wyszła na wysokich. Wydało mi się to trochę dziwne. Nie lubię dziwnych spraw. Pojechałem za samochodem na swoim motorze i widziałem, jak wprowadzono panią do domu. Jakies dziesięć minut później pędem nadjechał sportowy wóz. Wysiedli z niego trzej mężczyźni i dziewczyna w czerwonej sukience. Miała na nogach pantofle na niskich obcasach. Weszli do domu. Wkrótce potem kobieta na płaskich obcasach ubrana w biało-czarną kreację wyszła i odjechała tym pierwszym samochodem w towarzystwie leciwej damulki i wysokiego mężczyzny z jasną brodą. Pozostali

odjechali sportowym samochodem. Pomyślałem, że wszyscy uciekli, więc usiłowałem dostać się przez okno, żeby panią oswobodzić, kiedy ktoś z tyłu uderzył mnie w głowę. To wszystko. Kolej na panią.

Jane zrelacjonowała swoje przygody.

– Szczęśliwie się dla mnie złożyło, że pan nas śledził – zakończyła. – W przeciwnym razie zdaje pan sobie sprawę, w jakich okropnych bym była tarapatach? Wielka Księżna miała doskonałe alibi. Opuściła wentę, zanim dokonano napadu, i przyjechała swoim samochodem do Londynu. Czy ktokolwiek uwierzyłby w moją fantastyczną i nieprawdopodobną historię?

– Nigdy w życiu – przyznał młody człowiek z przekonaniem.

Byli tak zajęci swoimi opowieściami, że nie zważali na otoczenie. Toteż teraz z lekkim przerażeniem wpatrywali się w mężczyznę o smutnej twarzy, który stał, opierając się o ścianę domu. Skinął im na powitanie.

– Bardzo interesujące – skomentował.

– Kim pan jest? – zapytała Jane.

W oczach poważnego człowieka pojawił się lekki błysk.

– Inspektor Farrell – odpowiedział uprzejmie. – Z wielką uwagą wysłuchałem pańskiego opowiadania i tej oto młodej damy. Być może mielibyśmy pewne problemy, aby uwierzyć w jej historię, gdyby nie jedna lub dwie okoliczności.

– Mianowicie?

– Otóż dowiedzieliśmy się dziś rano, że prawdziwa Wielka Księżna uciekła z Paryża ze swoim szoferem.

Jane zapało dech w piersiach.

– A poza tym – ciągnął inspektor – wiedzieliśmy, że ta amerykańska złodziejka przybyła do Anglii, więc spodziewaliśmy się jakiegoś wyczynu. Zgarniemy ich niebawem, obiecuję państwu. Przepraszam na moment.

Wbiegł po schodkach do domu.

– Dzięki Bogu! – zawołała Jane i westchnęła z ulgą. – To bardzo roztropne z pańskiej strony, że zwrócił pan uwagę na buty – dodała znieczeka.

– Nic wielkiego. – Mężczyzna zbagatelizował sprawę. – Miałem do czynienia z tą branżą od dziecka. Mój ojciec jest swego rodzaju królem butów. Chciał, żebym poszedł w jego ślady, a także ożenił się i ustatkował. Coś w tym guście.

Nie miał na względzie nikogo konkretnego, chodziło po prostu o zasadę. Ale ja... – westchnął – ...chciałem zostać artystą.

– Tak mi przykro – odezwała się uprzejmie Jane.

– Próbowałem przez sześć lat. Nie ma co się oszukiwać. Jestem kiepskim malarzem. Mam wielką ochotę to rzucić i wrócić do domu jak syn marnotrawny. Czeka na mnie dobra posada.

– Praca to ważna rzecz – zgodziła się Jane z zadumą w głosie. – Czy nie mógłby pan załatwić mi jakiejś w branży obuwniczej?

– Mógłbym ofiarować pani coś znacznie lepszego, jeśli się pani zgodzi.

– Och, co takiego?

– Mniejsza z tym. Powiem pani później. Widzi pani, aż do wczoraj nie spotkałem dziewczyny, którą chciałbym poślubić.

– Aż do wczoraj?

– Na wencie. Tam ją zobaczyłem, tę jedną jedyną.

Spojrzał znacząco na Jane.

– Jakże ślicznie wyglądają te ostróżki – wtrąciła pośpiesznie Jane, mocno się rumieniąc.

– To są łubiny – sprostował młody człowiek.

– To nie ma znaczenia – powiedziała dziewczyna.

– Żadnego – przytaknął i przysunął się do niej odrobinę bliżej.

ZNIKNIĘCIE PANA DAVENHEIMA

Przełożyła
Brygida Kaliszewicz



Opowiadanie pochodzi ze zbioru
Poirot prowadzi śledztwo

Opowiadanie pochodzi ze zbioru

Poirot prowadzi śledztwo

Poirot i ja spodziewaliśmy się przyjścia na herbatę naszego starego przyjaciela inspektora Jappa ze Scotland Yardu. Siedzieliśmy przy małym stoliku do podwieczorku, czekając, aż się zjawi. Poirot właśnie skończył poprawiać filiżanki i spodeczki, które nasza gospodyni miała zwyczaj raczej rzucać, niż ustawiać na stole. Chuchał też intensywnie na metalowy dzbanek do herbaty, który następnie wypolerował jedwabną chusteczką. Woda w czajniku akurat się gotowała, a w emaliowanym rondelku obok była przygotowana gęsta, słodka czekolada, która bardziej odpowiadała podniebieniu Poirota niż to, co zwykł określać „wasza angielska trucizna”.

Na dole dało się słyszeć stanowcze stukanie do drzwi i kilka minut później energicznym krokiem wszedł do pokoju Japp.

– Mam nadzieję, że się nie spóźniłem – oświadczył na powitanie. – Mówiąc szczerze, zagadałem się z Millerem, człowiekiem, który prowadzi sprawę Davenheima.

Nadstawiłem uszu. Od trzech dni gazety nie przestawały pisać o dziwnym zniknięciu pana Davenheima, starszego rangą wspólnika spółki Davenheim i Salmon, znanych bankierów i finansistów. W ubiegłą sobotę wyszedł z domu i już go więcej nie widziano. Spodziewałem się, że Japp wyjawi nam jakieś interesujące szczegóły.

– Wydawać by się mogło – wtrąciłem – że w dzisiejszych czasach zniknięcie jest rzeczą prawie niemożliwą.

Poirot przesunął o milimetr talerz z kanapkami, po czym odparł stanowczo:

– Czy mógłbyś to uściślić, przyjacielu? Co właściwie masz na myśli, mówiąc „zniknięcie”? O jakim rodzaju zniknięcia mówisz?

– Czyżby były one klasyfikowane i nazywane w zależności od rodzaju? – zauważyłem ze śmiechem.

Japp uśmiechnął się również.

Poirot w odpowiedzi zmarszczył brwi.

– Ależ oczywiście, że tak! Dzielą się na trzy kategorie. Pierwsza, najczęściej spotykana, to celowe zniknięcie. Druga to tak często dziś nadużywany przypadek

utrąty pamięci, rzadki, choć czasem prawdziwy. Trzecia to morderstwo i w rezultacie mniej lub bardziej udane pozbycie się ciała. Czy twoim zdaniem wszystkie trzy są w dzisiejszych czasach niemożliwe?

– Prawie niemożliwe, tak mi się przynajmniej wydaje. Można stracić pamięć, ale z całą pewnością zostanie się przez kogoś rozpoznany, zwłaszcza gdy sprawa dotyczy tak znanego człowieka jak Davenheim. Z kolei ciała nie rozpływają się w powietrzu. Wcześniej czy później znajduje się je ukryte w odludnych miejscach bądź kufrach. Morderstwo zawsze wyjdzie na jaw. Podobnie ma się rzecz ze zbiegłym urzędnikiem czy z człowiekiem niewywiązującym się z podjętych zobowiązań, ponieważ w dzisiejszych czasach ważną rolę w ich zatrzymaniu odgrywa telegraf. Bywają zawracani z granicy, a porty i dworce kolejowe są obserwowane. Co do możliwości ukrycia się w kraju, to ich rysy twarzy i wygląd zewnętrzny będą dobrze znane każdemu, kto czyta codzienną prasę. Wszystko sprzysięgnie się przeciwko nim.

– *Mon ami* – odparł Poirot – popełniasz pewien błąd. Nie bierzesz pod uwagę faktu, że człowiek, który zdecydował się pozbyć innego człowieka bądź samego siebie w znaczeniu metaforycznym, może posiadać ową rzadką umiejętność, jaką jest metodyczne działanie. Wykonując swoje dzieło, może posłużyć się inteligencją, talentem i drobiazgowym zaplanowaniem szczegółów, a w takim razie nie pojmuję, dlaczego nie miałoby mu się powieść pokrzyżowanie planów policji.

– Ale nie panu, jak sądzę? – stwierdził dobrodusznie Japp, mrugając w moją stronę. – Pana nie wyprowadziłby w pole, panie Poirot.

Poirot próbował, zresztą bez większych rezultatów, przybrać skromną minę.

– Mnie również! Dlaczego nie? To prawda, że podchodzę do takich zagadnień metodycznie, z matematyczną precyzją, co wydaje się, niestety, raczej obce nowej generacji detektywów!

Japp uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– No, nie wiem – odparł. – Miller, człowiek, który pracuje nad tą sprawą, to bystry facet. Może być pan pewien, że nie przeoczy śladu stopy, popiołu z cygara, a nawet okruszyny. Jego oczy widzą wszystko.

– Tak jak, *mon ami* – odparł Poirot – oczy wróbla w Londynie. Nie prosiłbym jednak tego małego szarego ptaszka o rozwikłanie sprawy pana Davenheima.

– Ależ nie zamierza pan chyba zaprzeczać znaczeniu takich szczegółów jako dowodów w sprawie?

– W żadnym wypadku. Na swój sposób są bardzo potrzebne. Niebezpieczeństwo tkwi w tym, że można im przypisać zbyt dużą wartość. Większość szczegółów jest dla sprawy nieistotna, zaledwie jeden czy dwa mają zasadnicze znaczenie. To szare komórki, mózg... – tu dotknął ręką czoła – ...jest tym organem, na którym należy polegać. Zmysły mogą zawieść. Prawdy należy szukać w nim, a nie poza nim.

– Nie chce pan chyba powiedzieć, *monsieur Poirot*, że podjąłby się pan rozwikłania jakiejś sprawy, nie ruszając się z fotela?

– Właśnie to mam na myśli, gdyby zapoznano mnie z faktami. Uważam się za kogoś w rodzaju specjalisty konsultanta.

Inspektor klepnął się po kolanie.

– Niech mnie kule biją, jeśli nie wezmę pana za słowo! Zakładam się o piąta, że nie uda się panu odszukać albo raczej wskazać mi, gdzie szukać pana Davenheima, żywego czy umarłego, przed upływem tygodnia.

Poirot się zamyślił.

– No cóż, *mon ami*, przyjmuję zakład. Sport to wasza angielska pasja. A teraz fakty.

– W ubiegłą sobotę, tak jak zazwyczaj, pan Davenheim pojechał pociągiem o dwunastej czterdzieści ze stacji Victoria do Chingside, gdzie znajduje się jego wspaniała wiejska rezydencja Cedars. Po lunchu przechadzał się po posiadłości i udzielił ogrodnikom kilku wskazówek. Wszyscy są zgodni, że zachowywał się zupełnie normalnie i tak jak zawsze. Po podwieczorku wsunął głowę do buduaru żony, mówiąc, że zamierza przespacerować się do wsi i wysłać kilka listów. Dodał, że spodziewa się przybycia w interesach niejakiego pana Lowena. Gdyby akurat przyszedł, zanim on wróci, należy wprowadzić go do gabinetu i poprosić, aby zaczekał. Po czym pan Davenheim wyszedł z domu frontowymi drzwiami, spokojnie przeszedł wzdłuż podjazdu prowadzącego do rezydencji, potem przez bramę i więcej już go nie widziano. Od tamtej pory słuch po nim zaginął.

– Ładnie, bardzo ładnie. Ogólnie rzecz biorąc, uroczy mały problem – wymamrotał Poirot. – Proszę kontynuować, przyjacielu.

– Mniej więcej kwadrans później wysoki, śniady mężczyzna o bujnym czarnym wąsie zadzwonił do drzwi wejściowych i wyjaśnił, że umówił się na spotkanie z panem Davenheimem. Przedstawił się jako Lowen i zgodnie z poleceniem bankiera został wprowadzony do gabinetu. Minęła niemal godzina. Pan Davenheim nie wracał. W końcu pan Lowen zadzwonił na służbę i wyjaśnił, że nie może już dłużej czekać, musi bowiem zdążyć na powrotny pociąg do miasta. Pani Davenheim przeprosiła za nieobecność męża, trudną do wytłumaczenia, gdyż wiedziała, że oczekiwał gościa. Pan Lowen jeszcze raz wyraził swój żal i wyszedł. Cóż, jak wszyscy wiemy, pan Davenheim nie wrócił. W niedzielę wczesnie rano została o tym powiadomiona policja, niewiele jednak mogła tu pomóc. Wydawało się, że pan Davenheim dosłownie rozpułynał się w powietrzu. Nie był na poczcie, nie widziano, aby przechodził przez wieś. Na stacji byli pewni, że nie odjechał żadnym pociągiem. Jego auto zostało w garażu. Gdyby wynajął samochód, który miał po niego przyjechać w jakieś ustronne miejsce, wydaje się niemal pewne, że do chwili obecnej, zważywszy na olbrzymią nagrodę, jaką oferowano za udzielenie informacji, kierowca zgłosiłby się, aby opowiedzieć o tym, co wie. To prawda, że w oddalonym o osiem kilometrów Entfield odbywały się wyścigi konne i gdyby poszedł pieszo do tej stacji, mógłby niezauważony przejść w tłumie. Potem jednak jego fotografia i szczegółowy rysopis pojawiły się we wszystkich gazetach, lecz mimo to nikt nie potrafił przekazać o nim żadnej informacji. Otrzymaliśmy, oczywiście, wiele listów z całej Anglii, ale każdy trop, jak dotychczas, kończył się niepowodzeniem. W poniedziałek rano dokonano kolejnego sensacyjnego odkrycia. W gabinecie pana Davenheima za kotarą stoi sejf i właśnie do tego sejfu się włamano i go opróżniono. Okna były dokładnie zamknięte od środka, co wydaje się wykluczać włamanie, o ile nie zamknął ich później wspólnik włamywaczy znajdujący się na terenie domu. Ponieważ jednak w niedzielę wśród służby panował duży zamęt, możliwe, że do włamania doszło w sobotę i pozostało ono niewykryte aż do poniedziałku.

– Otóż to – odparł ironicznie Poirot. – I cóż, czy aresztowano biednego pana Lowena?

Japp uśmiechnął się szeroko.

– Jeszcze nie. Ale jest pod naszym ścisłym nadzorem.

Poirot skinął głową.

– Co zabrano z sejfu? Czy wie pan coś na ten temat?

– Rozmawialiśmy o tym z młodszym wspólnikiem firmy i z panią Davenheim. Najwyraźniej była tam znaczna kwota w obligacjach na okaziciela i bardzo duża suma w banknotach, jako że została akurat przeprowadzona jakaś wielka transakcja. Znajdowała się tam również prawdziwa fortuna w kosztownościach. Wszystkie klejnoty pani Davenheim leżały w tym sejfie. Kupowanie ich stało się ostatnimi laty prawdziwą pasją jej męża i prawie co miesiąc dawał jej w prezencie jakiś rzadki i kosztowny kamień.

– W sumie wyborny łup – rzekł Poirot w zamyśleniu. – A właściwie co z Lowenem? Czy wiadomo, w jakiej sprawie przyszedł tamtego wieczoru do Davenheima?

– Cóż, najwyraźniej obaj mężczyźni nie byli ze sobą w najlepszych stosunkach. Lowen jest graczem giełdowym na niewielką skalę. Niemniej raz czy dwa udało mu się mistrzowskim posunięciem zakasować Davenheima, choć wydaje się, że bardzo rzadko albo nawet nigdy osobiście się nie spotkali. Sprawa, w której bankier umówił się z nim na spotkanie, dotyczyła południowoamerykańskich akcji.

– Czyżby Davenheim prowadził interesy w Ameryce Południowej?

– Sądzę, że tak. Pani Davenheim mimochodem wspomniała, że całą ubiegłą jesień spędził w Buenos Aires.

– Miał jakieś kłopoty w domu? Czy mąż i żona pozostawali ze sobą w dobrych stosunkach?

– Powiedziałbym, że jego życie prywatne było całkowicie spokojne i monotonne. Pani Davenheim jest miłą i dosyć ograniczoną kobietą. Nic szczególnego, jak sądzą.

– A zatem nie tu należy szukać rozwiązania tajemnicy. Czy miał wrogów?

– Miał mnóstwo rywali wśród finansistów i bez wątpienia wielu ludzi, nad którymi zdobył przewagę, nie było mu życzliwych. Nikt jednak raczej nie chciał się go pozbyć. A nawet gdyby tak było, gdzie jest ciało?

– Właśnie. Jak mawia Hastings, ciała mają zwyczaj wychodzić na jaw z niezwykle uporczywością.

– Nawiasem mówiąc, jeden z ogrodników twierdzi, że widział jakąś postać idącą od strony domu w kierunku ogrodu. Duże oszklone drzwi gabinetu

prowadzą wprost do różanego ogrodu i pan Davenheim często tamtędy wchodził i wychodził. Ale ogrodnik, który znajdował się daleko i był zajęty pracą przy inspekcji z ogórkami, nie jest nawet w stanie stwierdzić, czy był to jego pracodawca. Nie potrafi również podać dokładnie czasu. Z pewnością widział ową postać przed szóstą, gdyż o tej porze ogrodnicy kończą pracę.

– A pan Davenheim wyszedł z domu...

– Mniej więcej o wpół do szóstej.

– Co znajduje się za różanym ogrodem?

– Jezioro.

– Czy jest tam wioślarska przystań?

– Tak, stoi tam kilka płaskodennych łodzi. Przypuszczam, że pomyślał pan o samobójstwie, Poirot. Cóż, chętnie panu powiem, że jutro przyjeżdża Miller po to tylko, aby przeszukać jezioro. Proszę, jaki to człowiek!

Poirot uśmiechnął się blado i odwrócił w moją stronę.

– Hastings, bardzo cię proszę, podaj mi ten egzemplarz „Daily Megaphone”. O ile dobrze pamiętam, jest tam zamieszczone niezwykle wyraźne zdjęcie zaginionego.

Podniosłem się i znalazłem gazetę, o którą prosił. Poirot uważnie przestudiował rysy twarzy pana Davenheima.

– Hm! – wymamrotał. – Ma dosyć długie, falujące włosy, sumiaste wąsy, spiczastą brodę i krzaczaste brwi. Oczy ciemne?

– Tak.

– Włosy i broda nieco posiwiałe?

Detektyw skinął głową.

– A zatem, Poirot, co pan na to? Jasne jak słońce, czy tak?

– Wręcz przeciwnie, bardzo zagmatwane.

Inspektor wyglądał na zadowolonego.

– Co utwierdza mnie w przekonaniu, że to rozwiążę... – zakończył spokojnie Poirot.

– Co?

– Gdy sprawa jest niejasna, uważam to za dobry znak. Gdyby było odwrotnie, przyjąłbym to z dużą rezerwą! Wtedy musiałoby komuś zależeć, aby tak to

wyglądało.

Japp potrzęsnał głową niemal ze współczuciem.

– Cóż, to kwestia gustu. Nie miałbym jednak nic przeciwko temu, aby widzieć całą sprawę wyraźnie.

– Nie zależy mi na tym, żeby widzieć – wymamrotał Poirot. – Zamykam oczy i myślę.

Policjant westchnął.

– A zatem ma pan cały tydzień na myślenie.

– A pan będzie mnie informował o wszystkich nowych wydarzeniach w tej sprawie, na przykład o rezultatach pracy sumiennego i bystrookiego inspektora Millera?

– Naturalnie. Zawarliśmy przecież umowę.

– Wstyd mi – rzucił w moją stronę Japp, gdy go odprowadzałem do drzwi. – Czuję się tak, jakbym okradał dziecko!

Nie mogąc się z nim nie zgodzić, pozwoliłem sobie na uśmiech. Nadal się uśmiechałem, gdy wróciłem do pokoju.

– A więc... Wyśmiewasz się z papy Poirota, prawda? – Pogroził mi palcem. – Nie masz zaufania do jego szarych komórek? Och, nie bądź taki zażenowany! Lepiej przedyskutujmy tę sprawę. Wymaga jeszcze uzupełnienia, przyznaję, ale już odsłania jeden czy dwa interesujące szczegóły.

– Jezioro! – odparłem znacząco.

– Nawet więcej niż jezioro, przystań wioślarska!

Popatrzyłem spod oka na Poirota. Uśmiechał się w niezwykle zagadkowy sposób. Wiedziałem, że w tej chwili zadawanie mu dalszych pytań nie miałyby większego sensu.

Japp nie dawał znaku życia aż do następnego wieczoru, kiedy to zjawił się około 21.00. Od razu poznałem po wyrazie jego twarzy, że ma do zakomunikowania jakieś wiadomości.

– Czy wszystko idzie dobrze, przyjacielu? – zapytał Poirot. – Tylko niech mi pan nie mówi, że znaleźliście w jeziorze zwłoki pana Davenheima, nie uwierzyłbym w to.

– Nie znaleźliśmy zwłok, ale natknęliśmy się na jego ubranie, identyczne z tym, jakie nosił pamiętnego dnia. Co pan na to?

– Czy w domu brakuje jeszcze jakichś ubrań?

– Nie, służący pana Davenheima jest tego pewien. Reszta garderoby pozostała nietknięta. Co więcej, aresztowaliśmy Lowena. Jedna z pokojówek, do której obowiązków należy zamykanie okien w sypialniach, twierdzi, że mniej więcej kwadrans po szóstej widziała Lowena w ogrodzie różanym, jak szedł w stronę gabinetu.

– A co powiedział on sam?

– Na początku zaprzeczył, że w ogóle opuszczał gabinet. Ale pokojówka obstawała przy swoim, więc potem udał, jakoby zapomniał, że wyszedł na chwilę do ogrodu, aby obejrzeć rzadkie gatunki róż. Dosyć słaba wymówka! A teraz pojawił się nowy dowód przeciwko niemu. Pan Davenheim zawsze nosił na małym palcu prawej ręki gruby złoty pierścień z brylantem. Otóż pierścień ten został zastawiony w Londynie w sobotę wieczorem przez niejakiego Billy'ego Kelletta! Już wcześniej był on znany policji, gdyż ubiegłej jesieni przesiedział trzy miesiące w więzieniu za kradzież zegarka pewnemu sędziwemu dżentelmenowi. Wygląda na to, że próbował zastawić pierścień w co najmniej pięciu różnych miejscach, udało mu się w ostatnim. Za pieniądze, które dostał, upił się, poturbował policjanta i w rezultacie trafił do więzienia. Poszedłem z Millerem na Bow Street, aby go zobaczyć. Jest teraz wystarczająco trzeźwy i muszę przyznać, że nieźle go nastraszyliśmy, sugerując, iż może zostać oskarżony o morderstwo. Jego opowieść jest bardzo dziwna. Otóż w sobotę był na wyścigach konnych w Entfield, choć przypuszczam, że bardziej go interesowały złote szpilki do krawatów niż zakłady. W każdym razie miał zły dzień, szczęście mu nie dopisywało. Wlókł się drogą do Chingside i zanim doszedł do wsi, usiadł w rowie, żeby odpocząć. Kilka minut później zauważył mężczyznę idącego drogą w stronę wsi. Opisał go następująco: „Śniady gość, z dużym wąsem, jeden z tych miejskich elegancików”. Od strony drogi Kellett był zasłonięty przez stos kamieni. Mężczyzna prawie się z nim zrównał, gdy wtem przystanął, popatrzył szybko w obu kierunkach na drogę i najwyraźniej uznając ją za opustoszałą, wyjął z kieszeni jakiś mały przedmiot i rzucił go w krzaki. Potem udał się w kierunku stacji kolejowej. Przedmiot, który wyrzucił, upadł z lekkim brzękiem, co wzbudziło zaniepokojenie obwiesia siedzącego w rowie. Zaczął to

sprawdzać i po krótkich poszukiwaniach znalazł pierścień! To wersja Kelletta. Powiniennem jeszcze nadmienić, że Lowen całkowicie temu zaprzecza i, rzecz jasna, w najmniejszym nawet stopniu nie możemy polegać na słowach takiego człowieka jak Kellett. Niewykluczone, że spotkał przypadkiem Davenheima, obrabował go i zabił.

Poirot przecząco pokręcił głową.

– Mało prawdopodobne, *mon ami*. Po pierwsze, jak w takim razie pozbył się ciała? Do dziś już by je znaleziono. Po drugie, gdyby dokonał morderstwa, aby zdobyć pierścień, nie próbowałby później tak otwarcie go zastawić. Po trzecie, zakradający się chyłkiem złodziej rzadko zostaje mordercą. Po czwarte, skoro jest w więzieniu od soboty, byłby to zbyt duży zbieg okoliczności, gdyby przypadkiem udało mu się podać dokładny rysopis Lowena.

Japp potakująco skinął głową.

– Nie twierdzę, że nie ma pan racji. Nie zdoła pan jednak nakłonić ławy przysięgłych, aby wzięła pod uwagę zeznania kryminalisty. Natomiast dziwi mnie, że Lowen nie znalazł lepszego sposobu na pozbycie się pierścienia.

Poirot wzruszył ramionami.

– Przecież gdyby znaleziono go w pobliżu domu, niewykluczone, że zaczęto by utrzymywać, iż Davenheim sam go zgubił.

– Ale po co w ogóle go zdejmował? – zapytałem.

– Możliwe, że był ku temu powód – odparł Japp. – Czy wiecie, że mała furka za jeziorem prowadzi na wzgórze, a idąc tamtędy, po niecałych trzech minutach dochodzi się do pieca do wypalania wapna.

– Wielki Boże! – zawołałem. – Chce pan powiedzieć, że wapno, które zniszczyło ciało, nie podziałałoby na pierścień?

– Tak jest.

– Wydaje mi się – odparłem – że to wyjaśnia wszystko. Co za okropna zbrodnia!

Obaj jednocześnie odwróciliśmy się i popatrzyliśmy na Poirota. Wydawał się zatopiony w myślach, czoło miał zmarszczone, jak gdyby w jakimś olbrzymim umysłowym wysiłku. Poczułem, że w końcu dochodzi do głosu jego błyskotliwa inteligencja. Jakie będą jego pierwsze słowa? Nie kazał nam długo na nie czekać.

Gdy westchnął, napięcie widoczne w jego postawie opadło i odwróciwszy się do Jappa, zapytał:

– Być może wie pan, przyjacielu, czy państwo Davenheimowie dzielili sypialnię?

Pytanie było do tego stopnia niestosowne, że przez chwilę obaj patrzyliśmy osłupiali ze zdumienia. Po czym Japp wybuchnął głośnym śmiechem.

– Mój Boże, Poirot, sądziłem, że ma pan na myśli coś ważnego. A co do pańskiego pytania, przyznam, że nie wiem.

– Czy mógłby się pan tego dowiedzieć? – poprosił z dziwną stanowczością Poirot.

– Och, naturalnie, jeżeli naprawdę chce pan wiedzieć.

– *Merci, mon ami*^[22]. Byłbym bardzo zobowiązany, gdyby dołożył pan starań w tej sprawie.

Japp przyglądał mu się jeszcze przez kilka minut, ale Poirot sprawiał wrażenie, jakby zupełnie o nas zapomniał. Inspektor, patrząc na mnie, smutno potrząsnął głową i mamrocząc: „Biedny staruszek! Wojna mu chyba pomieszała zmysły!”, ostrożnie wycofał się z pokoju.

Ponieważ wydawało się, że Poirot wciąż jest pogrążony w myślach, wziąłem kartkę papieru i zacząłem robić notatki. Oderwał mnie od nich głos przyjaciela. Ocknął się już z zadumy i wyglądał teraz na ożywionego i uważnego.

– *Que faites-vous là, mon ami?*^[23]

– Próbowałem zanotować w punktach to, co w tej sprawie wydaje mi się najważniejsze.

– Zaczynasz działać metodycznie. Nareszcie! – odparł aprobowująco Poirot.

Ukryłem zadowolenie.

– Czy mam ci przeczytać?

– Oczywiście.

Odchrząknąłem.

– Punkt pierwszy: Wszystkie dowody wskazują, że właśnie Lowen włamał się do sejfu. Punkt drugi: Żywił urazę do Davenheima. Punkt trzeci: Skłamał, gdy na początku zeznał, że nie opuszczał gabinetu. Punkt czwarty: Gdyby uznać historię

Billy'ego Kelletta za prawdziwą, Lowen niewątpliwie brał w niej udział. I cóż? – zapytałem, mając wrażenie, że nie pominąłem żadnego istotnego faktu.

Poirot popatrzył na mnie ze współczuciem, lekko kręcąc głową.

– Mój biedny przyjacielu! Nie masz do tego daru. W ogóle nie bierzesz pod uwagę ważnych szczegółów. Twoje rozumowanie też jest błędne.

– Jak to?

– Pozwól mi przeanalizować twoje punkty. Pierwszy: Pan Lowen prawdopodobnie nie wiedział, że pojawi się przed nim szansa otworzenia sejfu. Przyszedł na spotkanie w interesach. Nie mógł wcześniej wiedzieć, że pan Davenheim wyjdzie wysłać list i że w rezultacie zostanie sam w gabinecie.

– Mógł skorzystać z nadarzającej się okazji – zasugerowałem.

– A narzędzia? Miejscy dżentelmeni nie noszą ze sobą na wszelki wypadek sprzętu potrzebnego do włamań. A nie można się włamać do sejfu za pomocą scyzoryka, rzecz jasna!

– Dobrze, a co z punktem drugim?

– Twierdzisz, że Lowen żywi urazę do pana Davenheima. Masz na myśli fakt, że raz czy dwa okazał się lepszy od niego w interesach. Najprawdopodobniej transakcje te dostarczyły mu pewnych korzyści materialnych. Poza tym nie żywi się urazy do człowieka, od którego było się lepszym, częściej bywa na odwrót. Jeżeli w ogóle można mówić o jakiegokolwiek urazie, to raczej w odniesieniu do pana Davenheima.

– Ale nie zaprzeczysz, że kłamał, mówiąc, iż nie opuszczał gabinetu.

– Tak, ale mógł się przestraszyć. Nie zapominaj, że akurat wyłowiono z jeziora ubranie zaginionego. Oczywiście, jak zwykle postąpiłby lepiej, mówiąc prawdę.

– A punkt czwarty?

– Przyznaję. Jeżeli opowieść Kelletta jest prawdziwa, Lowen z pewnością jest w nią zamieszany.

– Więc jednak wziąłem pod uwagę choć ten istotny fakt?

– Być może. Ale całkowicie pominąłeś dwie niezwykle ważne kwestie, które stanowią klucz do całej sprawy.

– Powiedz, proszę, jakie?

– Jedna to pasja, z jaką pan Davenheim w ciągu ostatnich kilku lat kupował klejnoty. Druga to jego podróż jesienią do Buenos Aires.

– Poirot, chyba żartujesz?

– Mówię zupełnie poważnie. Och, do kroćset, mam nadzieję, że Japp nie zapomni o moim poleceniu.

Ale inspektor, choć nie opuszczał go nastrój do żartów, pamiętał o nim na tyle dobrze, że następnego dnia około jedenastej nadszedł od niego telegram. Na prośbę Poirota otworzyłem go i odczytałem następujący tekst:

Mąż i żona od ubiegłej zimy zajmują osobne sypialnie.

– Aha! – zawołał Poirot. – A teraz mamy połowę czerwca! Wszystko jasne!

Zacząłem mu się przyglądać.

– Nie masz pieniędzy w banku Davenheima i Salmona, *mon ami*?

– Nie – odparłem zdumiony. – Dlaczego pytasz?

– Ponieważ radziłbym ci je podjąć, zanim będzie za późno.

– Dlaczego? Obawiasz się czegoś?

– Obawiam się, że za kilka dni, być może wcześniej, splajtują. W związku z tym odpiszemy inspektorowi. Ołówek, bardzo proszę, i formularz depeszy. *Voilà!*^[24] *Radzę podjąć pieniądze z banku, o którym mówiliśmy.* To zaintryguje poczciwego Jappa! Bardzo szeroko otworzy oczy ze zdumienia! Zupełnie nie będzie wiedział, o co chodzi, aż do jutra albo pojutra!

Odniosłem się do tego sceptycznie, ale następnego dnia musiałem wyrazić uznanie dla nadzwyczajnych zdolności przyjaciela. Olbrzymie nagłówki we wszystkich gazetach mówiły o bankructwie banku Davenheima. W świetle rewelacji na temat kondycji finansowej banku zniknięcie znanego przedsiębiorcy nabrało całkowicie odmiennego znaczenia.

Akurat w najlepsze jedliśmy śniadanie, gdy raptem drzwi się otworzyły i do pokoju wpadł Japp. W lewej ręce trzymał gazetę, w prawej – telegram od Poirota, który cisnął na stół przed moim przyjacielem.

– Skąd pan o tym wiedział, Poirot? Jakim sposobem, do licha, pan do tego doszedł?

Poirot z lekka się do niego uśmiechnął.

– Och, *mon ami*, po pańskim telegramie miałem już pewność! Widzi pan, od samego początku w tym włamaniu do sejfu uderzyło mnie coś niezwykłego. Klejnoty, gotówka, obligacje na okaziciela, wszystko wydawało się przygotowane. Dla kogo? Otóż pocziwy pan Davenheim należał do tych, którzy nie zasypiają gruszek w popiele, jak to zwykliście określać! Było prawie pewne, że przygotował to dla siebie! No i ta jego pasja od kilku lat do kupowania klejnotów! Jakież to proste! Za sumy, które sprzeniewierzył, nabywał klejnoty, te z kolei najprawdopodobniej zastępował bezwartościowymi duplikatami i w ten sposób zgromadził w bezpiecznym miejscu, pod innym nazwiskiem, znaczny majątek, aby móc się nim cieszyć, gdy wszyscy inni zostaną wyprowadzeni w pole. Kiedy przygotowania zostały zakończone, wyznaczył spotkanie panu Lowenowi, który w przeszłości był na tyle nieroztropny, aby raz czy dwa wejść w drogę takiej znakomitości, wywiercił w sejfie dziurę, nakazał wprowadzić gościa do gabinetu i wyszedł z domu. Dokąd? – Poirot urwał i wyciągnął rękę po kolejne gotowane jajko. Zmarszczył brwi. – To wręcz nie do zniesienia – wymamrotał – żeby każda kura znosiła jajka innej wielkości. Jakaż asymetria powstaje z tego przy stole! Żeby chociaż sortowali je w sklepie!

– Mniejsza o nie – odparł zniecierpliwiony Japp. – Mogą być nawet kwadratowe. Niech pan nam raczej powie, dokąd się gość udał, gdy opuścił Cedars, jeśli pan to wie!

– No cóż, poszedł do swojej kryjówki. Och, ten pan Davenheim, być może jego szare komórki mają jakieś zniekształcenia, funkcjonują jednak pierwszorzędnie!

– Czy pan wie, gdzie jest jego kryjówka?

– Naturalnie. Jest bardzo pomysłowa.

– Na miłość boską, niech więc pan nam powie!

Poirot uważnie zebrał z talerza wszystkie kawałki skorupki, umieścił je w podstawce do jajek, a na nich odwróconą pustą skorupkę. Zakończywszy tę operację, rozpromienił się na widok jej rezultatu, a potem patrząc na nas, uśmiechnął się czule.

– Śmiało, przyjaciele, jesteście ludźmi inteligentnymi. Zadajcie sobie pytanie, jakie i ja sobie postawiłem: gdzie bym się ukrył na miejscu tego człowieka? Hastings, co powiesz?

– Cóż – odparłem – skłonny jestem przypuszczać, że w ogóle bym się nie ukrywał. Zostałbym w Londynie, w sercu tego wszystkiego, jeździłbym metrem i autobusami. Stawiam dziesięć do jednego, że nigdy by mnie nie rozpoznano. W tłumie można czuć się bezpiecznym.

Poirot badawczo odwrócił się w stronę Jappa.

– Nie zgadzam się. Uciec od razu to jedyna szansa. Miałbym mnóstwo czasu, żeby wszystko wcześniej przygotować. Czekałby już na mnie w pogotowiu jacht i zanim zaczęłaby się ta cała wrzawa, umknąłbym w jeden z najodleglejszych zakątków świata. – Obaj popatrzyliśmy na Poirota. – A co pan by zrobił?

Detektyw przez chwilę zachowywał milczenie. Potem przemknął mu przez twarz niezwykle uśmiech.

– Przyjaciele, gdybym próbował ukryć się przed policją, czy wiecie, gdzie bym szukał schronienia? W więzieniu!

– Co?

– Poszukujecie *monsieur* Davenheima, aby wsadzić go do więzienia, więc nigdy nie przyjdzie wam na myśl sprawdzić, czy aby już go tam nie ma!

– Co pan ma na myśli?

– Twierdzi pan, że *madame* Davenheim nie jest zbyt inteligentna. Sądzę jednak, że gdyby zabrał ją pan na Bow Street i dokonał konfrontacji z mężczyzną podającym się za Billy’ego Kelletta, rozpoznałaby go! Mimo że zgolił brodę, wąsy oraz te krzaczaste brwi i krótko przyciął włosy. Trudno nie rozpoznać męża, nawet gdy wszystkich innych uda mu się wyprowadzić w pole.

– Billy Kellett? Ależ on był już wcześniej notowany!

– Czyż nie mówiłem, że to inteligentny człowiek? Przygotował sobie alibi dużo wcześniej. Jesienią wcale nie był w Buenos Aires, tylko wcielił się w postać Billy’ego Kelletta, „odsiadującego trzy miesiące”, aby policja nie miała żadnych podejrzeń, gdy nadejdzie właściwy czas.

Pamiętajcie, że grał o dużą stawkę: wielki majątek i wolność. Warto było doprowadzić całą rzecz do końca. Tyle że...

– Tak?

– Cóż, potem musiał nosić sztuczną brodę i perukę, musiał się ucharakteryzować, a nie jest łatwo spać ze sztuczną brodą, mistyfikacja może zostać łatwo odkryta. Nie mógł dłużej dzielić pokoju z żoną. Na moją prośbę

dowiedział się pan, że przez ostatnie pół roku, czy ile tam czasu minęło od jego rzekomego powrotu z Buenos Aires, on i pani Davenheim zajmowali oddzielne pokoje. Wtedy już byłem pewien! Ogrodnik, któremu się wydawało, że widział pana idącego od strony domu, miał całkowitą rację. Pan Davenheim udał się do przystani wioślarskiej, przywdział ubranie „włóczęgi”, które, czego możecie być pewni, było dobrze ukryte przed wzrokiem służącego, niepotrzebne wrzucił do jeziora i przystąpił do wykonywania planu, zastawiając pierścień, a potem napadając na policjanta i trafiając bez przeszkód do aresztu na Bow Street, gdzie nikomu nawet nie śniłoby się go szukać!

– Niemożliwe – wymamrotał Japp.

– Niech pan zapyta *madame* – odparł mój przyjaciel z uśmiechem.

Następnego dnia obok talerza Poirota leżał list polecony. Gdy go otworzył, z koperty wypadł pięciofuntowy banknot. Mój przyjaciel zmarszczył brwi.

– O, do diabła! Co ja z nim zrobię? Mam takie wyrzuty sumienia! Biedny Japp! Ach, mam pomysł! Zjemy razem kolację, we trzech! Uspokoi to moje sumienie. To było doprawdy zbyt proste. Wstyd mi. Przecież ja nie okradłbym nawet dziecka, *mille tonnerres*^[25]! *Mon ami*, co się stało, że śmiejesz się tak serdecznie?

SZMARAGD RADZY

Przełożyła
Adela Drakowska



Opowiadanie pochodzi ze zbioru
Tajemnica lorda Listerdale'a

Opowiadanie pochodzi ze zbioru
Tajemnica lorda Listerdale'a

Z wielkim trudem James Bond^[26] ponownie skoncentrował uwagę na małej żółtej książce, którą trzymał w ręku. Na jej okładce widniał prosty, ale zachęcający tytuł: *Czy chcesz, aby twoja pensja wzrosła o 300 funtów rocznie?* Cena książki wynosiła jeden szyling. James właśnie przeczytał dwie strony zwięzłych pouczeń, jak patrzeć szefowi w twarz, jak kształtować dynamiczną osobowość i jak roztaczać wokół siebie atmosferę kompetencji. Teraz doszedł do bardziej subtelного zagadnienia: *Jest pora na szczerłość i pora na dyskrecję* – pouczała go żółta książeczka. – *Silny mężczyzna nie zawsze ujawnia wszystko, co wie.* James zamknął książkę, uniósł głowę i zapatrzył się w błękitną dal oceanu. Zrodziło się w nim okropne podejrzenie, że nie jest silnym mężczyzną. Silny mężczyzna zapanowałby nad obecną sytuacją, a nie stałby się jej ofiarą. Po raz sześćdziesiąty tego poranka James dokonał przeglądu swych krzywd.

Oto był jego urlop. Jego urlop! Ha, ha, ha! Sardoniczny śmiech. Kto namówił go na przyjazd do tej modnej nadmorskiej miejscowości Kimpton-on-Sea? Grace. Kto skłonił go do wydatku większego, niż mógł sobie pozwolić? Grace. A on ochoczo poparł ten plan. Ściągnęła go tu – i czym się to skończyło? Mieszkał w ponurym pensjonacie położonym jakieś dwa kilometry od morza, Grace zaś, zamiast wynająć podobne lokum (nie to samo, rzecz jasna – w środowisku Jamesa reguły przyzwoitości były bardzo surowe), zdradziła go nikiemnie i zatrzymała się ni mniej, ni więcej, tylko w hotelu Esplanade nad samym brzegiem morza.

Ponoć miała tam przyjaciół. Przyjaciół! James znów roześmiał się sardonicznie. Myślami powrócił do tych ostatnich trzech lat swoich nieśpiesznych zalotów do Grace. Była niebotycznie zadowolona, gdy po raz pierwszy zaszczyił ją swą uwagą. Działo się to, jeszcze zanim osiągnęła wyżyny sławy w salonach modniarskich państwa Bartlesów przy High Street. Z początku to James zadzierał nosa. Teraz, niestety, sytuacja się odwróciła. Grace była osobą – jak to się mówi – dobrze zarabiającą. Z tej przyczyny stała się zarozumiała. Tak, właśnie, okropnie zarozumiała. Przyszedł mu na myśl fragment jakiegoś utworu poetyckiego, coś o „dziękowaniu postem Bogu za miłość porządnego mężczyzny”^[27]. Niczego w tym rodzaju nie widziało się

w zachowaniu Grace. Dobrze karmiona w hotelu Esplanade, kompletnie ignorowała miłość porządnego mężczyzny. Przyjmowała natomiast umizgi skończonego idioty o nazwisku Claud Sopworth, człowieka, który zdaniem Jamesa był całkowicie pozbawiony zasad moralnych.

James wbił obcas w ziemię i z posepną miną wpatrywał się w horyzont. Kimpton-on-Sea. Co go opętało, że przyjechał do takiej miejscowości? To był kurort dla bogatych i eleganckich ludzi; znajdowały się tam dwa duże hotele i ciągnące się na przestrzeni wielu kilometrów malownicze bungalowy, które należały do popularnych aktorek, zamożnych Żydów i tych członków angielskiej arystokracji, którym udało się bogato ożenić. Czynnikiem za najmniejszy umeblowany bungalow wynosił dwadzieścia pięć gwinei^[28] na tydzień. Przerastało wyobraźnię, ile mógł wynosić za duży dom. Jeden z takich pałaców znajdował się bezpośrednio za plecami Jamesa. Należał do zapalonego wędkarza, lorda Edwarda Campiona, i obecnie pełen był znakomitych gości, włącznie z radzą Maraputny, którego bogactwo owiane było legendą. James przeczytał o nim wszystko dziś rano w lokalnym tygodniku; o jego posiadłościach w Indiach, pałacach i wspaniałej kolekcji klejnotów, w której wyróżniał się zwłaszcza sławny szmaragd wielkości gołębiego jaja, jak entuzjastycznie donosiła prasa. James, wychowany w mieście, miał dość mgliste pojęcie o rozmiarach gołębiego jaja, mimo to informacja wywarła na nim odpowiednie wrażenie.

– Gdybym miał taki szmaragd – powiedział James do siebie, wpatrując się smutnym wzrokiem w horyzont – dopiero bym pokazał Grace!

Słowa te nie brzmiały zbyt przekonująco, ale już samo ich wypowiedzenie poprawiło Jamesowi nastrój. Usłyszał z tyłu roześmiane i przywołujące go głosy, odwrócił głowę i znalazł się oko w oko z Grace. Była z Clarą Sopworth, Alice Sopworth, Dorothy Sopworth i, niestety, również z Claudem Sopworthem. Dziewczęta trzymały się za ręce i chichotały.

– Rzadko się pokazujesz! – zawołała figlarnie Grace.

– Tak – przyznał James.

Czuł, że mógł zdobyć się na lepszą ripostę. Nie sprawia się wrażenia dynamicznej osobowości, posługując się tylko jednym słowem „tak”. Z głęboką niechęcią patrzył na Clauda Sopwortha, który był wystrojony niczym bohater wodewilu. James z tęsknotą wyczekiwał chwili, gdy biegający po plaży pies położy swe mokre, pobrudzone piaskiem łapy na nieskazitelnie białych

flanelowych spodniach Clauda. Sam ubrany był w praktyczne ciemnoszare spodnie, których najlepsze dni należały do przeszłości.

– Czyż powietrze nie jest wspaniałe? – zapytała Clara, wciągając je z lubością. – Prawda, że niezwykle orzeźwia? – Zachichotała.

– To ozon. Jest rześki jak tonik – zauważyła Alice i również zachichotała.

„Mam ochotę uderzyć o siebie tymi ich pustymi głowami” – pomyślał James. „Jaki sens ma ten bezustanny śmiech? Nie mówią przecież niczego śmiesznego”.

Nieskazitelny Claud odezwał się rozwlekłym głosem:

– Wykąpiemy się, czy może jesteście zbyt zmęczone?

Pomysł kąpieli przyjęty został radosnym piskiem. James poszedł wraz z nimi. Dzięki odrobinie sprytu udało mu się przytrzymać Grace trochę z tyłu.

– Posłuchaj – poskarżył się – prawie cię nie widuję.

– Ale teraz jesteśmy przecież razem – odparła Grace. – I możesz zjeść z nami lunch w hotelu, jeśli...

– O co chodzi? – rzucił James szorstko. – Zapewne nie prezentuję się wystarczająco elegancko?

– Myślę, kochanie, że mógłbyś dołożyć nieco starań – rzekła Grace. – Wszyscy są tu niezwykle eleganccy. Spójrz tylko na Clauda Sopwortha!

– Przyjrzałem mu się – stwierdził James ponuro. – Nigdy dotąd nie spotkałem mężczyzny, który w większym stopniu przypominałby osła.

– Niepotrzebnie krytykujesz moich przyjaciół, Jamesie – obruszyła się Grace. – To nie świadczy o dobrym wychowaniu. Claud chodzi ubrany tak jak inni dżentelmeni w hotelu.

– Ach! – zawołał James. – Wiesz, co przeczytałem któregoś dnia w „Society Snippets”? Otóż książę... książę, nie pamiętam który, w każdym razie jeden z książąt uznany został za najgorzej ubranego mężczyznę w Anglii!

– Możliwe – powiedziała Grace. – Ale to był książę.

– I co z tego? – rzucił James. – Może i ja pewnego dnia zostanę księciem? No, może nie księciem, ale przynajmniej lordem.

Poklepał wciśniętą do kieszeni żółtą książeczkę i wyliczył długą listę lordów, którzy rozpoczęli karierę o wiele skromniej niż on. Grace zbyła tę uwagę chichotem.

– Nie bądź głupi, Jamesie – skarciła go. – Już cię widzę w roli księcia Kimpton-on-Sea!

James spojrział na nią z mieszaniną gniewu i rozpaczy. Kimpton-on-Sea niewątpliwie uderzyło Grace do głowy.

Plaża w Kimpton to długi, prosty pas pisku. Wzdłuż niej, na przestrzeni około dwóch kilometrów, ciągnie się rząd domków kąpielowych i kabin. Całe towarzystwo zatrzymało się właśnie przed szeregiem sześciu takich domków-przebieralni, na których widniał okazały napis: *Tylko dla gości hotelu Esplanade.*

– Jesteśmy na miejscu – oznajmiła Grace z ożywieniem. – Obawiam się jednak, Jamesie, że nie możesz nam towarzyszyć. Musisz skorzystać z tych ogólnych namiotów. Spotkamy się w morzu. Do zobaczenia!

– Do zobaczenia – powiedział James i odszedł we wskazanym kierunku.

Dwanaście podniszczonych namiotów stało sobie jak na paradzie przodem do oceanu. Stary marynarz, który je nadzorował, dzierżył w ręku rolkę błękitnego papieru. Przyjął od Jamesa monetę, wydarł niebieski bilet z rolki, rzucił mu ręcznik i znacząco stuknął go palcem w ramię.

– Ustaw się pan w kolejce – polecił ochryplym głosem.

I wtedy James zdał sobie sprawę z istnienia konkurencji. Inni ludzie też wpadli na pomysł morskiej kąpeli. Wszystkie namioty były zajęte, a na zewnątrz kłębił się zdeterminowany tłum czekających na swoją kolej. James ustawił się w najkrótszej kolejce i czekał. Poły namiotu rozchyliły się i piękna, młoda kobieta, skąpo przyodziana, wyszła jak na scenę. Włożyła czepek kąpielowy z miną osoby, która ma przed sobą cały długi poranek, podeszła do wody i sennie spoczęła na piasku.

„Źle się ustawiłem” – pomyślał James i niezwłocznie przyłączył się do następnej grupy.

Po upływie pięciu minut w namiocie dały się zauważyć oznaki poruszenia. Kilkakrotnie mocno pociągnięto za sznurki, po czym poły namiotu rozchyliły się i wyszła z niego rodzinka: ojciec, matka i czworo dzieci. Wyglądało to na magiczną sztuczkę, jeśli wziąć pod uwagę niewielkie rozmiary namiotu. W tej samej chwili do przodu rzuciły się dwie kobiety. Każda z nich uchwyciła się poły namiotu.

– Przepraszam panią – powiedziała pierwsza młoda kobieta, lekko dysząc.

– To ja przepraszam – odezwała się druga młoda kobieta, patrząc na tamtą znacząco.

– Powinna pani wiedzieć, że byłam tu całe dziesięć minut przed panią – dodała szybko pierwsza z nich.

– Wszyscy mogą potwierdzić, że stoję tu już dobry kwadrans – sprostowała druga młoda kobieta wojowniczym tonem.

– O co chodzi? – wtrącił się stary marynarz.

Obydwie kobiety zaczęły mówić jedna przez drugą. Gdy skończyły, marynarz wskazał kciukiem na jedną z nich i powiedział krótko:

– Teraz pani.

Następnie odszedł, głuchy na protesty. Nie wiedział i wcale go nie obchodziło, która z nich była pierwsza, ale jego decyzja była ostateczna, jak mawiają dziennikarze sportowi. James, doprowadzony do rozpacz, chwycił marynarza za ramię.

– Niechże pan posłucha!

– O co chodzi?

– Ile czasu upłynie, nim dostanę się do środka?

Stary marynarz obrzucił oczekujący tłum beznamiętnym spojrzeniem.

– Może godzinę, może półtorej. Trudno powiedzieć.

W tej chwili James spostrzegł, że Grace i pozostałe dziewczęta beztrudnie biegną po piasku do morza.

„Do diabła!” – zaklął w duchu. „Do wszystkich diabłów!”

Jeszcze raz zaczepił starego marynarza:

– Nie mógłbym dostać się do innego namiotu? A co z tamtymi domkami? Wszystkie wydają się puste.

– Tamte przebieralnie – odparł marynarz z godnością – są prywatne. – Udzieliwszy tej reprimendy, oddalił się.

Z gorzkim uczuciem zawodu James porzucił kolejkę i wściekły pomaszerował wzdłuż plaży. To był koniec! Całkowity i nieodwołalny koniec! Złym okiem spozierał na porządne kabiny kąpielowe, które mijał. W tym momencie niezależny liberał ustępował w nim miejsca wojującemu socjaliście. Dlaczego

bogaci mogą mieć własne przebieralnie i zażywać kąpieli, kiedy zechcą, bez czekania w kolejkach?

„Cały nasz system – pomyślał James z pewnym wahaniem – jest do niczego”.

Od strony morza dobiegały go kokieteryjne okrzyki chlapiących się dziewczyn. To był głos Grace! A nad jej piskiem górowało bezmyślne „ha, ha, ha” Clauda Sopwortha.

– Do licha! – rzucił pod nosem James, zgrzytając zębami, czego nigdy dotąd nie próbował robić, a jedynie czytywał o tym w powieściach.

Stanął, a następnie, wściekle kręcąc patykiem, ostentacyjnie odwrócił się plecami do morza. Zamiast na morze ze skupioną nienawiścią patrzył na Eagle’s Nest^[29], Buena Vista^[30] i Mon Désir^[31]. Mieszkańcy Kimpton-on-Sea mieli zwyczaj nadawać swym kąpielowym domkom wymyślne nazwy. Nazwę Eagle’s Nest uznał za głupkowatą, Buena Vista zaś przerastała jego lingwistyczne talenty. Ale wystarczająco znał francuski, aby zdawać sobie sprawę z trafności trzeciej nazwy.

W tym momencie spostrzegł, że w przeciwieństwie do pozostałych domków kąpielowych, których drzwi były dokładnie zamknięte, drzwi do Mon Désir pozostawiono uchylone. James rozejrzał się bacznie po plaży. W tym miejscu zajmowały ją głównie matki pochłonięte pilnowaniem swych pociech. Była dopiero dziesiąta rano – pora zbyt wczesna, aby arystokracja z Kimpton-on-Sea pojawiała się na plaży.

„Zapewne jedzą teraz w łózkach przepiórki z grzybami przyniesione na tacy przez upudrowanych lokajów! Nikt z tego towarzystwa nie pokaże się tu przed dwunastą” – pomyślał James.

Znowu spojrzął w kierunku morza. Jak przystało na dobrze przećwiczony lejtmotyw, w powietrzu roznosiły się piskliwe okrzyki Grace. Wtórowało im niezmiennie „ha, ha, ha” Clauda Sopwortha.

„Wejść” – zdecydował w duchu James, zaciskając zęby.

Pchnął drzwi do Mon Désir i wszedł do środka. Na początku poczuł strach, widząc wiszące na kołkach różne części garderoby, ale szybko się opanował. Wnętrze podzielone było na dwie części. W damskiej, po prawej stronie, na jednym kołku wisiały żółty sweter, podniszczony kapelusz panama i para plażowych sandałów, po lewej stronie zaś, w części męskiej – stare, szare

flanelowe spodnie, pulower i nieprzemakalny rybacki kaptur. Aby się rozebrać, James przemieścił się pośpiesznie do męskiej części. Trzy minuty później był już w morzu. Dysząc i głośno parszając, wykonywał krótkie i sprężyste ruchy niczym zawodowy pływak; głowa pod wodą, ramiona tnące fale – ten styl.

– Och, jesteście wreszcie! – zawołała Grace. – Bałam się, że oczekiwanie w tym tłumie zajmie ci całą wieczność!

– Doprawdy? – spytał James.

Czule pomyślał o swojej żółtej książeczce: *Silny mężczyzna potrafi w pewnych sytuacjach zachować dyskrecję*. Na chwilę powrócił mu dobry humor. Mógł nawet odezwać się spokojnie, lecz stanowczo do Clauda Sopwortha, który uczył Grace pływać kraulem:

– Nie, nie, przyjacielu, to całkiem nie tak. Sam jej to pokażę.

W głosie Jamesa zabrzmiało tyle pewności siebie, że Claud wycofał się niepyszny. Szkoda tylko, że jego triumf był krótkotrwały. Temperatura angielskich wód nie zachęcała amatorów kąpieli do przebywania w niej dłużej. Grace i pozostałe dziewczęta miały już sine brody i szczykały zębami. Całe towarzystwo wybiegło więc z powrotem na brzeg, a James samotnie podążył do Mon Désir. Kiedy dziarsko wycierał się ręcznikiem i wciągał przez głowę koszulę, był z siebie wielce zadowolony. Czuł, że zaprezentował dynamiczną osobowość.

I nagle zamarł w bezruchu z przerażenia. Z zewnątrz dobiegły go dziewczęce głosy, całkiem inne niż głosy Grace i jej przyjaciółek. Chwilę później zrozumiał – nadchodzili prawowici właściciele Mon Désir! Gdyby był kompletnie ubrany, możliwe, że przyjąłby ich spokojnie i próbował wyjaśnić całą sprawę. W sytuacji, w jakiej się znalazł, wpadł w panikę. Okna domku były przysłonięte zielonymi firankami, James rzucił się więc desperacko do drzwi i kurczowo przytrzymał gałkę. Daremnie ktoś z zewnątrz próbował ją przekręcić.

– No i okazuje się, że zamknięte – rzekł dziewczęcy głos. – A Peg powiedziała, że są otwarte.

– Nie, to Woggle tak mówiła.

– Woggle jest nieznośna – odezwała się druga dziewczyna. – Teraz, jak skończone idiotki, musimy wracać po klucz.

James usłyszał oddalające się kroki. Odetchnął głęboko. W gorączkowym pośpiechu wciągnął na siebie resztę garderoby. Dwie minuty później spacerował nonszalancko po plaży z miną niewiniątka. Po kwadransie przyłączyła się do niego Grace z dziewczętami. Reszta poranka upłynęła im przyjemnie na rzucaniu kamykami, pisaniu na piasku i żartobliwym przekomarzaniu się. W końcu Claud zerknął na zegarek.

– Pora na lunch – zauważył. – Wracajmy.

– Jestem okropnie głodna – stwierdziła Alice Sopworth.

Pozostałe dziewczęta przyznały, że również umierają z głodu.

– Jamesie, idziesz z nami? – zapytała Grace.

Niewątpliwie James był przewrażliwiony, poczuł się bowiem dotknięty jej tonem.

– Moje ubranie nie jest dla was wystarczająco szykowne – powiedział z goryczą. – Skoro jesteście tak wymagające, lepiej będzie, jeśli nie pójdę.

Teraz Grace powinna zaprotestować, ale widać morskie powietrze nastroiło ją nieprzychylnie. Powiedziała tylko:

– Bardzo dobrze. Jak sobie życzysz. Zobaczymy się więc po południu.

James osłupiał.

– No cóż – rzekł z westchnieniem, patrząc za oddalającym się towarzystwem. – Trudno...

W ponurym nastroju pomaszerował do miasta. W Kimpton-on-Sea były dwie jadłodajnie – obie duszne, hałaśliwe i zatłoczone. Powtórzył się przedpołudniowy scenariusz z przebieralniami na plaży: James musiał czekać w kolejce. Czekał dłużej, niż powinien, gdyż pewna pozbawiona skrupułów matrona ledwie weszła, a już ubiegła go w wyścigu o wolne miejsce. W końcu zasiadł przy stoliku. Tuż koło jego lewego ucha trzy niezbornie podrygujące panienki wyśpiewywały bez ładu i składu melodie z włoskich oper. Na szczęście James nie był muzykalny. Obojętnie, z rękami wsuniętymi głęboko do kieszeni, studiował menu.

„Cokolwiek bym zamówił, na pewno już się skończyło” – rozmyślał. „Taki mój los”.

Jego prawa ręka, myszkuje bezwiednie po kieszeni, natrafiła nagle na jakiś przedmiot. W dotyku przypominał kamyk – duży, okrągły kamyk.

„Po cóż, u diabła, miałbym wkładać kamyk do kieszeni?” – zastanawiał się James.

Zacisnął na nim palce, kiedy do stolika podeszła kelnerka.

- Smażoną płastugę z frytkami poproszę – zdecydował się James.
- Skończyła się – mruknęła kelnerka, wbijając znudzony wzrok w sufit.
- W takim razie wołowinę w sosie curry.
- Wołowina też się skończyła.
- Czy jest coś w tym przeklętym jadłospisie, co się jeszcze nie skończyło?

Kelnerka ze zboląłą miną umieściła bladoszary palec wskazujący na ragoût z baraniny. James pogodził się z nieuchronnym i zamówił to danie. Kipiąc jeszcze wściekłością na restauracyjne porządki, wyjął rękę z kieszeni. Otworzył dłoń i z roztargnieniem spojrzął na znajdujący się w niej przedmiot. Doznał takiego wstrząsu, że wszystkie mniej ważne sprawy uleciały mu z głowy. Szeroko otwartymi oczami gapił się na znalezisko. To, co trzymał w ręku, nie wyglądało na kamyk. Był to – prawie nie miał co do tego wątpliwości – szmaragd, ogromny zielony szmaragd! James zeszywniał z przerażenia. Nie, to nie mógł być szmaragd, to z pewnością było kolorowe szkiełko... Szmaragdy nie osiągają takich rozmiarów, chyba że... Wydrukowane słowa zatańczyły mu przed oczami: *Sławny szmaragd wielkości gołębiego jaja należący do rady Maraputny. Czyżby to był... Czy mógł to być szmaragd, który miał właśnie przed oczami?*

Kelnerka wróciła z baraniną. James kurczowo zacisnął palce. Gorące i zimne dreszcze przechodziły mu po plecach. Czuł, że stanął przed koszmarnym dylematem. Jeśli był to szmaragd... Ale czy rzeczywiście był? Czy mógł być? Otworzył dłoń i nerwowo zerknął. James nie znał się na drogich kamieniach, ale głębia koloru i blask klejnotu utwierdzały go w przekonaniu, że ma do czynienia z prawdziwym szmaragdem. Oparł łokcie o stół, pochylił głowę i błędnym wzrokiem patrzył na jedzenie wolno stygnące na półmisku. Musiał przemyśleć sprawę. Jak powinien postąpić, jeśli był to szmaragd rady? Słowo „policja” przemknęło mu przez myśl. Jeśli znajdzie się wartościowy przedmiot, należy odnieść go na posterunek policji. James został wychowany zgodnie z taką właśnie zasadą.

Tak, ale jak, na Boga, szmaragd znalazł się w kieszeni jego spodni? Niewątpliwie zapytają go o to na policji. Pytanie było krępujące i, co więcej,

chwilowo nie znał na nie odpowiedzi. W jaki sposób szmaragd dostał się do jego kieszeni? Spuścił rozpaczliwie wzrok na swoje nogi i w tym momencie wstrząsnęło nim złe przeczucie. Przyjrzał się dokładniej. Para starych, szarych flanelowych spodni do złudzenia przypominała inną parę starych, szarych flanelowych spodni, mimo to James wyczuł instynktownie, że to nie są jego spodnie. Oparł się o krzesło oszołomiony tym odkryciem. Teraz już wiedział, co się stało. Kiedy w pośpiechu starał się opuścić domek kąpielowy, włożył cudze spodnie. Pamiętał, że powiesił swoje na kołku obok innych starych spodni. Tak, odtąd sprawa była jasna – miał na sobie cudze spodnie. Jednak co, u licha, robił tam szmaragd wart setki tysięcy funtów? Im więcej o tym myślał, tym bardziej sprawa wydawała się podejrzana. Oczywiście mógł wyjaśnić policji...

To było żenujące, bez wątpienia zdecydowanie żenujące. Musiałby wspomnieć, że umyślnie wszedł do cudzego domku kąpielowego. Nie było to oczywiście poważne przestępstwo, ale ukazałoby go w złym świetle.

– Czy mam podać panu coś jeszcze?

To była kelnerka. Patrzyła znacząco na nietknięte ragoût. James pośpiesznie nałożył trochę potrawy na talerz i poprosił o rachunek. Zapłacił i wyszedł. Gdy stał niezdecydowany na ulicy, nagle jego uwagę przykuł afisz umieszczony naprzeciwko. Widniały na nim nagłówki z wydawanej w sąsiednim miasteczku Harchester popołudniowej gazety. Zwięźle powiadamiano o sensacyjnym wydarzeniu. *Kradzież szmaragdu należącego do radży.*

– O Boże – szepnął James i oparł się o słup.

Kiedy oprzytomniał, wyciągnął pensa i kupił gazetę. Szybko znalazł to, czego szukał. Nie było dużo sensacyjnych wiadomości z okolicy. Wielkie nagłówki zdobiły pierwszą stronę: *Sensacyjna kradzież w domu lorda Edwarda Campiona, Kradzież słynnego historycznego szmaragdu, Ogromna strata dla radży Maraputny.* Okoliczności zdarzenia były proste. Poprzedniego wieczoru lord Edward Campion przyjmował przyjaciół. Radża, chcąc pokazać klejnot jednej z obecnych dam, poszedł po niego i wówczas okazało się, że kamień zniknął. Wezwano policję. Do tej pory nie natrafiono na żaden ślad.

James bezwiednie wypuścił gazetę z rąk. Ciągle nie miał pojęcia, w jaki sposób szmaragd znalazł się w kieszeni szarych flanelowych spodni, które wisiały sobie spokojnie w domku kąpielowym, ale narastało w nim przeświadczenie, że policja podejrzliwie odniesie się do jego opowieści. Co, na

Boga, miał pocałować? Stał sobie oto na głównej ulicy Kimpton-on-Sea, a w jego kieszeni spoczywał spokojnie poszukiwany przez siły policyjne całego okręgu skradziony klejnot wart krocie. Miał przed sobą alternatywę: albo pójść prosto na policję i opowiedzieć całą historię (należy jednak zaznaczyć, że James bardzo się tego obawiał), albo pozbyć się w jakiś sposób szmaragdu. Przyszedł mu do głowy pomysł zrobienia zgrabnej paczuszki i przesłania jej radzy. Potrząsnął jednak głową z dezaprobatą. Za dużo naczytał się powieści kryminalnych, aby uczynić podobne głupstwo. Doskonale wiedział, że wytrawny detektyw potrafi zrobić użytek z lupy i innych pomysłowych urządzeń. Każdy szanujący się detektyw, który zajmie się paczką Jamesa, w niespełna pół godziny ustali zawód, wiek, zwyczaje i wygląd nadawcy. A później wystarczy zaledwie kilka godzin, żeby go złapać.

I właśnie wtedy wpadł mu do głowy zadziwiająco prosty pomysł. Była pora lunchu. Na plaży musiało być względnie pusto. Wróci więc do Mon Désir, odwiesi spodnie i odzyska własne. Szybkim krokiem ruszył w kierunku plaży.

Mimo wszystko dręczyło go sumienie. Przecież szmaragd powinien zostać zwrócony radzy. Doszedł do wniosku, że zanim dokona zamiany spodni, może sam podjąć próbę małego śledztwa. Realizując ten pomysł, pomaszerował w kierunku starego marynarza, którego słusznie uznał za niewyczerpane źródło wiadomości o Kimpton.

– Przepraszam pana – rzekł James grzecznie – sądzę, że mój przyjaciel, pan Charles Lampton, posiada swój domek kąpielowy. Chyba nazwa się Mon Désir...

Marynarz z fajką w zębach siedział wyprostowany na krześle i patrzył na morze. Przemieścił nieznacznie fajkę i odpowiedział, nie odrywając wzroku od horyzontu:

– Mon Désir należy do jego lordowskiej mości Edwarda Campiona. Każdy o tym wie. Nigdy nie słyszałem o panu Charlesie Lamptonie. Musiał chyba przybyć niedawno.

– Dziękuję – powiedział James i się wycofał.

Ta informacja nim wstrząsnęła. Z pewnością radza nie mógł sam włożyć kamienia do kieszeni i o tym fakcie zapomnieć. James potrząsnął głową z niedowierzaniem. Nasuwający się wniosek nie zadowalał go, ale stawało się

oczywiste, że złodziejem musiał być ktoś z gości zaproszonych na przyjęcie. To przypominało Jamesowi wątki niektórych jego ulubionych powieści.

Trwał jednak w swym zamierzeniu. Wszystko układało się nie najgorzej. Tak jak przypuszczał, plaża była prawie pusta. Co więcej, drzwi do domku Mon Désir pozostawały szczęśliwie otwarte. Na wślizgnięcie się do środka wystarczyła chwila. James właśnie zdejmował swe spodnie z kołka, gdy dobiegł go z tyłu czyjś głos. Odwrócił się raptownie.

– Mam cię, ptaszku! – zawołał nieznajomy.

James gapił się z otwartymi ustami. W drzwiach stał porządnie ubrany mężczyzna około czterdziestki, o ostrej, podobnej do jastrzębia twarzy.

– A więc złapałem cię! – powtórzył nieznajomy.

– Kim... kim pan jest? – wyjąkał James.

– Inspektor Merrilees ze Scotland Yardu – przedstawił się mężczyzna szorstkim tonem. – Zechce mi pan łaskawie zwrócić szmaragd.

– Szma... szmaragd?

James usiłował zyskać na czasie.

– Tak właśnie powiedziałem, nieprawdaż? – zauważył inspektor Merrilees.

Ton jego głosu był oschły i urzędowy. James próbował wziąć się w garść.

– Nie wiem, o czym pan mówi – oświadczył, przybierając minę pełną godności.

– Och, mój chłopcze, myślę, że dobrze wiesz.

– Zaszła pomyłka – powiedział James. – Mogę ją z łatwością wyjaśnić... – Urwał, widząc, na twarzy swego rozmówcy wyraz znudzenia.

– To stara śpiewka – skwitował krótko policjant. – Zapewne znalazłeś go podczas spaceru na plaży, co? Tak się zwykle mówi.

James musiał przyznać w duszy, że to właśnie miał na końcu języka, nadal jednak starał się zyskać na czasie.

– Skąd mam wiedzieć, że jest pan tym, za kogo się podaje? – spytał niepewnie.

Merrilees uchylił nieco klapę marynarki, aby zaprezentować odznakę. James wpatrywał się w niego wytrzeszczonymi oczami.

– No i widzisz, w co się wplątałeś – rzekł Merrilees niemal dobrodusznie. – Jesteś nowicjuszem, to widać. Pierwsza robota, co?

James skinął głową.

– Tak myślałem. A teraz, bratku, oddasz mi ten szmaragd, czy mam cię zrewidować?

James odzyskał mowę.

– Nie mam go przy sobie – oświadczył, rozpaczliwie szukając jakiejś wymówki.

– Zostawiłeś w hotelu?

James przytaknął.

– A więc udamy się tam razem – oznajmił inspektor. Wziął Jamesa pod ramię i dodał łagodnie: – Nie mogę dopuścić, żebyś uciekł. Pójdziemy do hotelu i zwrócisz mi kamień.

– Czy jeśli tak uczynię, puści mnie pan? – zapytał James niepewnym głosem.

Merrilees sprawiał wrażenie zakłopotanego.

– Wiemy, w jaki sposób ten kamień skradziono – wyjaśnił. – Zamieszana jest w to pewna dama. Oczywiście, jeśli idzie o... Cóż, radza pragnie sprawę zatuszować. Już tacy są ci egzotyczni władcy.

James, który niewiele wiedział o egzotycznych władcach, skinął głową z wyrazem zrozumienia na twarzy.

– Oczywiście to będzie wbrew przepisom – wtrącił policjant – ale może ci to ujść na sucho.

James znowu skinął głową. Przeszli obok hotelu Esplanade i skręcili w stronę miasta. Bond prowadził, ale inspektor ani na chwilę nie zwolnił mocnego uchwytu wokół jego ramienia.

Nagle James się zawahał i drgnął. Merrilees spojrzał na niego badawczo, a potem się uśmiechnął. Mijali właśnie posterunek policji. James obrzucił to miejsce wzrokiem pełnym udręki.

– Najpierw dałem ci szansę – zauważył dobrotliwie inspektor.

I w tej samej chwili James wydał z siebie głośny ryk, kurczowo schwycił tamtego za rękę i zaczął wrzeszczeć najgłośniej, jak potrafił:

– Na pomoc! Złodziej! Na pomoc! Złodziej!

W niespełną minutę otoczył ich tłum. Merrilees usiłował gwałtownie wyszarpnąć rękę z uścisku Jamesa.

– Oskarżam tego człowieka! – krzyknął James. – Oskarżam tego człowieka o kradzież mojego portfela!

– O czym ty mówisz, głupcze?! – zawołał drugi.

Po chwili sprawą zajął się posterunkowy. Merrilees i Bond zostali odprowadzeni na posterunek policji. James cały czas ponawiał swoją skargę.

– Przed chwilą ukradł mi portfel – oświadczył podniecony. – Ma mój portfel w prawej kieszeni, o tu!

– Ten człowiek jest szalony – oponował drugi. – Może pan sam, inspektorze, sprawdzić, że mówię prawdę.

Na znak dany przez inspektora posterunkowy posłusznie wsunął rękę do kieszeni Merrileesa. Wyciągnął rzecz, której widok zaparł mu dech w piersi ze zdziwienia.

– Mój Boże! – jęknął inspektor wytrącony z zawodowej rutyny. – Ależ to z pewnością szmaragd radży!

Merrilees sprawiał wrażenie jeszcze bardziej zaskoczonego niż pozostali.

– To potworne – bełkotał – potworne... Ten człowiek musiał wsunąć to do mojej kieszeni, kiedy szliśmy razem. To zaplanowana intryga.

Niewzruszona pewność siebie Merrileesa sprawiła, że inspektor zawahał się na moment. Teraz skierował swe podejrzenia na Jamesa. Szepnął coś do posterunkowego i tamten wyszedł.

– A teraz – powiedział inspektor – poproszę panów kolejno o zeznania.

– Służę panu – odparł James. – Spacerowałem sobie po plaży, gdy nagle ten dżentelmen podszedł do mnie. Twierdził, że się znamy. Nie mogłem go sobie przypomnieć, ale nie chciałem być nieuprzejmy. Szliśmy więc razem. Wzbudził jednak moje podejrzenia. Gdy przechodziliśmy obok posterunku, nagle poczułem jego rękę w swojej kieszeni. Przytrzymałem go i zawołałem o pomoc.

Inspektor przeniósł wzrok na Merrileesa.

– Teraz pańska kolej.

Merrilees wyglądał na trochę zmieszanego.

– Ta opowieść jest prawdziwa – rzekł wolno – ale nie całkiem. Nie ja podszedłem bezceremonialnie do tego człowieka, było dokładnie na odwrót.

Niewątpliwie chciał pozbyć się szmaragdu i wsunął mi go do kieszeni, kiedy byliśmy zajęci rozmową.

Inspektor przestał pisać.

– Aha – rzucił bezstronnie. – Za chwilę zjawi się tu pewien dżentelmen, który pomoże nam rozwikłać sprawę.

Merrilees zmarszczył brwi.

– Doprawdy nie mogę czekać – wymamrotał, spoglądając na zegarek. – Mam umówione spotkanie. Nie sądzi pan chyba, inspektorze, że ukradłem szmaragd i spacerowałem, mając go w kieszeni?

– Zgadza się, że to mało prawdopodobne – przyznał inspektor. – Musi pan jednak poczekać pięć albo dziesięć minut, aż wyjaśnimy sprawę do końca. Ach! Jest jego lordowska mość.

Wysoki mężczyzna około czterdziestki wszedł dziarskim krokiem do pokoju. Miał na sobie zniszczone spodnie i sfatygowany sweter.

– A zatem, inspektorze, jak to się stało? – spytał. – Twierdzicie, że odzyskaliście szmaragd? Wspaniale! Doskonała robota. Kim są ci panowie?

Jego oczy zmierzyły Jamesa i spoczęły na Merrileesie. Niezachwiana pewność siebie tego ostatniego nagle wyparowała.

– Ależ to Jones! – zawołał lord Edward Champion.

– Rozpoznaje pan tego człowieka, lordzie Champion? – spytał inspektor.

– Oczywiście, że rozpoznaję – potwierdził lord Champion z poważną miną. – To mój służący. Zatrudniłem go miesiąc temu. Ten funkcjonariusz przysłany z Londynu od razu go podejrzewał, ale wśród jego rzeczy nie było szmaragdu.

– Nosił go w kieszeni marynarki – wyjaśnił inspektor. – To ten pan sprowadził go do nas. – Wskazał na Bonda.

– Drogie przyjacielu – powiedział lord Champion. – A więc cały czas go pan podejrzewał?

– Tak – potwierdził James. – Musiałem wymyślić tę historię o kradzieży portfela, aby doprowadzić go na posterunek.

– Wspaniale, doprawdy wspaniale – pochwalił go lord Champion. – Musi pan koniecznie zjeść z nami lunch, oczywiście jeśli jeszcze pan nie jadł. Jest już późno, wiem, dochodzi druga.

– Jeszcze nie jadłem – odparł James – ale...

– Ani słowa, ani słowa – przerwał mu lord Campion. – Radza z pewnością zechce podziękować panu za odnalezienie klejnotu. A poza tym nie orientuję się jeszcze dobrze w całej tej historii.

Stali już na zewnątrz, na schodach.

– Istotnie – przyznał James. – Sądzę, że powinienem powiedzieć panu całą prawdę.

Kiedy to uczynił, lord był niezwykle ubawiony.

– Najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem – oświadczył. – Teraz już wszystko rozumiem. Jones, gdy tylko ukradł szmaragd, musiał popędzić na plażę, przeświadczony, że policja dokładnie przeszuka dom. Czasami wkładam te stare spodnie, gdy idę łowić ryby. Mało prawdopodobne, żeby ktoś je ruszał. Mógł więc odzyskać klejnot w dowolnym czasie. Wyobrażam sobie, jakiego musiał doznać szoku, gdy poszedł tam dzisiaj po niego i okazało się, że szmaragd zniknął. Gdy pan się tam pojawił, zrozumiał, że to pan zabrał kamień. W dalszym ciągu nie pojmuję jednak, w jaki sposób udało się panu w fałszywym policjancie rozpoznać złodzieja!

„Silny mężczyzna – pomyślał James – wie, kiedy być szczerym, a kiedy zachować dyskrecję”.

Uśmiechnął się do siebie z zadowoleniem, a jego palce, przesuwając się dyskretnie po wewnętrznej stronie klapy marynarki, dotknęły niewielkiej srebrnej odznaki mało znanego Klubu Cyklistów w Merton Park. Zadziwiający zbieg okoliczności, ale ten człowiek, Jones, również należał do tego klubu.

– Cześć, Jamesie!

Odwrócił się. Po drugiej stronie ulicy stały Grace i panny Sopworth.

– Przepraszam pana na chwilę – zwrócił się do lorda Campiona i podszedł do dziewcząt.

– Idziemy do kina – powiedziała Grace. – Może chcesz pójść z nami?

– Przykro mi – odparł James – ale właśnie idę na lunch z lordem Edwardem Campionem. Tak, to ten człowiek w wysłużonym ubraniu. Chce mnie przedstawić radzy Maraputny.

Grzecznie uchylił kapelusza i dołączył do lorda Campiona.

WYROCZNA DOLFICKA

Przełożyła
Magda Białoń-Chalecka



Opowiadanie pochodzi ze zbioru
Parker Pyne na tropie

Opowiadanie pochodzi ze zbioru

Parker Pyne na tropie

Pani Peters, żona Willarda J. Petersa tak naprawdę nie przepadała za Grecją. A na temat Delf w głębi duszy w ogóle nie miała zdania.

Najchętniej mieszkałaby wyłącznie w Paryżu, w Londynie i na Riwierze. Lubiła życie w hotelach, lecz przy zachowaniu pewnego minimalnego standardu, do którego zaliczały się: puszysty dywan, luksusowe łożo, dobre oświetlenie w różnych punktach pokoju, w tym koniecznie przyciemniona lampka na stoliku nocnym, nieograniczona ilość gorącej i zimnej wody oraz telefon koło łóżka, przez który można zamówić herbatę, przekąski, wodę mineralną, koktajle, no i naturalnie pogawędzić z przyjaciółmi.

Hotel w Delfach nie zapewniał żadnej z tych rzeczy. Oferował jedynie cudowny widok za oknem, czyste łożko, pomalowany na biało pokój. Stały w nim krzesło, umywalnia i komoda. Kąpiele trzeba było zamawiać, a temperatura wody częstokroć stanowiła bolesne rozczarowanie.

Pani Peters – uznawszy, że zwiedzanie Delf należy do dobrego tonu – z całych sił próbowała zainteresować się trochę starożytną Grecją, ale sprawiało jej to ogromne trudności. Te ich rzeźby wydawały się takie niedokończone, tak im brakowało głów, rąk albo nóg. W głębi duszy o wiele bardziej podobał jej się przystojny marmurowy anioł ze skrzydłami, którego ustawiono na grobie świętej pamięci pana Willarda J. Petersa.

Jednak wszystkie te opinie roztropnie zachowywała dla siebie, w obawie, że jej syn Willard mógłby nią pogardzać. To przez wzgląd na niego znalazła się w tym chłodnym i niewygodnym pokoju, skazana na towarzystwo nadąsanej służącej i zdegustowanego szofera. Gdyż Willard, jej osiemnastoletni syn (do niedawna nazywany Juniorem, czego szczerze nie znosił), którego wielbiła bez opamiętania, przejawiał dziwną namiętność do sztuki minionych czasów. To właśnie on, chudy, blady, cierpiący na niestrawność okularnik, wyciągnął kochającą matkę na tę eskapadę do Grecji.

Zwiedzili już Olimpię, która zrobiła na niej wrażenie ponurego rumowiska. Podobał jej się Partenon, ale Ateny uznała za beznadziejne. Natomiast w Koryncie i Mykenach przeżywała prawdziwe katusze, podobnie jak jej szofer.

Nieszczęśliwa pani Peters pomyślała, że Delfy to kropla przepełniająca czarę goryczy. Kompletnie nic do roboty, można tylko iść wzdłuż drogi i patrzeć na ruiny. Willard spędzał długie godziny na kolanach, odszyfrowując greckie napisy i wykrzykując co chwilę:

– Mamo, posłuchaj tylko tego! Czyż to nie wspaniałe?

A potem odczytywał coś, co pani Peters wydawało się kwintesencją nudy.

Tego ranka Willard wyruszył wcześniej, aby obejrzeć jakieś bizantyjskie mozaiki. Pani Peters, która instynktownie poczuła, że od bizantyjskich mozaik robi jej się zimno (zarówno w sensie dosłownym, jak i w przenośnym), wymówiła się od zwiedzania.

– Rozumiem, mamo – powiedział Willard. – Wolisz w samotności posiedzieć w teatrze lub na stadionie, patrząc na niego i chłonąc jego atmosferę.

– No właśnie, kotku – potwierdziła pani Peters.

– Wiedziałem, że to miejsce cię zauroczy – stwierdził jej potomek radośnie i odszedł.

Westchnąwszy głęboko, pani Peters zebrała się w sobie, żeby wstać i zejść na śniadanie.

Jadalnia była prawie pusta, nie licząc czterech osób: matki i córki, ubranych w sposób, który pani Peters wydał się co najmniej dziwaczny (jako że nie rozpoznała peplum^[32]), dyskutujących o sztuce autoekspresji w tańcu; pulchnego dżentelmena w średnim wieku, o nazwisku Thompson, który uratował jej walizkę, gdy wysiadali z pociągu, oraz nowego gościa, również pana w średnim wieku, łysego jak kolano.

Kiedy już wszyscy inni wyszli z jadalni, pani Peters wdała się z nim w pogawędkę. Miała bardzo otwartą naturę i lubiła rozmawiać z ludźmi. Niestety pan Thompson zachowywał się niezbyt zachęcająco (nazywała takie maniery brytyjską rezerwą), a matka z córką były wyniosłymi intelektualistkami, choć dziewczyna całkiem nieźle dogadywała się z Willardem.

Nowy gość wydał jej się bardzo sympatycznym człowiekiem. Rozmowa z nim okazała się pouczająca, choć wcale się nie wymądrzał. Opowiedział jej o kilku ciekawostkach z codziennego życia Greków, dzięki czemu zaczęli jej się wydawać realnymi ludźmi, a nie kawałkiem męczącej historii z podręcznika.

Pani Peters zaś opowiedziała swojemu nowemu towarzyszowi wszystko o Willardzie, o jego zdolnościach, a także o tym, że mógłby mieć na drugie imię Kultura. Coś w tym miłym, dobrodusznym mężczyźnie sprawiało, że człowiek chętnie mu się zwierzał.

Jednak nie dowiedziała się ani jak się nazywa, ani kim jest. Poza tym, że podróżuje od jakiegoś czasu i że chce zupełnie odpocząć od spraw zawodowych (z jakim zawodem związanych?), nie wyjawiał nic na swój temat.

Tak czy siak, dzień minął o wiele szybciej, niż można było przypuszczać. Matka z córką oraz pan Thompson nadal zachowywali się nietowarzysko. Gdy natknęli się na niego, wychodząc z muzeum, na ich widok natychmiast ruszył w przeciwną stronę.

Nowy przyjaciel pani Peters spojrzął za nim, lekko marszcząc brwi.

– Ciekawe, kto to jest – powiedział.

Pani Peters знаła jedynie jego nazwisko.

– Thompson, Thompson... Nie, chyba nie spotkałem go nigdy wcześniej, a mimo to ta twarz wydaje mi się znajoma. Nie mogę sobie przypomnieć, gdzie ją widziałem.

Po południu pani Peters ucięła sobie krótką drzemkę w ocienionym miejscu. Zabrała ze sobą książkę, lecz nie była to wybitna pozycja na temat sztuki helleńskiej, rekomendowana przez jej syna. Wręcz przeciwnie, powieść nosiła tytuł *Tajemnica łodzi*. Były w niej trzy morderstwa, dwa porwania, a także potężny i rozbudowany gang niebezpiecznych przestępców. Pani Peters czuła się zarówno ożywiona, jak i ukojona skomplikowaną fabułą.

Wróciła do hotelu o 16.00 w przekonaniu, że Willard już tam jest. Tak dalece wyzbyta była wszelkich złych przeczuc, że niemalże zapomniała otworzyć liścik, który oddał jej właściciel, mówiąc, iż został tego popołudnia przyniesiony przez jakiegoś dziwnego człowieka.

Koperta była niemożliwie brudna. Pani Peters otworzyła ją z roztargnieniem, lecz gdy przeczytała pierwszych kilka linijek, pobladła i wyciągnęła rękę, żeby się czegoś przytrzymać. Choć list napisano po angielsku, jego styl wskazywał na to, że autor jest cudzoziemcem.

Pani!

Niniejszym przesyłam to pismo, by Panią poinformować, że syn Pani trzymany jest jako jeniec w ściśle strzeżonym miejscu. Żadna krzywda nie spotka szanownego młodzieńca, jeśli podda się Pani naszym rozkazom. Żądamy za niego okupu w kwocie dziesięciu tysięcy angielskich funtów szterlingów. Jeżeli powiadomi Pani o tym właściciela hotelu, policję albo inną tego rodzaju instytucję, syn Pani zostanie zabity. Proszę to rozważyć. Jutro otrzyma Pani wskazówki w kwestii sposobu zapłaty. Jeśli się Pani do nich nie zastosuje, uszy szanownego młodzieńca zostaną obcięte i przesłane Pani. Jeśli dnia następnego również nie wykona Pani naszych poleceń, syn szanowny zostanie zabity. Napominamy, że nie są to czcze pogrożki. Niechaj załśni znów Kyria. Nade wszystko proszę zachować milczenie.

Demetriusz Czarnobrewy

Na próżno by opisywać stan umysłu biednej kobiety! Choć żądanie sformułowano w sposób niedorzeczny i dziecinny, budziło jednak koszmarne poczucie zagrożenia. Willard, jej chłopczyk, jej kotek, ten delikatny, poważny Willard...

Natychmiast uda się na policję; natychmiast postawi na nogi wszystkich wokół! Ale jeżeli to zrobi... Zadrżała nagle.

Potem wzięwszy się w garść, wyszła ze swojego pokoju na poszukiwanie właściciela hotelu, czyli jedynej osoby z obsługi, która mówiła po angielsku.

– Robi się późno – powiedziała – a mój syn jeszcze nie wrócił.

Sympatyczny niski człowieczek obdarzył ją promiennym uśmiechem.

– To prawda. *Monsieur* odesłał muły. Chciał wrócić piechotą. Powinien już tu być, ale niewątpliwie zamarudził gdzieś po drodze. – Uśmiechnął się wesoło.

– Czy są tu w okolicy jakieś typy spod ciemnej gwiazdy? – spytała oschłym tonem pani Peters.

Ograniczony słownik właściciela nie obejmował takiego wyrażenia jak „typy spod ciemnej gwiazdy”, więc pani Peters musiała wyrazić się jaśniej. W odpowiedzi otrzymała zapewnienie, że w całych Delfach mieszkają tylko bardzo dobrzy, bardzo spokojni ludzie, życzliwie nastawieni do cudzoziemców.

Słowa cisnęły jej się na usta, ale się powstrzymała. Okrutna groźba wiązała jej język. To mógł być zwykły bluff, ale jeśli nie? Kiedyś w Ameryce porwano

dziecko jej znajomej, a kiedy kobieta zawiadomiła policję, dziecko zostało zabite. Takie rzeczy naprawdę się zdarzają.

Była bliska obłądu. Co robić? Dziesięć tysięcy funtów... Ile to jest? Około czterdziestu, pięćdziesięciu tysięcy dolarów! Ale jakież to ma znaczenie w porównaniu z bezpieczeństwem Willarda? Tylko skąd wziąć taką sumę? Gdy chodziło o pieniądze, a zwłaszcza o pobieranie gotówki, problemy mnożyły się w nieskończoność. Miała ze sobą tylko poręczenie bankowe na kilkaset funtów.

Czy bandyci to rozumieją? Czy zachowują się rozsądnie? Czy zechcą poczekać?

Ostro odprawiła pokojówkę, która przysłała się nią zająć. Po chwili zabrzmiał gong wzywający na kolację i nieszczęsna kobieta zeszła do jadalni. Jadła mechanicznie, na nikogo nie zwracając uwagi. Dla niej sala równie dobrze mogłaby być pusta.

Wraz z owocami umieszczono przed nią liścik. Skrzywiła się, ale charakter pisma był zupełnie inny od tego, który obawiała się ujrzeć – schludne pismo angielskiego urzędnika. Otworzyła kopertę bez szczególnego zainteresowania, ale treść okazała się co najmniej intrygująca:

W Delfach nie można już poradzić się wyroczni, ale można poradzić się Parkera Pyne'a.

Poniżej przypięto do kartki wycinek z gazety oraz zdjęcie paszportowe przedstawiające łysego mężczyznę, którego poznała tego ranka.

Pani Peters dwukrotnie przeczytała ogłoszenie.

Czy jesteś szczęśliwy? Jeżeli nie, zasięgnij rady pana Parkera Pyne'a.

Shczęśliwa? Czy kiedykolwiek był na świecie ktoś tak nieszczęśliwy jak ona? Ten list był niczym odpowiedź na modlitwę.

Pospiesznie skreśliła kilka słów na luźnej kartce papieru, którą znalazła w torebce.

Proszę mi pomóc. Czy możemy się spotkać przed hotelem za dziesięć minut?

Włożyła kartkę do koperty i poprosiła kelnera, żeby oddał ją dżentelmenowi siedzącemu przy stole pod oknem. Dziesięć minut później pani Peters, opatulona w futro, gdyż noc była chłodna, wyszła z hotelu i wolnym krokiem ruszyła drogą do ruin. Parker Pyne czekał na nią.

– To prawdziwe zrzączenie losu, że pan tutaj jest – wyszeptała pani Peters. – Ale jak pan się domyślił, że mam taki koszmarny problem? Proszę mi powiedzieć.

– Ludzkie oblicze wiele zdradza, droga pani – odrzekł łagodnie. – Od razu wiedziałem, że coś się stało, ale czekam, aż pani mi powie, co konkretnie.

Zaląła go potokiem słów. Na zakończenie podała mu list, który przeczytał przy świetle kieszonkowej latarki.

– Hm – mruknął. – Interesujący dokument. Niebywale interesujący. Są w nim pewne kwestie...

Ale pani Peters nie była w nastroju na dyskusje o bardziej wyrafinowanych kwestiach z listu. Co ona ma zrobić w sprawie Willarda? Jej kochanego, delikatnego Willarda!

Parker Pyne próbował ją uspokoić. W bardzo ciekawych barwach odmalował obraz życia przestępczego w Grecji. Zapewnił ją, że porywacze będą niezwykle troskliwi w stosunku do swojego więźnia, gdyż stanowił dla nich potencjalną żyłę złota. Stopniowo pani Peters odzyskiwała spokój ducha.

– Ale co ja mam zrobić? – załkała jeszcze.

– Poczekać do jutra – odpowiedział. – Chyba że woli pani iść prosto na policję.

Pani Peters przerwała mu okrzykiem przerażenia. Jej najdroższy Willard zostanie natychmiast zamordowany!

– Myśli pan, że wróci cały i zdrowy?

– Nie mam co do tego żadnych wątpliwości – stwierdził pan Pyne uspokajającym tonem. – Jedyne problem w tym, żeby odzyskała go pani, nie płacąc dziesięciu tysięcy funtów.

– Chcę tylko odzyskać syna.

– Dobrze już, dobrze – poddał się szybko. – A kto przyniósł ten list?

– Człowiek, którego właściciel nie zna. Jakiś obcy.

– Ach! To nam otwiera pewne możliwości. Moglibyśmy śledzić człowieka, który jutro przyniesie list. Jak pani wytłumaczy ludziom z hotelu nieobecność swojego syna?

– Nie myślałam o tym.

– Pomyślmy więc teraz. – Parker Pyne się zadumał. – Myślę, że może pani całkiem naturalnie okazać niepokój i troskę. Można by też wysłać kogoś na poszukiwanie.

– Nie uważa pan, że te potwory?... – Urwała nagle.

– Nie, nie. Dopóki nie ma mowy o porwaniu i o okupie, nie zrobią nic złego. W końcu nie mogą oczekiwać, że nie przejmie się pani zniknięciem własnego dziecka.

– Czy mogę to wszystko pozostawić panu?

– Zajmę się tym – zapewnił ją pan Pyne.

Ruszyli z powrotem w stronę hotelu i niemalże wpadli na tęgą postać.

– Kto to był? – spytał ostro pan Pyne.

– Wydaje mi się, że pan Thompson.

– Och! Thompson, tak? Hm...

Układając się do snu, pani Peters uznała, że pomysł pana Pyne’a dotyczący listu jest bardzo dobry. Ten, kto go przyniesie, musi mieć kontakt z bandytami. Poczula otuchę i zasnęła dużo szybciej, niż mogłaby się tego spodziewać.

Kiedy się ubierała następnego ranka, nagle zauważyła, że coś leży na podłodze koło okna. Podniosła to i serce jej na chwilę zamarło. Taka sama brudna tania koperta, ten sam zniechęcony charakter pisma! Rozdarła papier jednym ruchem.

Dzień dobry Pani!

Czy poczyniła Pani refleksje? Jak dotąd syn szanowny miewa się dobrze i nic mu nie jest. Jednakowoż musimy dostać pieniądze. Może nie być Pani łatwo zdobyć ową sumę, ale poinformowano nas, że ma Pani przy sobie brylantową kulię. Bardzo ładne kamienie. Zadowolimy się nią zamiast pieniędzy. Musi Pani postąpić następująco. Pani lub osoba, którą zechce Pani wybrać, musi zabrać naszyjnik i przynieść go na stadion. Tam proszę udać się na górę do drzewa przy dużej skale. Będziemy patrzeć oczyma, czy przyjdzie tylko jedna osoba. Następnie wymienimy syna szanownego na kulię. Rzecz musi stać się jutro o szóstej rano, niebawem po wschodzie słońca. Jeśli w następstwie naśle Pani na nas policję, zastrzelimy syna w drodze na stację.

Oto nasze ostatnie słowo, Pani. Jeśli jutro rano nie ma kolii, przysyłamy uszy syna. Pojutrze syn umiera.

Z pozdrowieniami

Demetriusz

Pani Peters natychmiast odnalazła Pyne'a, który z niezwykłą uwagą przeczytał list.

– Czy to prawda – zapytał – co piszą o tej brylantowej kolii?

– Tak. Mój mąż zapłacił za nią sto tysięcy dolarów.

– Dobrze poinformowani złodzieje – mruknął Parker.

– Co pan mówi?

– Tak tylko rozważam sobie pewne aspekty tej sprawy.

– Na miłość boską, panie Parker, nie mamy czasu na aspekty! Muszę odzyskać mojego chłopca!

– Przecież jest pani odważną kobietą, pani Peters. Czy chce pani pozwolić na to, żeby panią terroryzowano i ograbiono ze stu tysięcy? Zamierza pani potulnie oddać swoje brylanty tej bandzie łotrów?

– No, skoro tak pan to przedstawia... – w pani Peters odważna kobieta walczyła z matką – ...chętnie bym im za to odpłaciła. Tchórzliwe bydlaki! Gdy tylko odzyskam mojego chłopczynę, naślę na nich całą policję z okolicy, a jeśli będzie to konieczne, wynajmę pancerny samochód, w którym zawiozę Willarda na dworzec kolejowy! – Pani Peters aż się zarumieniła z żądzy zemsty.

– Taaak – powiedział pan Pyne. – Widzi pani, obawiam się, że będą przygotowani na takie posunięcie. Wiedzą, że kiedy Willard będzie już bezpieczny, nic pani nie powstrzyma przed postawieniem wszystkich w stan pogotowia. Co każe przypuszczać, że podjęli odpowiednie kroki.

– No to co chce pan zrobić?

Parker Pyne się uśmiechnął.

– Chciałbym wypróbować pewien plan.

Rozejrzał się po jadalni. Była pusta, a drzwi z obu stron zostały zamknięte.

– Znam w Atenach pewnego człowieka, jubilera, którego specjalnością są doskonałe sztuczne brylanty, naprawdę pierwszorzędne – ściszył głos do

szeptu. – Skontaktuję się z nim telefonicznie. Może się tu pojawić jeszcze dziś po południu z całym zapasem kamieni.

– To znaczy?

– Wyjmie prawdziwe diamenty i zastąpi je sztucznymi.

– A niech to! To najsprytniejsza rzecz, o jakiej słyszałam! – Pani Peters patrzyła na niego z podziwem.

– Ciii! Nie tak głośno. Czy zrobi pani coś dla mnie?

– Oczywiście.

– Proszę dopilnować, żeby nikt się nie zbliżał, kiedy będę rozmawiał przez telefon.

Pani Peters pokiwała głową.

Telefon znajdował się w biurze kierownika, który usłużnie pomógł panu Pyne'owi uzyskać połączenie, a potem wyszedł. Pod drzwiami natknął się na panią Peters.

– Czekam na pana Pyne'a – wyjaśniła. – Wybieramy się na spacer.

– Ach tak, proszę pani.

W tym momencie pan Thompson podszedł do kierownika i zaczął zadawać mu pytania.

– Czy w Delfach są jakieś wille do wynajęcia?

– Nie, proszę pana.

– Ale na pewno jest jedna nad hotelem.

– Należy do pewnego greckiego dżentelmena, *monsieur*. Nie wynajmuje jej.

– I nie ma żadnych innych domów?

– Jest jeden, własność pewnej pani z Ameryki. Stoi po drugiej stronie wioski, ale teraz jest zamknięty. I jeszcze willa angielskiego dżentelmena, artysty, na skraju klifu z widokiem na Iteę.

Pani Peters wtrąciła się do rozmowy. Natura obdarzyła ją donośnym głosem, który dzięki jej staraniom teraz brzmiał jeszcze donośniej.

– O rety! – wykrzyknęła. – Fantastycznie by było mieć tutaj willę! Tak tu czysto i naturalnie. Po prostu przepadam za tym miejscem, a pan, panie Thompson? Na pewno też, skoro pyta pan o willę. Czy to pierwsza pana wizyta tutaj? Niemożliwe!

I tak ciągnęła nieprzerwanie, dopóki pan Pyne nie wyszedł z biura. Dyskretnie uśmiechnął się do niej z aprobatą.

Pan Thompson powoli zszedł po schodach na drogę, gdzie przyłączył się do przeintelektualizowanych matki i córki, które drżały z zimna, gdy wiatr smagał ich odkryte ramiona.

Wszystko przebiegło gładko. Jubiler przyjechał tuż przed kolacją w samochodzie pełnym turystów. Pani Peters zanosła naszyjnik do pokoju, w którym się zatrzymał. Na jego widok mruknął z uznaniem, a potem powiedział po francusku:

– *Madame peut être tranquille. Je réussirai*^[33]. – Wyjął z niewielkiej torby odpowiednie narzędzia i wziął się do pracy.

O godzinie 11.00 Parker Pyne zastukał do drzwi pokoju pani Peters.

– Proszę bardzo! – Wręczył jej mały irchowy woreczek.

Zajrzała do środka.

– Moje brylanty!

– Ciii! A tu jest naszyjnik ze sztucznymi kamieniami. Całkiem nieźle wygląda, prawda?

– Po prostu cudownie.

– Aristopoulous to zdolny facet.

– Myśli pan, że nie będą mieli żadnych podejrzeń?

– Ależ skąd! Wiedzą, że ma pani przy sobie naszyjnik. Oddaje im go pani. Dlaczego mieliby podejrzewać podstęp?

– No, uważam, że to cudowne – powtórzyła pani Peters, oddając mu naszyjnik. – Zanieś go pan? Czy proszę pana o zbyt wiele?

– Oczywiście, że go zaniosę. Proszę tylko dać mi list, żebym dokładnie zapoznał się ze wskazówkami. Dziękuję. A teraz życzę dobrej nocy i *bon courage*^[34]. Jutro zje pani śniadanie ze swoim synem.

– Och, oby to tylko była prawda!

– No już, niech się pani nie martwi. Proszę wszystko pozostawić mnie.

Pani Peters nie miała dobrej nocy. Gdy tylko zasnęła, zaczęły jej się śnić koszmary. Uzbrojeni bandyci w pancernych samochodach strzelali do Willarda, który zbiegał z boczem góry w samej piżamie.

Odczuła ulgę, gdy się wreszcie przebudziła. W końcu pojawił się pierwszy brzask. Pani Peters ubrała się, po czym usiadła i czekała.

O godzinie 7.00 rozległo się pukanie do drzwi. W gardle tak jej zaschło, że z trudem wyszeptała:

– Proszę wejść.

W otwartych drzwiach stanął pan Thompson. Wpatrzyła się w niego i zabrakło jej słów. Ogarnęło ją potworne przeczucie. Jednak kiedy się odezwał, jego głos brzmiał zupełnie naturalnie i rzeczowo. Był ciepły i łagodny.

– Dzień dobry, pani Peters – przywitał ją.

– Jak pan śmie! Jak pan...

– Proszę mi wybaczyć tę niekonwencjonalną wizytę o tak wczesnej porze – przeprosił pan Thompson. – Ale widzi pani, musimy omówić pewną sprawę.

Pani Peters pochyliła się, patrząc na niego oskarżycielsko.

– A więc to pan porwał mojego chłopca! Nie było żadnych bandytów!

– Niewątpliwie bandytów nie było. Doprawdy ta część wyglądała bardzo nieprzekonująco. Zupełnie bez polotu, mówiąc krótko.

Pani Peters owładnięta była tylko jedną myślą.

– Gdzie mój chłopiec? – zapytała, łypiąc oczami rozwścieczonej lwicy.

– Prawdę mówiąc – odparł jej gość – stoi tuż za drzwiami.

– Willard!

Z rozmachem otworzyła drzwi. Willard, blady i nieogolony, został przyciśnięty do matczynego serca. Pan Thompson przyglądał się tej scenie z dobrotliwym uśmiechem.

– Tak czy siak – zwróciła się do niego pani Peters, nagle odzyskując rozsądek – oddam pana w ręce sprawiedliwości. Tak zrobię.

– Wszystko ci się pomyliło, mamó – wtrącił Willard. – Ten pan mnie uratował.

– Gdzie ty byłeś?

– W domu na klifie. Około dwóch kilometrów stąd.

– Pragnąłbym zwrócić pani jej własność – oświadczył pan Thompson.

Wręczył jej małą paczuszkę luźno owiniętą bibułą. Papier spadł, ukazując diamentowy naszyjnik.

– Nie musi pani pilnować tego woreczka z kamieniami – wyjaśnił z uśmiechem. – Prawdziwe diamenty pozostały w naszyjniku, a irchowy woreczek zawiera świetne imitacje. Jak to określił pani znajomy, Aristopoulous to geniusz.

– Nic z tego nie rozumiem – wyznała nieszczęsna matka słabym głosem.

– Musi pani spojrzeć na tę sprawę z mojego punktu widzenia – powiedział pan Thompson. – Moją uwagę zwróciło pewne nazwisko. Pozwoliłem sobie śledzić panią i jej towarzysza, a następnie podsłuchałem, do czego szczerze się przyznaję, waszą niezwykle ciekawą rozmowę. Wydała mi się na tyle intrygująca, że wciągnąłem do sprawy kierownika. Zapisał on numer, pod który dzwonił pani zaufany kompan, i urządził wszystko tak, by kelner mógł podsłuchać waszą rozmowę w jadalni. Cały schemat wyglądał zupełnie przejrzyście. Padła pani ofiarą pary sprytnych złodziei biżuterii. Wiedzieli wszystko o pani koliai, przyjechali tutaj za panią, porwali pani syna, napisali ten komiczny list od „bandytów” i tak wszystko zaaranżowali, żeby zaufała pani głównemu spiskowcowi. Reszta była banalnie prosta. Życzliwy dżentelmen wręczył pani torebkę z fałszywymi brylantami i... zniknął wraz ze swoim kumplem. Dziś rano, gdyby pani syn nie wrócił, szalałaby pani z rozpaczy. Nieobecność pani znajomego podsunęłaby pani wniosek, że on też został porwany. Prawdopodobnie tak wszystko zorganizowali, żeby jutro ktoś pojawił się w willi. Osoba ta odnalazłaby pani syna, powiązali byście wszystkie fakty i odkryli, na czym polegał cały plan. Lecz do tej pory rabusie byłiby już daleko stąd.

– A teraz?

– Teraz siedzą bezpiecznie pod kluczem. Dopilnowałem tego.

– Podlec! – wybuchnęła pani Peters, z gniewem przypominając sobie swoje ufne zwierzenia. – Zakłamany, oślizgły drań!

– Bardzo nieprzyjemny typ – zgodził się pan Thompson.

– Ciekaw jestem, jak pan na to wpadł – odezwał się z podziwem Willard. – To naprawdę niezwykłe.

Pan Thompson skromnie pokręcił głową.

– Ależ nie – odrzekł. – Kiedy człowiek podróżuje *incognito* i nagle słyszy, że ktoś posługuje się jego nazwiskiem...

Pani Peters spojrzała na niego.

– Jak pan się nazywa? – spytała wprost.

– Parker Pyne, do usług – odparł dżentelmen.

ZŁOWROGI INTERESANT

Przełożyła
Alicja Pożarowszczyk



Opowiadanie pochodzi ze zbioru
Śledztwo na cztery ręce

Opowiadanie pochodzi ze zbioru

Śledztwo na cztery ręce

– Co za piekielnie nudny dzień – powiedział Tommy, ziewając szeroko.

– Czas na herbatę – zauważyła Tuppence i również ziewnęła.

Międzynarodowa Agencja Detektywistyczna nie kipiała życiem. Oczekiwany list od hurtownika szynki nie nadchodził, a inne sprawy wymagające wyjaśnienia także jakoś się nie pojawiały.

Do pokoju wszedł Albert i położył na biurku paczkę.

– Tajemnica Zapieczętowanej Paczki – mruknął Tommy. – Czy są w niej wspaniałe perły Wielkiej Księżnej rosyjskiej? A może piekielne urządzenie, które ma roznieść Błyskotliwych Detektywów Blunta na strzępy?

– Nic z tego – odrzekła Tuppence, otwierając paczkę. – To jest mój prezent ślubny dla Francisa Havilanda. Ładne, prawda?

Tommy wziął z jej wyciągniętej ręki wąską srebrną papierośnicę z wygrawerowaną charakterem pisma Tuppence dedykacją *Dla Francisa od Tuppence*. Otworzył i zamknął papierośnicę, skinąwszy głową z aprobatą.

– Szastasz pieniędzmi, Tuppence – zauważył. – Poproszę taką samą, tylko złotą, na moje urodziny w przyszłym miesiącu. To przesada, żeby marnować coś takiego dla Francisa Havilanda, który na wieki pozostanie jednym z największych osłów, jakich Bóg kiedykolwiek stworzył!

– Nie zapominaj, że prowadziłam jego samochód podczas wojny, gdy był generałem. To były piękne czasy!

– Owszem – zgodził się Tommy. – Pamiętam, że piękne kobiety przychodziły do szpitala, żeby uścisnąć mi dłoń. Ale nie wysyłam im wszystkim prezentów ślubnych. Nie sądzę, żeby panu młodemu bardzo zależało na prezencie od ciebie, Tuppence.

– Jest ładna i dobrze leży w kieszeni, prawda? – zapytała Tuppence, ignorując te uwagi.

Tommy wsunął papierośnicę do kieszeni.

– Jest w sam raz – stwierdził. – Halo, oto nadchodzi Albert z popołudniową pocztą. Najprawdopodobniej księżna Pertshire zleca nam odnalezienie swego

pekińczyka medalisty.

Obydwoje zajęli się przeglądaniem poczty. Nagle Tommy gwizdnął przeciągle i pokazał żonie kopertę.

– Niebieski list z rosyjskim znaczkiem. Pamiętasz, co powiedział szef? Mieliśmy uważać na takie listy.

– Podniecające – odrzekła Tuppence. – Coś się wreszcie zdarzyło. Otwórz go i sprawdź, czy zawartość jest zgodna z przypuszczeniami. To miał być hurtownik szynki, tak? Zaraz, chwileczkę. Będzie nam potrzebne mleko do herbaty. Zapomnieli nam rano zostawić butelkę. Wyślę Alberta.

Kiedy Albert poszedł po sprawunki, kobieta wróciła do pokoju. Tommy trzymał w ręku arkusz niebieskiego papieru.

– Tak, jak się spodziewaliśmy, Tuppence – oznajmił. – Niemal dosłownie to, o czym mówił szef.

Tuppence wyjęła list z jego ręki i zaczęła czytać.

Napisany był staranną, oficjalną angielszczyzną i rzekomo pochodził od niejakiego Gregora Fiodorskiego, spragnionego wiadomości o żonie. Międzynarodowa Agencja Detektywistyczna miała nie szczędzić kosztów, by ją odnaleźć. Sam Fiodorski w tej chwili nie mógł opuścić Rosji ze względu na kryzys w handlu wieprzowiną.

– Zastanawiam się, co to naprawdę oznacza – powiedziała Tuppence z namysłem, wygładzając list na stole.

– Przypuszczam, że jakiś szyfr. Ale to nie nasza sprawa. My musimy tylko jak najszybciej przekazać to szefowi. Może od razu zmoczymy znaczek i zobaczymy, czy pod spodem jest liczba szesnaście.

– Dobrze – zgodziła się Tuppence. – Ale wydaje mi się...

Urwała nagle, a Tommy, zaskoczony jej niespodziewanym zamilknięciem, podniósł wzrok i ujrzał w drzwiach sylwetkę mocno zbudowanego mężczyzny z bardzo okrągłą głową i potężną szczęką. Mógł mieć około czterdziestu pięciu lat.

– Bardzo przepraszam – odezwał się, wchodząc do pokoju z kapeluszem w dłoni. – Tamten pokój był pusty, a drzwi otwarte, więc pozwoliłem sobie przeszkodzić. To jest Międzynarodowa Agencja Detektywistyczna Blunta, prawda?

– Oczywiście.

– A pan, być może, jest właścicielem? Theodore'em Bluntem?

– Tak, to ja. Chciał pan zasięgnąć porady? To jest moja sekretarka, panna Robinson.

Tuppence z wdziękiem skłoniła głowę, uważnie przyglądając się przybyszowi spod spuszczonej powiek. Zastanawiała się, jak długo stał w drzwiach i ile zdołał usłyszeć i zobaczyć. Nie uszło jej uwagi, że rozmawiając z Tommym, co chwilę rzucał szybkie spojrzenia na arkusz niebieskiego papieru, który trzymała w dłoni.

Ostry głos Tommy'ego zabrzmiał jak ostrzeżenie:

– Panno Robinson, proszę notować. A teraz, czy mógłby pan przedstawić sprawę, w której pragnie pan zasięgnąć mojej porady?

Tuppence sięgnęła po ołówek i notatnik.

– Nazywam się Bower, doktor Charles Bower – powiedział mężczyzna chropawym głosem. – Mieszkam i praktykuję w Hampstead. Przyszedłem do pana, panie Blunt, gdyż ostatnio przydarzyło mi się kilka dziwnych rzeczy.

– Mianowicie?

– W ciągu ostatniego tygodnia dwukrotnie wezwano mnie telefonicznie w pilnej sprawie i oba wezwania okazały się fałszywe. Za pierwszym razem myślałem, że ktoś zrobił mi głupi kawał, ale gdy wróciłem do domu po drugim wezwaniu, odkryłem, że moje prywatne papiery są poprzekładane, i myślę, że to samo zdarzyło się także przy pierwszej okazji. Przejrzałem wszystko i doszedłem do wniosku, że ktoś przeszukał całe moje biurko, a potem w pośpiechu i niedokładnie powkładał wszystko z powrotem.. – Doktor Bower urwał i spojrzał na Tommy'ego. – No i cóż, panie Blunt?

– No cóż, panie Bower – odrzekł Tommy z uśmiechem.

– Co pan o tym myśli?

– Najpierw chciałbym poznać fakty. Co trzyma pan w biurku?

– Moje prywatne papiery.

– Dobrze. Jaka jest treść tych papierów? Jaką wartość przedstawiają one dla zwykłego złodzieja lub też dla jakiejś konkretnej osoby?

– Myślę, że dla zwykłego złodzieja nie mają zupełnie żadnej wartości, natomiast moje notatki na temat pewnych niezbyt znanych alkaloidów mogłyby zainteresować kogoś, kto dysponuje fachową wiedzą na ten temat. Studiowałem to zagadnienie przez ostatnich kilka lat. Te alkaloidy to śmiertelne trucizny działające bardzo szybko, a ponadto niemal niewykrywalne. Nie wywołują żadnych znanych reakcji.

– Wiedza o nich byłaby więc warta pieniądze?

– Dla kogoś pozbawionego skrupułów tak.

– Kogo pan podejrzewa?

Doktor wzruszył potężnymi ramionami.

– Wydaje mi się, że nikt się do domu nie włamał. To wskazywałoby na kogoś z domowników, ale nie mogę uwierzyć... – Przerwał gwałtownie, po czym podjął bardzo poważnym tonem: – Panie Blunt, muszę się zdać na pańską pomoc. Nie mam odwagi iść z tą sprawą na policję. Do moich trojga służących mam niemal absolutne zaufanie. Są u mnie od wielu lat. Ale nigdy nie wiadomo. Mieszka ze mną także dwóch bratanków, Bertram i Henry. Henry to dobry chłopiec, bardzo dobry chłopiec. Nigdy nie przyczyniał mi żadnych zmartwień. Pracowity, wspaniały chłopak. Natomiast Bertram, przykro mi to mówić, ma zupełnie inny charakter: jest nieposkromiony, ekstrawagancki i przez cały czas uparcie beczynny.

– Rozumiem – rzekł Tommy z namysłem. – Podejrzewa pan, że pański bratanek Bertram jest zamieszany w tę sprawę. Ale ja się z panem nie zgadzam. Nie podoba mi się ten dobry chłopiec Henry.

– Ależ dlaczego?

– Często tak się zdarza. – Tommy pomachał ręką w powietrzu. – Z mojego doświadczenia wynika, drogi panie, że podejrzane charaktery zwykle okazują się niewinne i odwrotnie. Tak, zdecydowanie podejrzewam Henry’ego.

– Przepraszam bardzo, panie Blunt – wtrąciła nieśmiało Tuppence. – Czy dobrze zrozumiałam słowa pana Bowera, że notatki na temat tych... hm... nieznanym alkaloidów leżą w biurku razem z innymi papierami?

– Leżą w biurku, młoda damo, lecz w sekretnej szufladzie, której położenie znam tylko ja. Dlatego też do tej pory pozostały nienaruszone.

– Czego właściwie pan ode mnie oczekuje, panie Bower? – zapytał Tommy. – Czy sądzi pan, że te przeszukania będą się powtarzać?

– Tak, panie Blunt, mam wszelkie powody, by tak przypuszczać. Dziś po południu otrzymałem telegram od mojego pacjenta, któremu kilka tygodni temu zaleciłem wyjazd do Bournemouth. I dziś depekuje stamtąd, że jest w krytycznym stanie i błaga, bym natychmiast przyjechał. Ponieważ jednak wypadki, o których panu opowiedziałem, obudziły moją podejrzliwość, sam wysłałem telegram do owego pacjenta i otrzymałem odpowiedź, że znajduje się w znakomitym zdrowiu i nie wysyłał mi żadnego wezwania. Pomyślałem, że jeśli będę udawał, iż dałem się nabrać, i posłusznie wyjadę do Bournemouth, będziemy mieli duże szanse schwytać złoczyńców na gorącym uczynku. On czy też oni bez wątpienia poczekają, aż wszyscy w domu usną, zanim podejmą jakieś działania. Proponuję, żeby spotkał się pan ze mną przed moim domem o jedenastej wieczorem i razem przeprowadzimy dochodzenie.

– Z nadzieją, że przyłapiemy ich na gorącym uczynku. – Tommy w zadumie postukał w stół nożem do papieru. – Wydaje mi się, doktorze Bower, że to znakomity plan. Nie powinno być żadnych komplikacji. Gdzie pan mieszka?

– Larches, Hangman's Lane. Obawiam się, że to dosyć odludna okolica. Ale za to mamy wspaniałą widok na wrzosowiska.

– Ach tak – skwitował informację Tommy.

Gość się podniósł.

– W takim razie, panie Blunt, oczekuję pana przed Larches dziś wieczorem, powiedzmy, za pięć jedenasta.

– Oczywiście. Za pięć jedenasta. Do widzenia, doktorze Bower.

Tommy wstał i nacisnął przycisk na biurku. Albert pojawił się w drzwiach i wyprowadził gościa. Doktor utykał lekko, ale mimo to niewątpliwie był siłaczem.

– Brzydka sprawa – mruknął Tommy do siebie. – Tuppence, staruszko, co o tym myślisz?

– Mogę ci to powiedzieć jednym słowem: Clubfoot^[35]!

– Co takiego?

– Powiedziałaam: Clubfoot! Moje studia nad klasykami nie poszły na marne. Tommy, to pułapka. Nieznane alkaloidy, rzeczywiście! Nigdy nie słyszałam

większej bzdury.

– Nawet mnie to za bardzo nie przekonało – przyznał Tommy.

– Zauważyłeś, jak patrzył na list? Tommy, on należy do gangu. Dowiedzieli się, że nie jesteś prawdziwym Bluntem, i zapragnęli naszej krwi.

– W takim razie – powiedział Tommy, otwierając szafę i z bijącym sercem spoglądając na rzędy książek – wybór roli jest prosty. Jesteśmy braćmi Okewoodami^[36]! I ja będę Desmondem – dodał stanowczo.

Tuppence wzruszyła ramionami.

– Dobrze, niech ci będzie. Mogę być Francisem. Francis jest o wiele inteligentniejszy od brata. Desmond zawsze pakuje się w kłopoty, a Francis w samą porę pojawia się jako ogrodnik albo ktoś taki i ratuje sytuację.

– Och, ale ja będę znakomitym Desmondem! – zawołał Tommy. – Gdy pojedę do Larches...

– Nie wybierasz się chyba do Hampstead dziś wieczorem? – przerwała mu Tuppence bezceremonialnie.

– Dlaczego nie?

– Wejdiesz z zamkniętymi oczami prosto w pułapkę?

– Nie, moja droga, wejdę w pułapkę z otwartymi oczami. To bardzo duża różnica. Myślę, że naszego przyjaciela, doktora Bowera, czeka mała niespodzianka.

– Nie podoba mi się to – odrzekła Tuppence. – Wiesz, co się dzieje, gdy Desmond nie przestrzega poleceń szefa i zaczyna działać na własną rękę. Nasze rozkazy były całkiem jasne. Mieliśmy natychmiast przesłać list i donosić o wszystkim, co się zdarzy.

– To niezupełnie prawda – odpowiedział Tommy. – Mieliśmy donieść, jeśli ktoś przyjdzie i wymieni liczbę szesnaście. Nic takiego się nie zdarzyło.

– To nieistotny drobiazg – zauważyła jego żona.

– Nie przekonasz mnie. Mam ochotę zabawić się w samotnego myśliwego. Moja droga staruszko, nic mi się nie stanie. Pójdę na spotkanie uzbrojony po zęby. Cała rzecz polega na tym, że ja się będę pilnował, a oni nie będą nic o tym wiedzieli. Szef poklepie mnie po ramieniu w uznaniu za pożytecznie spędzony wieczór.

– Nie podoba mi się to – upierała się przy swoim Tuppence. – Ten facet jest silny jak goryl.

– Ach, ale pomyśl tylko o moim błękitnym automacie!

W gabinecie pojawił się Albert. Zamknął drzwi i podszedł do nich z kopertą w ręku.

– Jakiś dżentelmen chce się z panem widzieć – oznajmił. – Gdy jak zwykle użyłem wybiegu, że rozmawia pan ze Scotland Yardem, powiedział, że zna takie sztuczki, bo sam jest ze Scotland Yardu! Napisał coś na wizytówce i włożył ją do tej koperty.

Tommy otworzył kopertę. Przeczytał tekst i na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Prawdę mówiąc, ten pan zabawił się twoim kosztem – zauważył. – Wprowadź go.

Podał wizytówkę Tuppence. Na karcie wizytowej widniało nazwisko inspektora Dymchurcha. W poprzek dopisano ołówkiem: *Przyjaciel Marriota*.

Po chwili śledczy ze Scotland Yardu pojawił się w gabinecie. Z wyglądu podobny był do inspektora Marriota – niski i krępy, o przenikliwym spojrzeniu.

– Dzień dobry – przywitał się. – Marriot wyjechał do południowej Walii, ale przed wyjazdem poprosił mnie, bym miał baczenie na was, a szczególnie na to miejsce. Och, tak, proszę pana... – uśmiechnął się, gdy zauważył, że Tommy ma zamiar mu przerwać – ...wiemy wszystko. To nie nasz wydział i w zasadzie się nie wtrącamy, ale ostatnio ktoś się dowiedział, że to miejsce nie jest do końca tym, na co wygląda. Był tu dzisiaj pewien dżentelmen. Nie wiem, jakim nazwiskiem się przedstawił, nie wiem też, jak nazywa się naprawdę, ale wiem kilka innych rzeczy na jego temat. Dosyć, bym miał ochotę dowiedzieć się więcej. Czy słusznie przypuszczam, że umówił się na spotkanie z panem dziś wieczorem w jakimś konkretnym miejscu?

– Całkiem słusznie.

– Tak myślałem. Westerham Road numer szesnaście, Finsbury Park?

– Myli się pan – odparł z uśmiechem Tommy. – Zupełnie się pan myli. Larches, Hampstead.

Dymchurch wyglądał na zdumionego. Najwyraźniej nie spodziewał się takiej odpowiedzi.

– Nie rozumiem – mruknął. – To coś nowego. Larches, Hampstead, powiedział pan?

– Tak. Mam się tam z nim spotkać o jedenastej wieczorem.

– Niech pan tego nie robi.

– A widzisz! – wybuchnęła Tuppence.

Tommy poczerwieniał.

– Jeśli sądzi pan, inspektorze... – zaczął z ogniem w głosie.

Inspektor jednak podniósł dłoń do góry.

– Powiem panu, co o tym sądzę, panie Blunt. O jedenastej wieczorem wolałby pan być tutaj, we własnym biurze.

– Co takiego?! – zawołała Tuppence ze zdumieniem.

– Tu, w tym biurze. Obszary zainteresowania różnych wydziałów czasem się pokrywają, ale mniejsza o to, skąd to wiem: dostał pan dzisiaj jeden z tych słynnych niebieskich listów. Ten facet, jak mu tam, chce go zdobyć. Wyciągnie pana do Hampstead, upewni się, że nie będzie mu pan wchodził w drogę, przyjdzie tu wieczorem, gdy cały budynek jest pusty, i spokojnie wszystko przeszuka.

– Ale dlaczego miałby przypuszczać, że list nadal tu będzie? Powinien wiedzieć, że będę miał go przy sobie albo przekażę dalej.

– Wybacz pan, ale o tym właśnie nie wie. Nawet jeśli odkrył, że nie jest pan prawdziwym Bluntem, przypuszcza zapewne, że jest pan człowiekiem, który kupił tę firmę. W takim wypadku wszystko powinno się odbyć w zwykły sposób i list powinien trafić do kartoteki korespondencji.

– Rozumiem – powiedziała Tuppence.

– I pozwolimy mu tak myśleć. Złapiemy go tu wieczorem na gorącym uczynku.

– Więc taki właśnie jest plan?

– Tak. To nasza największa szansa. Która jest teraz godzina? Szósta. O której zwykle pan stąd wychodzi?

– Około szóstej.

– Powinien pan wyjść stąd tak, jak każdego innego dnia. Wkradniemy się z powrotem do biura jak najszybciej. Raczej nie przyjdą przed jedenastą, ale

oczywiście jest to możliwe. Teraz, jeśli pan pozwoli, wyjdę i się rozejrzę. Sprawdzę, czy udałoby się tu umieścić kogoś z ochrony.

Inspektor wyszedł, a między małżeństwem rozgorzała sprzeczka. Była zazarta i trwała dłuższą chwilę. Nieoczekiwanie Tuppence się poddała.

– Dobrze – zgodziła się. – Niech ci będzie. Pójdę do domu i będę tam grzecznie siedzieć, kiedy ty będziesz się zajmował pomyłkami i węszył z policjantami, ale poczekaj jeszcze, młodzieńcze. Wyrównam rachunki za to, że nie pozwalasz mi wziąć udziału w zabawie.

W tej chwili wrócił Dymchurch.

– Wydaje mi się, że okolica jest czysta – powiedział – ale nigdy nie wiadomo. Lepiej wyjść stąd tak, jak zawsze. Kiedy już pana tu nie będzie, przestaną obserwować okolicę.

Tommy przywołał Alberta i kazał mu zamknąć biuro.

We czworo poszli do pobliskiego garażu, gdzie Tommy i Tuppence zwykle zostawiali samochód. Tuppence prowadziła. Albert usiadł obok niej, a Tommy i Dymchurch na tylnym siedzeniu.

Po chwili utknęli w korku ulicznym. Tuppence spojrzała przez ramię i skinęła głową. Jej mąż i inspektor otworzyli drzwi po prawej stronie i wysiedli z auta na środku Oxford Street. Tuppence ruszyła dalej.

– Lepiej jeszcze nie wchodźmy – powiedział Dymchurch, gdy obaj z Tommym znaleźli się na Haleham Street. – Ma pan klucz?

Tommy skinął głową.

– W takim razie może poszlibyśmy na kolację? Jest jeszcze wcześnie, ale znam pewien mały lokal naprzeciwko. Usiądziemy przy oknie, żeby przez cały czas mieć budynek na oku.

Tommy przystał na propozycję i zjedli razem bardzo przyzwoity posiłek. Inspektor Dymchurch okazał się niezwykle miłym rozmówcą. Główną dziedziną jego zainteresowań było międzynarodowe szpiegostwo i potrafił opowiedzieć na ten temat mnóstwo zadziwiających historii.

Siedzieli w restauracji do 20.00. W końcu Dymchurch uznał, że czas się ruszyć.

– Jest już całkiem ciemno – wyjaśnił. – Możemy się tam zakraść i nikt nas nie zauważy.

Rzeczywiście było już zupełnie ciemno. Przeszli przez ulicę, pośpiesznie rozejrzeli się na wszystkie strony i wślizgnęli do budynku. Weszli po schodach na górę. Tommy wsunął klucz w zamek i w tej samej chwili wydawało mu się, że usłyszał, jak Dymchurch gwizdnął za jego plecami.

– Dlaczego pan gwizdże? – zapytał ostro.

– Nie gwizdałem – zdumiał się Dymchurch. – Myślałem, że to pan.

– Ktoś... – zaczął Tommy, ale nie dokończył zdania, gdyż jakieś silne ramiona pochwyciły go od tyłu i zanim zdążył otworzyć usta, ktoś przycisnął do jego twarzy tampon nasączony czymś pachnącym mdło i słodko. Próba oporu była bezskuteczna, chloroform zrobił swoje. Tommy poczuł, że podłoga pod jego stopami kołysze się w dół i w górę. Zakręciło mu się w głowie, zakrztusił się i stracił przytomność...

Ocknięcie było bolesne, ale od razu odzyskał całkowitą przytomność. Działanie środka odurzającego obliczone było tylko na krótką chwilę, wystarczającą, by go zakneblować i upewnić się, że nie będzie krzyczał.

Doszedłszy do siebie, stwierdził, że na wpół leży, a na wpół siedzi, oparty o ścianę w kącie własnego gabinetu. Dwóch mężczyzn pracowicie przetrząsało zawartość biurka i szaf, przeklinając przy tym bezustannie.

– Nic z tego, szefie – odezwał się wyższy mężczyzna ochryłym głosem – przewróciliśmy całe to cholerne miejsce do góry nogami. Tutaj go nie ma.

– Musi być – warknął drugi. – On nie ma tego przy sobie, więc gdzie ma być?

Przy tych słowach odwrócił się i Tommy, ku swemu absolutnemu zaskoczeniu, zobaczył, że jest to sam inspektor Dymchurch. Na widok zdumienia na twarzy Tommy'ego uśmiechnął się.

– A więc nasz młody przyjaciel się obudził – powiedział. – I jest odrobinę zdziwiony, tak, odrobinę zdziwiony. A to było takie proste. Podejrzewaliśmy, że coś jest nie w porządku z Międzynarodową Agencją Detektywistyczną. Zgłosiłem się na ochotnika, żeby sprawdzić, czy tak, czy nie. Jeśli nowy pan Blunt naprawdę jest szpiegiem, to będzie podejrzliwy, więc najpierw wysłałem mojego starego przyjaciela Carla Bauera. Carl miał się zachowywać podejrzanie i opowiedzieć jakąś nieprawdopodobną historię. Tak zrobił, a potem ja

wkroczyłem do akcji. Użyłem nazwiska inspektora Marriota, żeby wzbudzić zaufanie. Reszta była prosta. – Roześmiał się.

Tommy umierał z ochoty, by powiedzieć kilka słów, ale uniemożliwił to knebel, który miał w ustach. Umierał także z ochoty, by zrobić kilka rzeczy – głównie za pomocą rąk i stóp, lecz, niestety, to także wzięto pod uwagę. Był skutecznie skrupowany.

Najbardziej zdumiewała go zmiana w wyglądzie stojącego przed nim mężczyzny. Jako inspektor Dymchurch był uosobieniem prawdziwego Anglika, teraz zaś nikt nawet przez chwilę nie mógłby mieć najmniejszych wątpliwości, że jest to wykształcony cudzoziemiec, który mówi po angielsku bezbłędnie i bez śladu obcego akcentu.

– Coggins, przyjacielu – zwrócił się domniemany inspektor do swego współnika o wyglądzie opryszka – weź swój sprzęt i stój przy więźniu. Mam nadzieję, że rozumie pan, drogi panie Blunt, iż próba krzyku byłaby z pańskiej strony niewybaczalną głupotą? Ale jestem pewien, że pan o tym wie. Jak na pański wiek jest pan zupełnie inteligentnym facetem.

Ostrożnie wyjął mu knebel i odsunął się o krok.

Tommy rozluźnił zeszywniałe szczęki, przesunął językiem po wargach, dwukrotnie przełknął ślinę – i nie odezwał się ani słowem.

– Gratuluję panu opanowania – przyznał Dymchurch. – Widzę, że zdaje pan sobie sprawę ze swej sytuacji. Czy nie ma pan nic do powiedzenia?

– To, co mam do powiedzenia, może poczekać – odparł Tommy. – Nie pali się.

– Ach! Ale to, co ja mam do powiedzenia, nie może czekać. Pytam prostą, jasną angielszczyzną, panie Blunt, gdzie jest ten list?

– Drogi panie, nie mam pojęcia – odrzekł Tommy pogodnie. – Ja go nie mam. Ale o tym wiecie równie dobrze jak ja. Na waszym miejscu szukałbym dalej. Mam ochotę popatrzeć, jak pan i pański przyjaciel Coggins będziecie się razem bawić w ciepło-zimno.

Twarz mężczyzny pociemniała.

– Zdaje się, że ta nonszalancja sprawia panu przyjemność, panie Blunt. Widzi pan to kwadratowe pudło tutaj? To jest podręczny sprzęt Cogginsa. W środku jest witriol^[37]... tak, witriol... i żelazne szczypce, które można rozgrzać w ogniu, aż staną się gorące i mogą oparzyć...

Tommy potrząsnął głową ze smutkiem.

– Błąd w diagnozie – mruknął. – Tuppence i ja nadaliśmy niewłaściwą nazwę tej przygodzie. Nie chodzi o Clubfoota. To jest przygoda Bulldoga Drummonda^[38], a pan jest jedynym w swoim rodzaju Carlem Petersonem.

– Co za bzdury pan opowiada! – prychnął mężczyzna.

– Ach! – zawołał Tommy. – Widzę, że nie zna pan klasyków. Wielka szkoda.

– Kompletny idiota! Zrobisz to, co ci każemy, czy nie? Czy mam powiedzieć Cogginsowi, żeby wyjął narzędzia i zaczął?

– Niech pan nie będzie taki niecierpliwy – odrzekł Tommy. – Oczywiście, że zrobię, co mi każecie, tylko musicie mi powiedzieć, co to takiego. Nie sądzi pan chyba, że mam ochotę zostać pokrojony na kawałki jak filety z soli i upieczony na ruszcie? Nienawidzę bólu.

Dymchurch spojrział na niego z pogardą.

– *Gott!*^[39] Jakimi tchórzami są ci Anglicy!

– To zdrowy rozsądek, drogi przyjacielu, po prostu zdrowy rozsądek. Niech pan zostawi witriol w spokoju i przejdzie do rzeczy.

– Chcę mieć ten list.

– Mówiłem już, że go nie mam.

– Wiemy o tym. Wiemy też, kto musi go mieć. Ta dziewczyna.

– Bardzo możliwe, że macie rację – zgodził się Tommy. – Mogła go wsunąć do torebki, gdy pański przyjaciel Carl nas zaskoczył.

– Och, a więc nie zaprzeczasz. To mądre z twojej strony. Bardzo dobrze, w takim razie napiszesz do tej Tuppence, czy jak ją nazywasz, i każesz jej natychmiast przynieść tu list.

– Nie mogę tego zrobić... – zaczął Tommy.

Zanim skończył zdanie, Dymchurch wpadł mu w słowo:

– Ach, nie możesz! No, to zobaczymy. Coggins!

– Niech się pan tak nie śpieszy – rzekł Tommy. – Niech pan przynajmniej poczeka na koniec zdania. Chciałem powiedzieć, że nie mogę tego zrobić, jeśli nie rozwiążecie mi rąk. Do diabła, nie jestem jednym z tych facetów, którzy potrafią pisać nosem albo łokciem.

– Czy to znaczy, że zgadzasz się napisać?

– Oczywiście. Przecież cały czas to mówię. Mam zamiar być posłuszny i uprzejmy. Rzecz jasna, nie zrobicie Tuppence niczego złego. To taka miła dziewczyna.

– Chcemy tylko dostać list – oświadczył Dymchurch, ale na jego twarzy pojawił się szczególnie nieprzyjemny uśmiech. Skinął głową. Na ten sygnał Coggins uklęknął i rozwiązał sznur na przegubach ścierpniętych rąk Tommy’ego, który zaczął ruszać nimi w różne strony.

– Już lepiej – powiedział pogodnie. – Czy miły pan Coggins zechciałby mi podać wieczne pióro? Wydaje mi się, że powinno leżeć na stole wraz z innymi moimi ruchomościami.

Mężczyzna z nachmurzoną miną podał mu pióro i arkusz papieru.

– Uważaj, co piszesz – doradził Dymchurch groźnym tonem. – Dajemy ci wolną rękę, ale jeśli coś będzie nie tak, oznacza to dla ciebie śmierć, w dodatku powolną.

– W takim razie – odrzekł Tommy – postaram się napisać jak najlepiej.

Zastanawiał się przez chwilę, po czym zaczął szybko pisać.

– Czy może tak być? – zapytał, pokazując im skończony list.

Droga Tuppence!

Czy możesz przyjść natychmiast i przynieść ze sobą niebieski list? Chcemy go rozszyfrować od razu tutaj.

Pośpiesz się.

Francis

– Francis? – zapytał fałszywy inspektor, unosząc brwi. – Czy ona nie nazywała cię inaczej?

– Nie było pana przy moim chrzcie – odrzekł Tommy – toteż nie sądzę, by mógł pan wiedzieć, czy to jest moje imię, czy nie. Ale myślę, że papierośnica, którą zabrał pan z mojej kieszeni, udowodni panu, że mówię prawdę.

Dymchurch podszedł do stołu, podniósł papierośnicę, przeczytał napis *Dla Francisca od Tuppence* i z lekkim uśmiechem położył ją znowu na stole.

– Cieszę się, że zachowujesz się tak rozsądnie – powiedział. – Coggins, daj tę kartkę Wasylowi. Pilnuje na zewnątrz. Powiedz mu, żeby od razu ją zaniósł.

Następnych dwadzieścia minut mijało powoli, a kolejnych dziesięć jeszcze wolniej. Dymchurch chodził po pokoju, a jego twarz coraz bardziej pochmurniała. Odwrócił się do Tommy'ego i spojrzał na niego wrogo.

– Jeśli usiłowałeś nas przechytrzyć... – zaczął.

– Gdybyśmy mieli tu talię kart, moglibyśmy dla zabicia czasu zagrać w pikietę^[40] – rzekł Tommy przeciągle. – Kobiety zawsze każą na siebie czekać. Mam nadzieję, że nie będziecie się zachowywać niemiło wobec małej Tuppence, gdy tu przyjdzie...

– Och, nie – zapewnił go Dymchurch. – Wyślemy was razem w to samo miejsce.

– Akurat, ty bydlaku – rzucił Tommy półgłosem.

Naraz usłyszeli jakieś odgłosy dochodzące z sąsiedniego pomieszczenia. Mężczyzna, którego Tommy do tej pory jeszcze nie widział, wsunął głowę przez drzwi i mruknął coś po rosyjsku.

– Dobrze – powiedział Dymchurch. – Idzie tu i jest sama.

Przez chwilę Tommy poczuł lekki niepokój. W następnym momencie usłyszał głos Tuppence.

– Och, jest pan tu, inspektorze Dymchurch! Przyniosłam list. A gdzie jest Francis? – Z pytaniem tym stanęła w drzwiach.

Wasył natychmiast przyskoczył i zasłonił jej usta dłonią, a Dymchurch wyrwał torebkę i w szaleńczym pośpiechu wysypał całą jej zawartość.

Z okrzykiem podniósł do góry niebieską kopertę z rosyjskim znaczkiem. Coggins wymruczał coś ochryple.

W tej właśnie chwili triumfu drugie drzwi, prowadzące do pokoju Tuppence, otworzyły się bezszelestnie i wszedł przez nie inspektor Marriot, a za nim dwóch mężczyzn uzbrojonych w rewolwery.

– Ręce do góry! – padła ostra komenda.

Nie doszło do walki. Zupełnie zaskoczeni złoczyńcy nie mieli żadnych szans. Automat Dymchurca leżał na stole, a dwaj pozostali nie byli uzbrojeni.

– Bardzo przyjemna akcja – przyznał inspektor Marriot z aprobatą, zatraskując ostatnią parę kajdanek. – Mam nadzieję, że za jakiś czas będziemy ich mieli więcej.

Błady z wściekłości Dymchurch spojrzął na Tuppence.

– Ty diablico! – syknął. – To ty ich na nas napuściłaś!

Tuppence się zaśmiała.

– To nie tylko moja zasługa. Przyznaję, że powinnam była zgadnąć już wtedy, gdy w rozmowie padła liczba szesnaście. Ale dopiero list Tommy’ego rozjaśnił mi w głowie. Zadzwoiłam do inspektora Marriota, wysłałam do niego Alberta z zapasowym kluczem do biura i przyszłam tu sama z pustą niebieską kopertą w torebce. List wysłałam zgodnie z instrukcjami zaraz po tym, jak rozstałam się z wami po południu.

Jedno z użytych przez nią słów zwróciło uwagę Dymchurca.

– Tommy? – zdziwił się.

Tommy, który właśnie został uwolniony z więzów, podszedł do żony.

– Dobra robota, bracie Francis – rzekł, ujmując jej dłonie. Następnie zwrócił się do Dymchurca: – Mówiłem ci, drogi koleżko, że naprawdę powinieneś poczytać klasyków.

NIEWIARYGODNA KRADZIEŻ

Przełożył
Jan S. Zaus



Opowiadanie pochodzi ze zbioru

Morderstwo w zaułku

Opowiadanie pochodzi ze zbioru

Morderstwo w zaułku

Kiedy lokaj podawał suflet, lord Charles Mayfield pochylił się z poufałością do swej sąsiadki z lewej strony, lady Julii Carrington. Znany był jako doskonały gospodarz i zadawał sobie wiele trudu, aby sprostać tej opinii. Chociaż kawaler, zawsze był czarujący dla kobiet.

Lady Julia Carrington była czterdziestoletnią, energiczną, wysoką i bardzo szczupłą brunetką. Była jeszcze urodziwa, miała szczególnie piękne ręce i stopy. Zachowywała się wybuchowo i niecierpliwie, jak kobieta, która żyje w ciągłym napięciu. Po przeciwnej stronie okrągłego stołu siedział jej mąż, generał lotnictwa sir George Carrington. Zaczynał karierę w marynarce wojennej i od tego czasu zachował jowialność byłego marynarza. Żartował i śmiał się do pięknej pani Vanderlyn, która siedziała po drugiej stronie gospodarza.

Pani Vanderlyn była piękną blondynką. Mówiła z lekkim amerykańskim akcentem, nie brzmiało to jednak nieprzyjemnie dla ucha.

Po drugiej stronie sir George'a Carringtona siedziała pani Macatta – posłanka do parlamentu. Pani Macatta miała opinię autorytetu w dziedzinie budownictwa mieszkaniowego i dobroczynności na rzecz dzieci. Nie mówiła, lecz raczej wykrzykiwała krótkie zdania i na ogół wzbudzała popłoch. Było więc dość naturalne, że generał lotnictwa wolał zwracać się do sąsiadki z prawej strony.

Pani Macatta, gdziekolwiek się znajdowała, zawsze mówiła o sprawach zawodowych. I teraz wyrzucała z siebie krótkie zdania na temat swoich zainteresowań, skierowane do sąsiada z lewej strony, młodego Reggiego Carringtona.

Reggie Carrington miał dwadzieścia jeden lat i kompletnie nie interesował się sprawami budownictwa mieszkaniowego ani dobroczynnością na rzecz dzieci. W przerwach wtrącał tylko: „To straszne” lub: „Absolutnie się z panią zgadzam” – i odpływał myślami gdzie indziej. Pan Carlile, prywatny sekretarz lorda Mayfielda, siedział pomiędzy młodym Reggie a jego matką. Był to bładziwieniec w binoklach, roztaczający wokół siebie aurę powściągliwości. Mówił niewiele, ale zawsze był gotów do podtrzymania nieklejącej się

rozmowy. Zauważywszy, że Reggie Carrington dyskretnie ziewa, pan Carlile nachylił się i zapytał panią Macattę o jej akcję „Zdrowie dzieci”.

Wokół stołu w przyćmionym bursztynowym świetle krążył lokaj wraz z dwoma służącymi, oferując rozmaite dania i nalewając wino. Lord Mayfield płacił olbrzymią pensję swemu kucharzowi i był wielkim koneserem win.

Chociaż stół był okrągły, nikt nie miał wątpliwości, kto jest gospodarzem. Miejsce, które zajmował lord Mayfield, było niewątpliwie najważniejsze przy stole. Ten potężny mężczyzna, z gęstymi siwymi włosami, o kwadratowych ramionach, olbrzymim prostym nosie i lekko wypukłym podbródkiem, miał twarz, którą łatwo było karykaturować. Jako sir Charles McLaughlin lord Mayfield łączył karierę polityka z dyrektorem w pewnej firmie konstrukcyjnej. Sam był doskonałym inżynierem. Tytuł lordowski uzyskał przed rokiem i w tym samym czasie został ministrem obrony.

Podano deser, a do niego po kieliszku porto. Chwytną spojrzenie pani Vanderlyn, lady Julia wstała. Kiedy kobiety opuściły pokój, jeszcze raz podano porto. W rozmowie przez chwilę omijano istotne tematy. W końcu sir George powiedział:

– Reggie, mój chłopcze, sądzę, że chciałbyś przyłączyć się do towarzystwa w salonie? Lord Mayfield nie miałby nic przeciw temu.

Chłopiec domyślił się, o co chodzi.

– Dziękuję, milordzie, chętnie to zrobię.

– Jeżeli pan wybaczy, lordzie Mayfield – odezwał się półgłosem pan Carlile – to mam jeszcze do zrobienia kilka notatek i parę spraw do załatwienia...

Lord Mayfield skinął głową i dwóch młodych ludzi opuściło pokój. Służba usunęła się już wcześniej. Minister obrony i dowódca lotnictwa zostali sami.

Po kilku chwilach Carrington zaczął:

– Wszystko w porządku?

– Całkowicie! W całej Europie nic nie dorówna naszemu bombowcowi.

– Pozostawiliśmy ich w tyle, co? Oto, co myślę.

– Mamy przewagę w powietrzu – rzekł lord Mayfield zdecydowanie.

Sir George Carrington westchnął głęboko.

– Najwyższy czas! Wiesz chyba, Charles, jak delikatny okres mamy za sobą. Cała Europa siedziała na beczce prochu. A my nie byliśmy gotowi, do diabła! O włos uniknęliśmy nieszczęścia. Ale jeszcze nie uporaliśmy się z trudnościami, chociaż tak bardzo śpieszymy się z konstrukcją.

– Mimo wszystko, George, są pewne korzyści z późnego rozpoczęcia prac, większość broni europejskiej jest już przestarzała i obecnie jej producenci stoją przed widmem bankructwa.

– Nie wierzę, aby to miało znaczenie – rzekł sir George ponuro. – Ciągłe się słyszy, że jedno czy drugie państwo zbankrutowało, ale jakoś ciągną dalej. Wiesz jednak, że sprawy finansowe to dla mnie czarna magia.

Lord Mayfield zamrugał oczami. Sir George Carrington zawsze przypominał starego, prostodusznego wilka morskiego. Niektórzy twierdzili jednak, że jest to poza, którą celowo przybierał.

– Atrakcyjna kobieta z tej pani Vanderlyn, prawda? – spytał mimochodem Carrington, zmieniając temat.

– Nie dziwi cię, skąd się tu wzięła? – odpowiedział pytaniem lord Mayfield. W jego oczach czaiła się wesołość.

Carrington stropił się nieco.

– Wcale nie, wcale nie.

– O tak, tak! Nie nabierzesz mnie, George. Zastanawiałeś się, trochę przerażony, czy jestem jej ostatnią ofiarą!

– Muszę przyznać, że istotnie wydawało mi się odrobinę dziwne – rzekł wolno Carrington – iż się tu znalazła podczas tego właśnie weekendu.

Lord Mayfield skinął głową.

– Gdzie jest padlina, tam zlatują się sępy. Mamy właśnie tę padlinę, a panią Vanderlyn możemy nazwać sępem numer jeden.

– Czy wiadomo ci, kim właściwie jest ta pani Vanderlyn? – spytał szorstko generał lotnictwa.

Lord Mayfield odciął koniec cygara, zapalił je i kiwając głową w zamyśleniu, powiedział:

– Co mi wiadomo o pani Vanderlyn? Wiem, że jest obywatelką Stanów Zjednoczonych. Wiem, że miała trzech mężów: Włocha, Niemca i Rosjanina,

a w konsekwencji nawiązała kontakty w tych trzech krajach. Wiem, że wydaje dużo na stroje i że żyje luksusowo. Istnieją jednak pewne wątpliwości co do tego, skąd czerpie dochody, które jej to umożliwiają.

– Jak widzę, twoi szpiedzy, Charles, nie próżnują – skomentował sir George Carrington z uśmiechem.

– Wiem ponadto – kontynuował lord Mayfield – że uwodzicielska pani Vanderlyn jest również wdzięcznym słuchaczem, nawet jeśli rozmowa dotyczy spraw zawodowych. Inaczej mówiąc, mężczyzna może jej wszystko powiedzieć o swoim zajęciu i mieć poczucie, że okazał się niezmiernie interesujący. Różni młodzi oficerowie trochę za mocno chcieli się jej przypodobać i na skutek tego równie mocno ucierpiała ich kariera. Powiedzieli pani Vanderlyn nieco więcej, niż powinni. Prawie wszyscy przyjaciele tej pani służą w armii. Ostatniej zimy polowała w hrabstwie położonym w pobliżu jednej z naszych największych fabryk zbrojeniowych i tam pozyskała sobie pewnych przyjaciół pasjonujących się nie tylko sportem. Krótko mówiąc, pani Vanderlyn jest bardzo użyteczną osobą dla... – Cygarem nakreślił w powietrzu kółko. – Lepiej jednak byłoby, abyśmy nie mówili dla kogo. Powiemy jedynie, że dla pewnego mocarstwa europejskiego, a być może nie tylko jednego.

Carrington odetchnął głęboko.

– Zdjąłeś mi ciężar z serca, Charles.

– Myślałeś, że uwiodła mnie ta syrena? Mój drogi George! Dla takiego starego wygi jak ja metody pani Vanderlyn są zbyt oczywiste. Poza tym, powiedzmy sobie, że nie jest już wcale taka młoda... Twoi dowódcy eskadr nie poznają się na tym, ale ja mam już pięćdziesiąt sześć lat, a za jakieś cztery lata stanę się starym zrzędą, straszącym w towarzystwie nieskore debutantki.

– Jestem głupcem – powiedział przeprasząco Carrington – ale wydawało mi się to nieco dziwne...

– ...że się tu znalazła, w niemal ściśle rodzinnym gronie, w momencie gdy zamierzamy odbyć nieoficjalną konferencję na temat wynalazku, który prawdopodobnie wywoła rewolucję w powietrzu?

Sir George Carrington skinął głową.

– Zgadza się. To właśnie stanowi przynętę – potwierdził lord Mayfield z uśmiechem.

– Przynętę?

– Widzisz, George, nie mamy na tę kobietę żadnego haka, by użyć języka z filmów kryminalnych. A jakiegoś potrzebujemy. W przeszłości zawsze udawało jej się wychodzić obronną ręką. Była ostrożna, piekielnie ostrożna... Wiemy, czego szukała, ale nie mamy rozstrzygającego dowodu! Musimy ją czymś skusić, czymś bardzo ponętym!

– Tą przynętą ma być dokumentacja nowego bombowca?

– Tak jest. Musi to być tak ważne, aby sprowokowało ją do podjęcia ryzyka. Aby wyszła na światło. I wtedy mamy ją!

– No, dobrze – mruknął sir George. – Zapewne jest to w porządku. Ale powiedzmy, że ona nie pójdzie na takie ryzyko?

– Będzie to wielka szkoda – odparł lord Mayfield, a po chwili dodał: – Osobiście sędzę, że pójdzie... – Podniósł się z krzesła. – Przyłączymy się do pań w salonie? Nie możemy pozbawić twojej żony partii brydża.

– Julia zanadto lubi brydża – rzekł sir George z westchnieniem. – Przegrywa znaczne sumy. Nie stać jej na granie tak wysoko, jak to robi. I powiedziałem jej o tym. Cały kłopot polega na tym, że Julia jest urodzoną hazardzistką. – Obszedł stół dookoła i stanął przy gospodarzu. – Dobrze, Charles. Mam nadzieję, że twój plan nie zawiedzie.

Rozmowa w salonie kulała. Pani Vanderlyn nie święciła triumfów, gdy pozostawała w towarzystwie samych kobiet. Jej urok i ujmujące zachowanie, tak chwalone przez mężczyzn, nie były doceniane przez kobiety. Lady Julia z kolei potrafiła zachowywać się cudownie, ale potrafiła też okazać bardzo złe manieri. W obecnej sytuacji, gdy nie darzyła sympatią pani Vanderlyn, a do tego zanudzała ją pani Macatta, nie ukrywała swoich uczuć. Rozmowa słabła i mogłaby zupełnie ustać, gdyby nie pani Macatta.

Pani Macatta, będąc osobą stawiającą sobie wielkie cele, lekceważyła panią Vanderlyn jako kobietę pustą. Próbowwała natomiast zainteresować lady Julię zbliżającą się akcją charytatywną, której była organizatorką. Lady Julia odpowiadała niejasno, tłumiąc ziewanie, i zagłębiła się we własnych myślach. Dlaczego Charles i George nie nadchodzą? Jacy ci mężczyźni są niezdolni! Jej odpowiedzi i komentarze stawały się coraz bardziej niedbałe, gdyż pochłoneły ją własne sprawy.

Kiedy nareszcie mężczyźni weszli do salonu, kobiety siedziały w milczeniu.

„Julia źle dziś wygląda. Istny kłębek nerwów” – pomyślał lord Mayfield, głośno zaś powiedział:

– Może jednego roberka, co?

Lady Julia odetchnęła. Brydż był częścią jej życia.

W tym momencie do pokoju wszedł Reggie Carrington, więc czwórka została skompletowana. Lady Julia, pani Vanderlyn, sir George i młody Reggie usiedli przy stoliku z kartami. Lord Mayfield zajął się panią Macattą.

Kiedy skończono drugiego robra, sir George spojrzał ostentacyjnie na zegar stojący na kominku.

– Nie bardzo już warto zaczynać nowego – zauważył.

Jego żona rzuciła mu wściekłe spojrzenie.

– Jest dopiero za kwadrans jedenasta. Może być jeden krótki.

– One nigdy nie trwają krótko, moja droga – powiedział spokojnie sir George. – W każdym razie Charles i ja mamy jeszcze trochę roboty.

Pani Vanderlyn westchnęła.

– To brzmi bardzo poważnie. Przypuszczam, że ludzie zajmujący wysokie stanowiska nigdy nie są panami swego czasu.

– Niestety, pracujemy więcej niż czterdzieści osiem godzin tygodniowo – wyjaśnił sir George.

– Jako nieokrzesa Amerykanka – ciągnęła pani Vanderlyn – ze wstydem muszę przyznać, że bardzo mnie podnieca przebywanie w towarzystwie panów, którzy dzierżą losy kraju. Spodziewam się, że takie nastawienie musi wydawać się niezwykle prymitywne w pańskich oczach, sir George.

– Droga pani Vanderlyn, nigdy nie myślałem o pani jak o osobie prymitywnej czy nieokrzesej. – Patrzył jej w oczy z uśmiechem. W jego głosie czaiła się być może ironia, która nie umknęła jej uwagi.

Zręcznie odwróciła się do Reggiego i słodko się uśmiechnęła.

– Szkoda, że nie możemy razem grać dalej. Sprytnie zalicytował pan te cztery bez atu.

Reggie zaczerwienił się z zadowolenia i wymamrotał:

– Zdecydował tylko łut szczęścia.

– O nie, to wynik właściwego rozumowania. Dedukcja wskazała panu, gdzie i jaka jest karta, i zgodnie z tym pan zagrał. Powiedziałabym nawet, że to było niezwykle błyskotliwe.

Lady Julia nagle wstała.

„To było szyte zbyt grubymi nićmi” – pomyślała z niesmakiem.

Spojrzała na syna z czułością. On w to wszystko wierzył. Był tak wzruszająco młody i wyglądał na zadowolonego. Nic dziwnego, że wpadł w tarapaty. Za bardzo ufał ludziom. To dlatego, że miał łagodny charakter. George nigdy go nie rozumiał. Mężczyźni bywają tak niesprawiedliwi w swych sądach. Zapominają nawet, że sami byli kiedyś młodzi. George był zbyt szorstki dla Reggiego.

Pani Macatta wstała. Życzyli sobie dobrej nocy.

Trzy kobiety opuściły pokój. Lord Mayfield podał szklaneczkę George'owi i nalał dla siebie. W drzwiach stanął Carlile.

– Zechciej wyjąć akta i wszystkie dokumenty. Włącznie z planami i kopiami. Generał i ja zaraz wrócimy. Trochę pospacerujemy, prawda, George? Deszcz chyba przestał padać.

Carlile, zbierając się do odejścia, nieomal wpadł na panią Vanderlyn.

Kobieta weszła do pokoju, mrużąc wymówkę:

– Gdzieś tu jest moja książka... Czytałam ją przed kolacją.

Reggie podskoczył i podał jej książkę.

– To ta? Leżała na kanapie.

– O tak! Bardzo dziękuję.

Uśmiechnęła się słodko, powiedziała jeszcze raz „dobranoc” i wyszła z pokoju.

Sir George otworzył oszklone drzwi.

– Piękna noc – oznajmił. – To dobra myśl, żebyśmy się trochę przeszli.

– Dobranoc – rzekł Reggie. – Idę się położyć.

– Dobranoc, mój chłopcze – odpowiedział lord Mayfield.

Reggie wziął jakiś kryminał, który zaczął czytać wieczorem, i opuścił pokój.

Lord Mayfield i sir George wyszli na taras. Istotnie była piękna noc z czystym rozgwieżdżonym niebem.

Sir George wciągnął głęboko powietrze.

– Ufff! Ta kobieta za mocno się perfumuje – zauważył.

Lord Mayfield się roześmiał.

– W każdym razie jej perfumy są w doskonałym gatunku. Niewątpliwie używa najlepszych z najlepszych.

– Przypuszczam, że powinniśmy być jej za to wdzięczni – kontynuował sir George.

– Istotnie, masz rację. Sądzę, że kobieta, która oblewa się tanimi perfumami, może wzbudzać największą niechęć.

Generał spojrział w niebo.

– Nadzwyczajne, jak się wypogodziło. Podczas kolacji słyszałem, jak padał deszcz.

Mężczyźni przechadzali się wolno po tarasie, który biegł wzdłuż całego budynku. Poniżej teren opadał łagodnie i otwierał wspaniałą perspektywę na malowniczą okolicę.

Sir George zapalił cygaro.

– Jeżeli chodzi o ten stop metali... – zaczął.

Rozmowa zeszła na szczegóły techniczne.

Kiedy po raz piąty przemierzali wzdłuż taras, lord Mayfield rzekł z westchnieniem:

– Sądzę, że ostrzej trzeba się wziąć do pracy.

– Tak, masz rację, mamy sporo do zrobienia.

Obaj mężczyźni się odwrócili i lord Mayfield wydał okrzyk zdumienia:

– Hej! Widzisz tam?

– Co takiego?

– Zdawało mi się, że widziałem, jak ktoś wymknął się przez oszklone drzwi mojego gabinetu i przebiegł przez taras.

– Bzdura, mój stary. Ja nic nie widziałem.

– No cóż... A ja widziałem, choć może jednak tylko mi się zdawało...

– Zwodzą cię oczy. Patrzyłem w tym kierunku i gdyby było coś do zobaczenia, musiałbym to ujrzeć. Bardzo niewiele umyka moim oczom: czytam gazetę na

długość ramienia.

Lord Mayfield zachichotał.

– Jednak chciałbym zauważyć, George, że ja robię to samo bez użycia szkieł.

– Ale nie zawsze możesz rozpoznać człowieka z drugiej strony sali w parlamencie. Czy może ten monokl służy wyłącznie do onieśmiania rozmówców?

Śmiejąc się, obaj mężczyźni weszli przez oszklone drzwi do gabinetu lorda Mayfielda.

Carlile zajęty był przy sejfie porządkowaniem i układaniem jakichś papierów.

Kiedy wchodzili, podniósł wzrok.

– No, Carlile, wszystko gotowe?

– Tak, milordzie, wszystkie papiery są na pańskim biurku.

Biurko było w istocie ogromnym, solidnym mahoniowym stołem stojącym przy oknie. Lord Mayfield podszedł do niego i zaczął porządkować dokumenty, odkładając niektóre na bok.

– Zrobiła się piękna noc – powiedział sir George.

– Tak, istotnie. Wspaniale wypogodziło się po deszczu – zgodził się Carlile, a odkładając dokumenty, zapytał: – Czy dzisiaj wieczorem będę jeszcze potrzebny, milordzie?

– Nie, sądzę, że nie, Carlile. Sam to wszystko załatwię. Przymuszczalnie zabawimy tu jeszcze długo. Możesz iść spać.

– Dziękuję. Dobranoc, milordzie. Dobranoc, sir George.

– Dobranoc, Carlile.

Kiedy sekretarz opuszczał pokój, lord Mayfield powiedział szybko:

– Chwileczkę, Carlile. Zapomniałeś o najważniejszym.

– Proszę mi wybaczyć, milordzie.

– O najnowszych planach bombowca...

Sekretarz spojrział badawczo.

– Są na samym wierzchu.

– Nie ma ich tu.

– Ależ sam je tam położyłem!

– Sam zobacz.

Zmieszany i zdenerwowany młodzieniec dołączył do lorda Mayfielda przy biurku.

Zniecierpliwiony minister wskazał stos papierów. Carlile zaczął ze wzrastającym zdenerwowaniem przewracać dokumenty.

– Przekonał się pan osobiście, że ich tu nie ma.

– Ależ... Ależ to niemożliwe! – wyjąkał sekretarz. – Położyłem je tutaj nie dalej jak przed trzema minutami.

– Chyba się mylisz – rzucił lord Mayfield wesoło. – Na pewno są jeszcze w sejfie.

– Doprawdy, sam nie wiem... Jednak pamiętam, że je tu położyłem!

Lord Mayfield minął go i podszedł do otwartego sejfu. Sir George zbliżył się również. W ciągu kilku minut upewnili się, że planów bombowca tam nie ma.

Oszołomieni, nie dowierzając własnym oczom, trzech mężczyzn podeszli do biurka i jeszcze raz przejrzelili papiery.

– Na Boga! – zawołał Mayfield. – Zniknęły!

– Ale to niemożliwe! – krzyknął Carlile.

– Kto był w tym pokoju? – zapytał minister.

– Nikt. Nikt tu nie wchodził.

– Posłuchaj no, Carlile! Przecież te plany nie wywietrzały. Ktoś je musiał zabrać. Była tu pani Vanderlyn?

– Pani Vanderlyn? O nie, milordzie.

– Zaraz to sprawdzę – rzekł Carrington, wciągając powietrze przez nos. – Jeżeli tu była, wyczujemy jej zapach. Ten charakterystyczny zapach jej perfum.

– Nikogo tu nie było – zapewnił sekretarz. – Nie mogę tego wprost zrozumieć...

– Carlile, skup się przez chwilę – polecił lord Mayfield. – Musimy to dokładnie sprawdzić. Czy jesteś całkowicie pewien, że plany były w sejfie?

– Absolutnie.

– Widziałeś je tam na własne oczy? Czy po prostu uznałeś za oczywiste, że muszą być między innymi dokumentami?

– Nie, nie, milordzie. Widziałem je. Położyłem je na samym wierzchu, na innych papierach na biurku!

– I twierdzisz, że od tej chwili nikt nie wchodził do pokoju? I ty sam nie wychodziłeś z pokoju?

– Nie... To jest... tak.

– Ach! – wykrzyknął sir George. – Nareszcie mamy!

– Co to, na Boga... – rzekł porywczo lord Mayfield.

– Normalnie, milordzie, oczywiście nie zrobiłbym tego – przerwał mu Carlile – nawet nie wyobrażam sobie, żebym mógł wyjść z pokoju, pozostawiając tak ważne papiery na wierzchu, lecz kiedy usłyszałem krzyk kobiety...

– Krzyk kobiety? – wykrztusił lord Mayfield z najwyższym zdumieniem.

– Tak, milordzie. Byłem bardziej zaskoczony, niż to mogę wyrazić. Ten krzyk usłyszałem, gdy kładłem papiery na biurku, i naturalnie natychmiast wybiegłem do holu.

– Kto krzyczał?

– Ta francuska służąca pani Vanderlyn. Stała w połowie schodów, była blada i przerażona. Cała się trzęsła. Powiedziała mi, że zobaczyła ducha.

– Ducha?

– Tak, wysoką kobiecą postać w bieli. Postać ta bezgłośnie unosiła się w powietrzu.

– To śmieszne!

– Tak, milordzie. Powiedziałem jej to samo. Muszę jednak przyznać, że wydawała mi się trochę zawstydzona. Potem poszła z powrotem na piętro, a ja wróciłem do gabinetu.

– Jak długo był pan poza gabinetem?

– Wróciłem na minutę lub dwie przed przyjściem pana i sir George'a.

– Ale jak długo nie było pana w pokoju?

– Dwie minuty... może trzy.

– Wystarczająco długo – jęknął lord Mayfield. Nagle chwycił przyjaciela za ramię.

– George, ten cień, który widziałem... Skradający się od oszklonych drzwi. To było wtedy! Gdy tylko Carlile wyszedł z pokoju, ktoś wślizgnął się do środka, chwycił plany i się ulotnił.

– Paskudna sprawa – podsumował Carrington. Następnie uwolnił ramię z uścisku przyjaciela. – Charles, to koszmarne historia. Co, u diabła, mamy teraz zrobić?

Pół godziny później obaj mężczyźni znajdowali się w gabinecie lorda Mayfielda, a sir Carrington poświęcił dużo czasu, aby skłonić przyjaciela do przyjęcia pewnej sugestii. Lord Mayfield początkowo był nastawiony bardzo niechętnie, w końcu jednak zaczął się łamać.

– Nie bądź taki uparty, Charles – namawiał go sir George.

– Ale dlaczego mamy w to wciągać obcokrajowca, o którym nic nie wiemy?

– Tak się składa, że ja coś o nim wiem. To nadzwyczajny człowiek.

– Mhm...

– Posłuchaj, Charles, to jedyna szansa! Istotą tej sprawy jest dyskrecja. Jeśli sprawa nam się wymknie, to...

– Kiedy już się nam wymknęła, chciałeś powiedzieć.

– Niekoniecznie. Ten człowiek... Herkules Poirot...

– Jak sądzę, wyczaruje nam plany jak prestidigitator królika z cylindra?

– Tak. On może wykryć prawdę. A o to tylko nam chodzi. Charles, biorę całą odpowiedzialność na siebie.

– No, dobrze, to twoja osobista sprawa – powiedział wolno Mayfield – ja jednak nie wiem, co ten facet może zrobić...

Sir George podniósł słuchawkę.

– Postaram się sprowadzić go tu natychmiast!

– Na pewno śpi...

– To go obudzę. Niech to wszystko lichy porwie! Charles, nie możesz pozwolić, aby ta kobieta zniknęła!

– Masz na myśli panią Vanderlyn?

– Tak. Nie wątpisz chyba, że maczała w tym palce?

– Nie, nie wątpię. Wyraźnie postanowiła się na mnie zemścić. Z niechęcią przyznaję, George, że przechytrzyła nas kobieta. To przeciwne naturze, ale to prawda. Nie możemy jej niczego udowodnić, mimo że wiemy o jej pierwszoplanowej roli w tej sprawie.

– Kobiety to diablice – stwierdził z przejęciem Carrington.

– Ale, do cholery, na pozór nic jej nie łączy ze zniknięciem papierów! Możemy tylko przypuszczać, że namówiła tę dziewczynę do krzyku, a cień, który wyskoczył na taras, był jej współnikiem. Jednak, do licha, nie możemy tego udowodnić.

– Być może dokona tego Herkules Poirot.

Lord Mayfield nagle wybuchnął śmiechem.

– Wielkie nieba, George, wydawało mi się, że jesteś zbyt brytyjski, by pokładać wiarę we Francuzie, nawet gdyby był bardzo przebiegły.

– On nie jest Francuzem, jest Belgiem – odparł generał z wyrazem zakłopotania na twarzy.

– No, dobrze, dawaj więc tu tego twojego Belga. Niech spróbuje rozwikłać tę zagadkę. Założę się, że nic nie wskóra.

W odpowiedzi sir George wyciągnął rękę do telefonu.

*

Mrugając trochę, zaspany Herkules Poirot obracał głowę od jednego mężczyzny do drugiego. Dyskretnie stłumił ziewnięcie.

Było w pół do trzeciej w nocy. Wyrwano go ze snu i w kompletnych ciemnościach nocy przewieziono ogromnym rolls-royce'em do wiejskiej posiadłości lorda Mayfielda. A teraz właśnie obaj mężczyźni kończyli swoją opowieść.

– Takie są fakty, panie Poirot – rzekł lord Mayfield.

Oparł się w fotelu i wolno ułokował w oku monokl.

Przenikliwe bladoniebieskie oko wpatrywało się badawczo w Poirota. Wyrażało skrajny sceptycyzm. Poirot rzucił krótkie spojrzenie na sir George'a Carringtona, który siedział pochylony do przodu i patrzył na niego z iście dziecięcą wiarą.

– Tak, mam fakty – potwierdził wolno Poirot. – Pokojówka krzyknęła, sekretarz wyszedł, nieznajomy obserwator wszedł, plany leżały na wierzchu, chwycił je i zniknął. Fakty... Wszystkie bardzo wygodne.

Wydawało się, że w ostatnim zdaniu coś zwróciło uwagę lorda Mayfielda. Wyprostował się trochę sztywno, monokl wyskoczył mu z oka. Jakby coś nowego go zaskoczyło i zaalarmowało.

– Przepraszam, panie Poirot?

– Powiedziałem, milordzie, że fakty są bardzo wygodne... dla złodzieja. Nawiasem mówiąc, jest pan pewien, że człowiek, którego pan widział, był mężczyzną?

Lord Mayfield potrząsnął głową.

– Tego nie mogę powiedzieć. Właściwie to był cień. Prawdę mówiąc, mam pewne wątpliwości, czy w ogóle widziałem kogokolwiek.

Poirot przeniósł wzrok na generała lotnictwa.

– A pan, sir George? Mógłby pan powiedzieć, czy to był mężczyzna, czy kobieta?

– Ja w ogóle nikogo nie widziałem.

Zamyślony Poirot skinął głową. Nagle szybko wstał i podszedł do biurka.

– Mogę pana zapewnić, że planów już tam nie ma – rzekł Mayfield. – Wszyscy trzej przejrzelśmy te papiery dokładnie z tuzin razy.

– Wszyscy trzej? Chce pan powiedzieć, że pański sekretarz również?

– Tak. Nazywa się Carlile.

Poirot odwrócił się szybko.

– Proszę mi powiedzieć, milordzie, jakie papiery były na wierzchu, kiedy podszedł pan do biurka?

Lord Mayfield zmarszczył brwi, usiłując sobie przypomnieć.

– Zaraz, zaraz... Tak, była tam pewna pobieżna notatka dotycząca naszych pozycji obrony lotniczej.

Zwinnym ruchem Poirot pochwycił jakiś papier i podsunął go lordowi.

– To ten, milordzie?

Minister wziął dokument do ręki, obejrzał go i odparł:

– Tak, ten.

Poirot zwrócił się do Carringtona:

– Czy i pan zauważył to na biurku?

Sir George wziął papier, odsunął go od siebie, a potem wcisnął na nos binokle.

– Tak, zgadza się. Widziałem go wraz z Carlile’em i Mayfieldem. Leżał na wierzchu.

Poirot skinął głową. Odłożył dokument na poprzednie miejsce. Mayfield z zaciekawieniem obserwował detektywa.

– Gdyby miał pan jakieś inne pytania... – zaczął.

– Ależ tak, mam jedno: chodzi o Carlile’a.

Lord Mayfield lekko się zaczerwienił.

– Carlile, panie Poirot, jest poza wszelkimi podejrzeniami! Jest moim osobistym sekretarzem od dziesięciu lat. Miał dostęp do dokumentów. Mogę pana zapewnić, że mógł sporządzić kopie tych planów i bez problemu je przerysować. Nikt by się nie zorientował.

– Wezmę to pod uwagę – rzekł Poirot. – Gdyby chciał to zrobić, nie musiał posuwać się do tak niezręcznego rabunku.

– W żadnym wypadku – odparł lord Mayfield. – Jestem zupełnie pewny Carlile’a. Mogę za niego poręczyć.

– Carlile – rzekł głośno Carrington – jest absolutnie w porządku.

Poirot z wdziękiem rozłożył ręce.

– A pani Vanderlyn... Ona nie jest w porządku?

– Tak, ona właśnie nie jest w porządku – przyznał sir George.

– Sądzę, panie Poirot, że nie ma wątpliwości co do roli pani Vanderlyn w tej sprawie – oznajmił spokojnie lord Mayfield. – Ministerstwo Spraw Zagranicznych może panu dostarczyć na jej temat dokładnych informacji.

– A służąca? Czy sądzi pan, że ona współpracuje ze swoją panią?

– To również nie ulega wątpliwości – przyświadczył sir George.

– Takie założenie wydaje mi się do przyjęcia – powiedział bardzo ostrożnie lord Mayfield.

Zapadło milczenie. Poirot westchnął i zamyślony przekładał papiery na biurku.

– Sądzę, że te skradzione plany mogły być warte dużą sumę w gotówce – zauważył po chwili.

– Jeżeli zostaną przedłożone pewnym kręgom, to tak.

– Na przykład?

Sir George wymienił dwa mocarstwa europejskie.

Poirot skinął głową.

– Zapewne każdy o tym doskonale wie, prawda?

– Pani Vanderlyn na pewno o tym wiedziała.

– Ale ja spytałem, czy każdy o tym wie!

– Sądzę, że tak.

– A zatem każdy z odrobiną inteligencji może docenić finansową wartość tych planów?

– Tak, ale, panie Poirot... – Lord Mayfield wyglądał na zaniepokojonego.

Detektyw podniósł rękę.

– Robię tylko to, co można by nazwać badaniem wszystkich możliwych dróg.

Nagle wstał, wyszedł na taras i świecąc sobie latarką, obejrzał skrawek trawnika i kraniec tarasu.

Mężczyźni go obserwowali.

Wrócił do gabinetu, usiadł i rzekł:

– Proszę mi powiedzieć, milordzie, czy pan nie urządził pościgu za tym złoczyńcą?

Lord Mayfield wzruszył ramionami.

– Mógł pójść ścieżką biegnącą przez ogród do głównej drogi. A jeżeli czekał tam na niego samochód, to wkrótce był nieuchwytny...

– No dobrze, a policja?

– Zapomina pan, panie Poirot, że musimy uniknąć rozgłosu – odparł generał. – Jeśli wiadomość o zniknięciu planów stanie się własnością publiczną, ucierpi na tym nasza partia.

– Tak, tak – rzekł Poirot. – Należy zawsze pamiętać o polityce. Trzeba zachować wielką dyskrecję. Dlatego mnie pan wezwał. No tak, być może to

łatwiejsze rozwiązanie.

– Ma pan nadzieję na sukces, panie Poirot? – spytał z lekkim niedowierzaniem lord Mayfield.

Detektyw wzruszył ramionami.

– Dlaczego nie? Trzeba tylko pomyśleć... zastanowić się. – Przerwał na chwilę, po czym dodał: – Chciałbym teraz pomówić z Carlile'em.

– Oczywiście. – Lord Mayfield wstał. – Zaraz go poproszę. Powinien się kręcić gdzieś w pobliżu.

Wyszedł z pokoju.

Poirot spojrział na sir Carringtona.

– No dobrze – powiedział. – A co z tym człowiekiem na tarasie?

– Drogi panie Poirot. Proszę mnie o to nie pytać! Ja go nie widziałem i wobec tego nie mogę go opisać.

Poirot pochylił się do przodu.

– Stwierdził pan to już poprzednio. Ale chyba chodzi o coś troszeczkę innego... Czy tak?

– Co pan ma na myśli? – spytał szorstko sir George.

– Jak by to określić? Pański sceptycyzm jest znacznie głębszy, niż pan to wyraził.

Sir George już chciał coś powiedzieć, ale zamilkł.

– Ależ tak – rzekł Poirot zachęcająco – proszę mówić. Stali panowie na końcu tarasu. Lord Mayfield zobaczył wyslizgujący się drzwiami cień, który potem pobiegł przez trawnik. Dlaczego jednak pan nie widział tego cienia?

Carrington spojrział na niego badawczo.

– Trafił pan w sedno, panie Poirot. To mnie właśnie niepokoi. Widzi pan, mógłbym przysiąc, że absolutnie nie widziałem żadnego cienia. Sądzę, że Mayfield uległ złudzeniu. Może był to ruch cienia gałęzi czy coś w tym rodzaju. Jednak gdy tu weszliśmy i stwierdziliśmy, że popełniono kradzież, ugruntowało się we mnie mniemanie, że to nie on, lecz ja się pomyliłem. Ale mimo to...

Poirot się uśmiechnął.

– Mimo to w skrytości ducha głęboko wierzy pan w prawdę, jakże często złudną, jaką wskazują panu oczy?

– Tak, nie myli się pan, panie Poirot, wierzę w to.

Poirot nadal się uśmiechał.

– To rozsądne z pańskiej strony.

– Na skraju trawnika nie było śladów stóp? – rzucił ostro generał.

Poirot skinął twierdząco głową.

– Zgadza się. Lordowi Mayfieldowi wydawało się, że widział jakiś cień. Potem dokonano kradzieży i nabrał pewności, całkowitej pewności! To już nie jest sprawa złudzenia, on z pewnością widział jakiegoś człowieka. Ale mnie bardziej interesują ślady stóp i tym podobne rzeczy, a w tej sprawie mamy negatywne świadectwo. Nie znalazłem żadnych śladów stóp na trawniku. Wieczorem padał rześisty deszcz. Jeżeli wczoraj wieczorem ktoś przeszedł przez taras i stanął na trawniku, zobaczylibyśmy jego ślady.

– Ale... – zaprotestował sir George.

– To prowadzi nas z powrotem do domu. Do ludzi znajdujących się wewnątrz.

Przerwało mu otwarcie drzwi. Wszedł lord Mayfield z sekretarzem. Pan Carlile, chociaż był jeszcze blady, odzyskał już zimną krew. Poprawił binokle, usiadł i spojrzał pytająco na Poirota.

– Jak długo przebywał pan w tym pokoju, zanim usłyszał pan krzyk?

Carlile zastanawiał się przez chwilę.

– Sądzę, że od pięciu do dziesięciu minut.

– I przedtem nic tu pana nie zaniepokoiło?

– Nie.

– Słyszałem, że goście spędzili większą część wieczoru razem w jednym pokoju?

– Tak, w salonie.

Poirot zajrzał do swojego notesu.

– Sir George Carrington i jego żona, pani Macatta, pani Vanderlyn, pan Reggie Carrington, lord Mayfield i pan. Zgadza się?

– Mnie nie było w salonie. Przez większą część wieczoru pracowałem tutaj.

Poirot zwrócił się do lorda Mayfielda:

– Kto pierwszy udał się na spoczynek?

– Przypuszczam, że lady Julia Carrington. Właściwie wszystkie trzy panie poszły jednocześnie.

– A potem?

– Wszedł pan Carlile i poleciłem mu wyjąć papiery, które chcieliśmy przejrzeć z sir George'em.

– Później zdecydowali panowie o przechadzce po tarasie?

– Tak.

– Czy rozprawialiście o pani Vanderlyn, kiedy pracowaliście w gabinecie?

– Owszem, poruszaliśmy ten temat.

– Ale nie było jej w pokoju, gdy instruowaliście pana Carlile'a w sprawie dokumentów?

– Nie.

– Proszę mi wybaczyć, milordzie – odezwał się Carlile. – Właśnie gdy pan o tym mówił, zderzyłem się w drzwiach z panią Vanderlyn. Wróciła po książkę.

– Mogła więc wszystko słyszeć?

– Zupełnie możliwe. Tak.

– Wróciła po książkę, milordzie?

– Tak, i Reggie ją jej dał.

– No tak, to stary, użyteczny trik! Więc wróciła po książkę... To się często zdarza...

– Myśli pan, że zrobiła to rozmyślnie?

Poirot wzruszył ramionami.

– Chwilę później panowie wyszli na taras. A pani Vanderlyn?

– Wyszła z pokoju ze swoją książką.

– A Reggie? Również udał się na spoczynek?

– Tak.

– Potem przyszedł pan Carlile i mniej więcej pięć lub dziesięć minut później usłyszał krzyk. Usłyszał pan krzyk, więc wybiegł pan do holu. Czy nie sprawi panu kłopotu powtórzenie tej sceny?

Carlile wstał trochę niezgrabnie z krzesła.

– Ja będę tutaj krzyczał – rzekł ochoczo Poirot. Otworzył usta i wydał z siebie cienki pisk.

Lord Mayfield odwrócił głowę, ukrywając uśmiech, a Carlile patrzył niezdecydowany.

– Dalej! Naprzód! Prędeż! – wykrzyknął Poirot. – Przecież w tym momencie pan zareagował.

Sekretarz podbiegł sztywno do drzwi, otworzył je i wyszedł. Poirot poszedł za nim. Pozostali pośpieszyli również.

– Czy zamknął pan za sobą drzwi?

– Tego naprawdę nie pamiętam. Sądzę, że zostawiłem je otwarte.

– Mniejsza o to. Dalej.

Carlile, nadal bardzo sztywny, podszedł do pierwszego stopnia schodów i stanął, patrząc w górę.

– Pokojówka, jak sądzą, była na schodach – stwierdził Poirot. – Gdzie stała?

– W połowie schodów.

– Była wytrącona z równowagi?

– Wyraźnie.

– No dobrze, załóżmy więc, że jestem pokojówką. – Poirot zwinnie wbiegł na schody. – Tutaj?

– Może stopień lub dwa wyżej...

– Tak jak teraz? – Poirot przybrał odpowiednią pozę.

– Tak... Ale nie. Niezupełnie...

– A jak?

– Trzymała się rękoma za głowę.

– Ach, rękoma trzymała się za głowę. To bardzo interesujące. Czy w ten sposób? – Poirot podniósł ręce i objął dłońmi głowę powyżej uszu.

– Tak, właśnie tak.

– Aha! A teraz niech mi pan powie, panie Carlile, czy to ładna dziewczyna? Tak?

– Doprawdy, nie zauważyłem. – Głos Carlile'a zabrzmiał zaczepnie.

– Mhm... Więc pan nie zauważył? Ale jest pan przecież młody. Czy to możliwe, aby młody człowiek nie widział, że dziewczyna jest ładna?

– Doprawdy, panie... Poirot, mogę tylko powtórzyć, że nie zwróciłem na to uwagi.

Sekretarz spojrział na swego pracodawcę wzrokiem człowieka umęczonego.

Z kolei sir Carrington nagle zakaszłał.

– Pan Poirot postanowił być bardzo bezpośredni, Carlile – zauważył.

Carlile rzucił mu zimne spojrzenie.

– Jeżeli o mnie chodzi, zawsze zauważę, czy dziewczyna jest ładna – oznajmił Poirot, schodząc ze schodów.

Cisza, jaka zapanowała po tym stwierdzeniu, była bardzo wymowna.

– I oświadczyła panu, że zobaczyła ducha? – kontynuował detektyw.

– Tak.

– I pan w to uwierzył?

– No, z trudnością, panie Poirot!

– Nie sądzę, by wierzył pan w duchy. Raczej przypuszczam, że przyszło panu do głowy, iż dziewczynie tylko się wydawało, że coś zobaczyła, prawda?

– Och, nawet gdyby tak było, nie odniosłem takiego wrażenia. Miała przyspieszony oddech. Była wytrącona z równowagi.

– Czy widział pan albo słyszał jej panią?

– Tak, rzeczywiście tak było. Wyszła ze swojego pokoju na piętrze i zawołała: „Leonie!”.

– A potem?

– Dziewczyna pobiegła do niej na górę, a ja wróciłem do gabinetu.

– Czy ktoś mógł niepostrzeżenie wejść przez otwarte drzwi do gabinetu, kiedy pan był tutaj na schodach?

– Musiałby mnie minąć. Jak pan widzi, drzwi znajdują się na końcu korytarza.

Poirot skinął głową. Carlile kontynuował opanowanym głosem:

– Mogę powiedzieć tylko tyle, że jestem wdzięczny, że lord Mayfield zauważył złodzieja wychodzącego przez oszklone drzwi. Inaczej znalazłbym się w bardzo kłopotliwej sytuacji...

– Nonsens, mój drogi Carlile – przerwał lord Mayfield niecierpliwie. – Żadne podejrzenia i tak by na ciebie nie padły.

– Bardzo miło, że pan tak mówi, milordzie, ale fakty są faktami, a sytuacja jest dla mnie bardzo kłopotliwa. W każdym razie sędzę, że dla dobra sprawy lepiej byłoby mnie zrewidować i przeszukać moje rzeczy.

– Wykluczone, mój drogi – rzekł Mayfield.

– Czy istotnie pan sobie tego życzy? – zapytał Poirot.

– Istotnie, wolałbym, aby tak się stało.

Herkules Poirot patrzył na niego przez chwilę w zamyśleniu.

– Rozumiem – mruknął, po czym zapytał: – Gdzie w stosunku do gabinetu położony jest pokój pani Vanderlyn?

– Wprost nad nim.

– Czy okno wychodzi na taras?

– Tak.

Poirot znowu skinął głową.

– Przejdźmy do salonu – zaproponował.

Zaczął spacerować po pokoju, badając zamknięcie okien i oglądając zapisy na stoliku brydżowym.

– Ta sprawa – zwrócił się do lorda Mayfielda – wydaje się bardziej skomplikowana, niż przypuszczałem. Jedna rzecz tylko jest pewna: skradzione plany nie opuściły tego domu.

Lord Mayfield z uwagą spojrzał na detektywa.

– Ależ, drogi panie Poirot, widziałem, jak ten człowiek wychodził z gabinetu...

– Nie było żadnego człowieka.

– Przecież go widziałem...

– Z całym szacunkiem, milordzie, ale tak się panu tylko zdawało. Zmylił pana cień gałęzi. Na skutek zbiegu okoliczności jednocześnie doszło do kradzieży i to pana wprowadziło w błąd.

– Doprawdy, panie Poirot, świadectwo moich oczu...

– Załóżmy się, kto ma lepszy wzrok, mój stary – rzucił sir George.

– Proszę mi pozwolić, milordzie, zwrócić uwagę na bardzo istotny fakt: nikt nie przechodził przez taras w kierunku trawnika.

– Jeżeli pan Poirot ma rację – wykrztusił z trudem poblady Carlile – automatycznie podejrzenie skupia się wyłącznie na mnie. Jestem jedyną osobą, która mogła dokonać kradzieży.

Lord Mayfield zerwał się z krzesła.

– Nonsens! Cokolwiek pan Poirot o tym myśli, ja się z nim nie zgadzam. Mogę ręczyć za twoją niewinność, drogi Carlile.

– Nie powiedziałem, że pana podejrzewam, panie Carlile – rzekł łagodnie Poirot.

– Nie, ale dał pan jasno do zrozumienia, że nikt poza mną nie miał szansy tego zrobić.

– *Du tout! Du tout!*^[41]

– Powiedziałem panu jednak, że nikt nie przechodził obok mnie przez hol do drzwi gabinetu!

– Zgadzam się z tym. Lecz w tym czasie do gabinetu mógł wejść przez oszklone drzwi ktoś inny!

– Ale pan właśnie powiedział, że tak się nie stało.

– Owszem, oświadczyłem, że z zewnątrz nikt nie mógł wejść bez pozostawienia śladów na trawniku. Ale jednocześnie twierdzę, że mógł dokonać tego ktoś, kto przebywał w domu, czyli w obrębie samego budynku. Ktoś mógł wyjść z tego pokoju przez jedne z oszklonych drzwi, przemknąć się przez taras, wślizgnąć się również przez oszklone drzwi do gabinetu i wrócić!

– Przecież na tarasie byli wtedy sir George Carrington z lordem Mayfieldem – sprzeciwił się Carlile.

– Byli wtedy na tarasie, ale się przechadzali. Oczy sir Carringtona są niewątpliwie godne zaufania. – Poirot lekko się skłonił. – Niestety, nie ma ich pan umieszczonych z tyłu głowy! Oszklone drzwi do gabinetu znajdują się na końcu tarasu po lewej stronie. Ale taras biegnie też w prawo, przylegając do jednego, dwóch, trzech czy czterech pokoi.

– Jadalni, pokoju bilardowego, pokoju śniadaniowego i biblioteki – odrzekł lord Mayfield.

– Ile razy panowie przeszli tam i z powrotem po tarasie?

– Co najmniej pięć albo sześć.

– Była to więc najlepsza okazja do dokonania kradzieży i złodziej jedynie czekał na dogodny moment.

– Myśli pan, że kiedy wyszedłem do holu – rzekł wolno Carlile – i rozmawiałem z tą francuską pokojówką, złodziej czekał w salonie?

– To jest tylko przypuszczenie, oczywiście.

– Dla mnie brzmi niezbyt prawdopodobnie – zauważył lord Mayfield. – Zbyt ryzykowne.

– Nie mogę się z tobą zgodzić, Charles – odezwał się generał lotnictwa. – To jest zupełnie prawdopodobne. Dziwię się, że sam o tym nie pomyślałem.

– Teraz pan rozumie – powiedział Poirot – dlaczego wierzę, że plany znajdują się jeszcze w tym domu. Pozostaje problem, jak je odnaleźć!

– To dość proste. Wszystkich zrewidować! – zaproponował sir George.

Lord Mayfield uczynił gest zaprzeczenia, lecz Poirot uprzedził jego słowa:

– Nie, nie, to nie takie proste. Osoba, która wzięła plany, na pewno się domyślała, że rozpoczną się poszukiwania, i musiała być zupełnie pewna, że nie zostaną znalezione wśród jej rzeczy. Mogły zostać ukryte w jakimś neutralnym miejscu.

– Sądzi więc pan, że będziemy się bawić w poszukiwanie planów w tym przeklętym domu?

Poirot się uśmiechnął.

– Nie, nie możemy postąpić tak prymitywnie. Musimy odnaleźć skrytkę albo ustalić winnego za pomocą dedukcji. To uprości sprawę. Rano chciałbym przeprowadzić rozmowę z każdą z osób, które przebywają w tym domu. Nierozsądne byłoby przeprowadzanie ich teraz.

– Spowodowałyby to zbyt wiele komentarzy – zgodził się lord Mayfield i skinął głową – gdybyśmy zaczęli wszystkich zrywać z łóżek o trzeciej nad ranem. W każdym razie powinien pan działać dyskretnie, panie Poirot. Ta sprawa nie może się wydostać na światło dzienne.

Detektyw rozłożył ręce.

– Proszę pozostawić to Herkulesowi Poirotowi. Kłamstwa, jakie wymyślę, będą subtelne i przekonujące. A zatem przesłuchania przeprowadzę rano. Teraz chciałbym jednak porozmawiać z panem, sir George, i panem, milordzie.

Skłonił się przed nimi.

– Z każdym z nas osobno?

– To właśnie miałem na myśli.

Lord Mayfield uniósł wzrok i rzekł:

– Zgoda. Zostawię pana z sir George'em. Gdyby mnie pan potrzebował, będę w gabinecie. Chodź, Carlile.

Wyszli, zamykając za sobą drzwi.

Sir George usiadł i sięgnął mechanicznie po papierosa. Spojrzał z zaciekawieniem na Poirota.

– Wie pan – rzekł wolno – zupełnie nie mogę tego pojąć.

– Wszystko można prosto wyjaśnić – odparł Poirot z uśmiechem. – Mówiąc ściślej, w dwóch słowach: pani Vanderlyn!

– Och! – rzucił z westchnieniem Carrington. – Myślę, że rozumiem. Pani Vanderlyn?

– Otóż to. Widzi pan, to pytanie, które teraz chciałbym panu zadać, mogłoby być niezbyt delikatne wobec lorda Mayfielda. Dlaczego pani Vanderlyn? Ta kobieta ma dość podejrzaną reputację. Dlaczego więc znalazła się w tym domu? Według mnie możliwe są trzy odpowiedzi na to pytanie. Pierwsza, że lord Mayfield ma słabość do tej kobiety. Dlatego rozmawiam z panem o tym na osobności. Nie chciałem stawiać gospodarza w kłopotliwym położeniu. Druga, że pani Vanderlyn jest być może serdeczną przyjaciółką kogoś innego w tym domu.

– Mnie pan może wykluczyć! – rzekł z uśmiechem sir George.

– Jeśli zatem wykluczemy obydwie możliwości, tym ważniejsza staje się odpowiedź na moje pytanie: dlaczego pani Vanderlyn? Wydaje mi się jednak, że dostrzegam trzecią odpowiedź. Była ku temu pewna przyczyna. Jej obecność została z pewnością zaplanowana przez lorda Mayfielda ze specjalnego powodu. Czy mam rację?

Sir George skinął głową.

– Tak, nie myli się pan – potwierdził. – Lord Mayfield jest za cwany na jej sztuczki. Sprowadził ją tutaj w pewnym określonym celu. A było to tak...

I powtórzył rozmowę, która odbyła się wieczorem przy stole w jadalni. Poirot słuchał z zainteresowaniem.

– Ach, teraz rozumiem. Mimo wszystko wydaje się, że pobiła was waszą bronią!

Carrington zaklął bez żenady.

Poirot spojrzał na niego z lekkim rozbawieniem, wreszcie powiedział:

– Według pana ta kradzież jest jej dziełem... To znaczy, że jest za to odpowiedzialna, niezależnie od tego, czy grała w tym główną rolę?

– Oczywiście! Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że tak. Któż inny byłby zainteresowany kradzieżą tych planów? – obruszył się sir George.

– Mhm... – mruknął Poirot. Odchylił się do tyłu i utkwiał wzrok w suficie. – Jednak, sir George, nie dalej jak kwadrans temu uznaliśmy, że plany mają dużą wartość materialną. Niekoniecznie w formie banknotów, złota czy drogich kamieni, ale niezaprzeczalnie są bardzo cenne. Powiedzmy, że ktoś z obecnych w tym domu znajduje się w trudnej sytuacji...

Sir George przerwał parsknięciem.

– Któż z nas w dzisiejszych czasach nie znajduje się w takiej sytuacji? Sądzę, że nawet o sobie mógłbym to powiedzieć. – Zaśmiał się, a Poirot zawtórował mu uprzejmie i rzekł:

– Ależ może pan tak mówić bez obawy, pan ma niepodważalne alibi.

– Jednak mimo wszystko znajduję się w piekielnie trudnej sytuacji.

Poirot potrząsnął głową ze smutkiem.

– Tak, istotnie, człowiek na pańskim stanowisku musi prowadzić kosztowny tryb życia. Poza tym ma pan syna w wieku, który wymaga wydatków.

Sir George jęknął.

– Kształcenie dużo kosztuje, chociaż najgorsze są te długi. Jednak to nie jest zły chłopiec.

Poirot wysłuchał ze współczuciem wiązanki skarg generała lotnictwa. O braku wytrwałości i zdecydowania u młodej generacji. O tym, jak matki niebywale psują swoje dzieci, zawsze ich broniąc. O zamiłowaniu do hazardu u kobiet

grających o wysokie stawki, mimo że nie mogą sobie na to pozwolić. Oczywiście sir George mówił to ogólnie, nie wspominając wprost o swojej żonie i synu, ale z łatwością można było się domyślić, że to o nich chodzi.

– Przepraszam, że nudzę pana podobnymi uwagami o tak późnej, a raczej tak wczesnej porze. – Stłumił ziewnięcie.

– Sądzę, sir George, że powinien pan położyć się spać. Był pan bardzo uprzejmy i pomocny.

– Tak, myślę, że powinienem to zrobić. Czy pan naprawdę jest przekonany, że istnieje szansa odnalezienia tych planów?

Poirot wzruszył ramionami.

– Spróbuję. Dlaczego miałoby mi się nie udać?

– A zatem idę. Dobranoc – pożegnał się Carrington i opuścił pokój.

Poirot pozostał w fotelu i w zamyśleniu obserwował sufit. Potem wyjął mały notes, otworzył go na pustej stronie i napisał:

Pani Vanderlyn?

Lady Julia Carrington?

Pani Macatta?

Reggie Carrington?

Pan Carlile?

Poniżej dopisał:

Pani Vanderlyn i pan Reggie Carrington?

Pani Vanderlyn i lady Julia?

Pani Vanderlyn i pan Carlile?

Potrząsnął głową z niezadowoleniem i zamruczał:

– *C'est plus simple que ça*^[42].

Następnie dodał kilka zdań:

Czy lord Mayfield widział „cień”? Jeżeli nie, to dlaczego twierdzi, że go widział? Czy sir George widział coś? Był przekonany, że nic nie widział, PO

TYM, jak zbadałem trawnik. UWAGA: Lord Mayfield jest krótkowidzem, może czytać bez szkieł, lecz żeby zobaczyć coś na drugim końcu pokoju, musi założyć monokl. Sir George jest dalekowidzem. Dlatego też, oceniając to, co się działo na odległym krańcu tarasu, można bardziej polegać na jego wzroku aniżeli na wzroku lorda Mayfielda. Jednak lord Mayfield jest PEWIEN, że coś widział, i jego przekonania nie podważa przeczenie przyjaciela.

Czy Carlile rzeczywiście jest całkowicie poza podejrzeniem? Lord Mayfield z żarem za niego ręczy i głęboko wierzy w jego niewinność. Za bardzo w nią wierzy. Dlaczego? Ponieważ skrycie go podejrzewa i wstydzi się tego? Albo jest zbyt pewny podejrzeń wobec kogoś innego? To znaczy kogoś innego niż pani Vanderlyn?

Odłożył notatnik.

Wstał i udał się do gabinetu.

W gabinecie Poirot zastał lorda Mayfielda siedzącego przy biurku. Milord odłożył pióro, odwrócił się szybko i spojrzał pytająco.

– No, panie Poirot, przeprowadził pan rozmowę z Carringtonem?

Poirot uśmiechnął się i usiadł.

– Tak, milordzie. Wyjaśnił mi pewien punkt, który dotąd był dla mnie zagadką.

– Co to było?

– Powód pobytu tutaj pani Vanderlyn. Rozumie pan, sądziłem, że to możliwe...

Mayfield szybko pojął, co jest powodem przesadnego zakłopotania Poirota.

– Sądził pan, że mam słabość do tej kobiety? Absolutnie nie! Jestem daleki od tego! Zabawne, ale Carrington myślał tak samo!

– Tak, powtórzył mi rozmowę, jaką przeprowadził z panem na ten temat.

Lord Mayfield wydawał się trochę przygnębiony.

– Mój plan się nie powiódł... To zawsze denerwujące, gdy trzeba przyznać, że kobieta jest lepsza.

– Ależ ona jeszcze nie wygrała, milordzie.

– Wierzy pan, że jeszcze możemy zwyciężyć? Cieszę się, że pan tak uważa. Chciałbym, aby okazało się to prawdą. – Westchnął. – Wydaje mi się, iż postąpiłem jak kompletny głupiec... sądząc, że zwabię ją w pułapkę.

– A miał pan obmyślony jakiś fortel, milordzie? – zapytał Herkules Poirot, zapalając swojego małego papierosa.

– No cóż... – Lord Mayfield się zawahał. – Wolałbym jednak nie mówić o szczegółach.

– Rozmawiał pan z kimś o tym?

– Nie.

– Nawet z panem Carlile'em?

– Nie.

Poirot się uśmiechnął.

– Woli pan działać na własną rękę?

– Zwykle dochodzę do wniosku, że to najlepsza metoda – zauważył trochę ponuro Mayfield.

– Tak, to rozsądne. Nie ufać nikomu. Ale wspominał pan o tym sir Carringtonowi?

– To naturalne, ponieważ okazało się, że mój drogi przyjaciel za bardzo się o mnie martwił. – Lord Mayfield uśmiechnął się na to wspomnienie.

– To pański stary przyjaciel?

– Tak. Znamy się ponad dwadzieścia lat.

– A jego żona?

– Jego żonę też, oczywiście, znam dobrze.

– Przepraszam, jeżeli jestem niedyskretny... Ale czy pana nie wiążą z nią jakieś bliższe stosunki?

– Nie sędzę, aby jakieś osobiste stosunki między ludźmi miały wpływ na naszą sprawę, panie Poirot.

– A ja myślę, milordzie, że to ma duże znaczenie. Uznał pan przecież za prawdopodobną moją teorię, że sprawcą był ktoś z salonu, prawda?

– Tak. Istotnie, z tym się zgadzam. Tak musiało być.

– Nie powinniśmy mówić: „musiało”. To słowo wyraża zbyt dużą pewność siebie. Ale jeżeli moja teoria jest słuszna, kim według pana mogła być ta osoba z salonu?

– Oczywiście pani Vanderlyn. Przecież wróciła po książkę. Mogła przyjść po drugą książkę, po torebkę, po porzuconą chusteczkę lub po jakiś inny damski drobiazg. Zaaranżowała ze służącą, że wywabi Carlile’a z gabinetu. Potem wkradła się tam i, jak już pan powiedział, przez oszklone drzwi wymknęła się na taras.

– Zapomina pan, że to nie mogła być pani Vanderlyn. Przecież Carlile usłyszał, jak wołała z piętra na służącą, w chwili gdy on sam rozmawiał z dziewczyną.

Lord Mayfield zagryzł wargi.

– To prawda. Zapomniałem o tym. – Rozejrzył się wokoło z zakłopotaniem.

– No widzi pan – rzekł łagodnie Poirot. – Idźmy dalej. Pierwsze nasuwające się wyjaśnienie zakładało, że złodziej wtargnął z zewnątrz i chwyciwszy łup, uciekł. Ta bardzo wygodna, jak bym ją teraz nazwał, teoria została szybko zaakceptowana i przyjęta do wiadomości. Niestety, okazała się nieprawdziwa. Następnie wysunęliśmy teorię o agentce obcego wywiadu, pani Vanderlyn, i to znowu wydawało się pod pewnym względem bardzo dobre. Teraz jednak widać wyraźnie, że ta teoria jest zbyt łatwa, zbyt wygodna, aby ją zaakceptować.

– Więc zupełnie wyklucza pan udział pani Vanderlyn?

– Tak. To nie pani Vanderlyn była w salonie. Mógł jednak być to jej sprzymierzeniec i to on ukradł plany. Ale jest też możliwe, że uczynił to sprzymierzeniec jakiejś innej osoby. W takim wypadku musimy rozpatrzyć problem motywu.

– Czy to nie jest trochę naciągane, panie Poirot?

– Nie sądzę. Zatem jaki motyw może wchodzić w rachubę? Motyw zysku. Papiery zostały skradzione z myślą o ewentualnej wymianie ich na pieniądze. To najprostszy motyw. Może też jednak wchodzić w grę zupełnie odmienny powód.

– Na przykład...?

– Może zrobiono to z myślą, aby komuś zaszkodzić? – rzekł wolno detektyw.

– Komu?

– Może panu Carlile’owi? Choć on też, oczywiście, należy do osób podejrzanych. Jednak może w tym być coś więcej. Ludziom, którzy dzierżą w ręku losy kraju, lordzie Mayfield, łatwo można zaszkodzić w oczach opinii publicznej.

– Pan przypuszcza, że złodziej chciał zaszkodzić mnie?

Poirot skinął głową.

– Sądzę, że mam rację, lordzie Mayfield, mówiąc, że około pięciu lat temu próbowano już zrobić coś podobnego. Podejrzewano, że współpracuje pan z pewnym europejskim mocarstwem, co spowodowało spadek pańskiej popularności wśród wyborców.

– Tak, to prawda, panie Poirot.

– W dzisiejszych czasach polityk ma trudne zadanie. Musi się liczyć z opinią wyborców i jednocześnie orientować się w nastrojach panujących w społeczeństwie. Nastroje społeczne zależą od sentymentów mas, są zmienne i wybitnie niepewne, ale pod żadnym pozorem nie wolno ich lekceważyć.

– Bardzo dobrze pan to określił! Istotnie, dokładnie to jest treścią życia polityka. Musi kłaniać się nastrojom. Bez względu na to, czy wie, jak jest to niebezpieczne i szaleńcze, czy nie zdaje sobie z tego sprawy.

– Myślę, że to był pański dylemat. Plotkowano, że podpisał pan jakąś umowę z krajem, o którym mowa. Wszyscy zwrócili się przeciwko panu. Na szczęście premier kategorycznie zaprzeczył plotkom, a i pan również odrzucił zarzuty, chociaż nie krył pan, po której stronie leżą pańskie sympatie.

– Wszystko to prawda, panie Poirot, ale dlaczego grzebie pan w przeszłości?

– Ponieważ biorę pod uwagę możliwość, że wróg, rozczarowany przewyciężeniem przez pana kryzysu, mógł spróbować zainscenizować następny problem. Prędko odzyskał pan społeczne zaufanie. Tamte szczególne okoliczności minęły. Pan stał się teraz jedną z najpopularniejszych postaci życia politycznego. Mówi się bez ogródek, że po odejściu Hunberly'ego pan zostanie premierem.

– Sądzi pan, że obecnie mamy do czynienia z próbą zdyskredytowania mnie? Nonsens!

– *Tout de même*^[43], milordzie, fakt zaginięcia podczas weekendu planów nowego brytyjskiego bombowca i to, że gości pan u siebie tak czarującą kobietę, może wypaść dość dwuznacznie. Aluzje w prasie, że może pana coś łączyć z tą damą, mogą być bardzo niewygodne.

– Tego rodzaju rzeczy nie można przecież brać poważnie.

– Drogi milordzie, doskonale pan wie, że można! To może prowadzić do podważenia zaufania społeczeństwa.

– Tak, to prawda – przyznał lord Mayfield. Sprawiał wrażenie nagle zaniepokojonego. – Boże, jak ta sprawa stała się rozpaczliwie skomplikowana. Pan naprawdę myśli... Ależ to niemożliwe... Niemożliwe!

– Zna pan kogoś, kto by panu... zazdrościł?

– Absurd!

– W każdym razie musi pan przyznać, że moje pytania dotyczące pańskich prywatnych stosunków towarzyskich z uczestnikami przyjęcia w tym domu mają związek z zaistniałym wypadkiem.

– Och, być może... Być może. Pytał mnie pan o Julię Carrington. Naprawdę niewiele mogę panu o niej powiedzieć. Nigdy nie poświęcałem jej dużo uwagi i sądzę, że ona specjalnie też nie zajmowała się moją osobą. To jedna z tych niespokojnych i nerwowych kobiet, jest lekkomyślnie ekstrawagancka, ma bzika na punkcie kart. Ma na tyle staromodne poglądy, że w gruncie rzeczy gardzi mną jako człowiekiem, który do wszystkiego doszedł własną pracą.

– Zanim tu przybyłem, przeczytałem o panu w *Who's Who*^[44]. Pracował pan na kierowniczym stanowisku w znanym przedsiębiorstwie technicznym i jest pan znakomitym inżynierem.

– To z pewnością nie ma nic wspólnego z naszą sprawą. Pracowałem tam zupełnie nad czymś innym – odparł Mayfield raczej ponurym głosem.

– *O la, la!* – wykrzyknął Poirot. – Ależ ze mnie głupiec! Jaki głupiec!

Gospodarz spojrzał z uwagą na detektywa.

– Nie rozumiem, panie Poirot.

– Ta część zagadki stała się dla mnie jasna. Coś, czego przedtem nie zauważyłem... A teraz wszystko pasuje! Tak, pasuje jak ulał.

Lord Mayfield spojrzał na niego ze zdziwieniem i z zaskoczeniem, ale Poirot uśmiechnął się dyskretnie i pokiwał głową.

– Nie, nie, nie teraz. Najpierw muszę moje teorie bardziej sprecyzować.

Wstał.

– Dobranoc, lordzie Mayfield. Myślę, że wiem, gdzie znajdują się plany.

– Pan wie? Więc chodźmy po nie! – wykrzyknął lord Mayfield.

Poirot potrząsnął głową.

– Nie, nie, tego nie możemy zrobić. Pośpiech mógłby się okazać fatalny w skutkach. Proszę pozostawić wszystko w rękach Herkulesa Poirota. – Po tych słowach wyszedł z pokoju.

Lord Mayfield wzruszył ramionami.

– Ten człowiek to szarlatan – mruknął. Następnie złożył papiery, zgasił światło i również udał się na spoczynek.

– Jeżeli doszło do włamania, to dlaczego, u diabła, stary Mayfield nie wezwał policji? – spytał z naciskiem Reggie Carrington.

Odsunął trochę krzesło od stołu. Siedzieli właśnie przy śniadaniu.

Reggie zszedł ostatni, pani Macatta i sir George skończyli śniadanie już wcześniej. Jego matka i pani Vanderlyn jadły śniadanie w łózkach.

Sir George powtórzył oświadczenie uzgodnione wcześniej z lordem Mayfieldem i Herkulesem Poirotem, miał jednak wrażenie, że nie najlepiej mu idzie.

– Posłanie po tego podejrzanego obcokrajowca wydaje mi się bardzo dziwne – powiedział Reggie. – Co zginęło, ojcze?

– Dokładnie nie wiem, chłopcze.

Reggie się poderwał. Od samego rana sprawiał wrażenie bardzo zdenerwowanego.

– Coś... ważnego? Chyba nie... Jakies dokumenty czy coś w tym rodzaju?

– Niestety, Reggie, nie mogę ci powiedzieć.

– Widzę, że to jakaś niezwykle tajemnicza sprawa, co?

Reggie wbiegł na schody, w połowie zatrzymał się na moment, zmarszczył brwi, po chwili ruszył dalej i zapukał do drzwi pokoju matki. Zaprosiła go, by wszedł.

Lady Julia siedziała na łóżku i bazgrała jakieś cyfry na odwrocie koperty.

– Dzień dobry, kochanie. – Spojrzała na niego szybko i dodała gwałtownie: – O co chodzi, Reggie?

– Nic wielkiego, ale wydaje się, że w nocy mieliśmy włamanie.

– Włamanie? Co skradziono?

– Niestety, nie wiem. To jakaś bardzo tajemnicza historia. Jakiś dziwaczny typ, podobno prywatny detektyw, siedzi na dole i wszystkim zadaje pytania.

– Jakie to niezwykłe!

– To raczej przykre – rzekł wolno Reggie – znaleźć się w domu, gdzie wydarzyło się coś takiego.

– A co dokładnie się wydarzyło?

– Nie wiem. To stało się już po udaniu się przez nas na spoczynek. Mamo, może odstawisz już tę tacę.

Sięgnął po tacę i postawił ją na stoliku pod oknem.

– Zabrano pieniądze?

– Już ci mówiłem, że nie wiem.

– Przypuszczam, że ten detektyw wszystkim zadaje pytania?

– Przypuszczam, że tak.

– Gdzie przebywali w nocy? I tym podobne, tak?

– Prawdopodobnie. No, ja w każdym razie wiele mu nie powiem. Poszedłem prosto do łóżka i natychmiast zasnąłem.

Lady Julia milczała.

– Mamo, mogłabyś dać mi trochę forsy? Jestem kompletnie spłukany.

– Nie, nie mogę – odparła zdecydowanie. – Mam już debet w banku i nie wiem, co ojciec powie, kiedy o tym usłyszy.

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł sir George.

– Ach, tu jesteś, Reggie. Czy możesz zejść do biblioteki? Pan Herkules Poirot chce się z tobą widzieć.

Detektyw właśnie kończył rozmowę z panią Macattą. Kilka krótkich pytań wystarczyło, by ustalić, że pani Macatta poszła do łóżka krótko przed jedenastą i nie mogła niczego widzieć ani słyszeć.

Poirot gładko przeszedł od włamania do bardziej osobistych spraw. Stwierdził, że ma wiele uznania dla lorda Mayfielda. Uważał, że jako osoba publiczna milord jest naprawdę wielkim człowiekiem. Oczywiście, pani Macatta, będąc dobrze poinformowana, może to ocenić lepiej od niego.

– Lord Mayfield to tęga głowa – przyznała pani Macatta. – Wszystko poświęcił dla kariery. Niczego nie zawdzięcza przodkom. Może jest mało

przewidujący, ale to wada większości mężczyzn. Zazwyczaj brakuje im wyobraźni cechującej kobiety. Kobieta, panie Poirot, w ciągu dziesięciu lat może stać się wielką siłą w rządzie...

Herkules Poirot powiedział, że jest tego pewien. Podjął temat pani Vanderlyn. Słyszał aluzje, jakoby ona i lord Mayfield byli przyjaciółmi. Czy to prawda?

– Bynajmniej. Szczerze mówiąc, byłam bardzo zaskoczona, że ją tu spotkałam. Tak, byłam bardzo zaskoczona.

Poirot zachęcił panią Macattę do wyrażenia opinii o pani Vanderlyn – i udało mu się.

– To jedna z tych zupełnie bezużytecznych kobiet, panie Poirot. Takie jak one sprawiają, że wstydzimy się tego, iż jesteśmy kobietami. To pasożyty, wyłącznie pasożyty.

– Czy podoba się mężczyznom?

– Mężczyźni... – Pani Macatta wyrzekła to słowo z pogardą. – Zwracają uwagę jedynie na wygląd. Na przykład ten młody chłopak, Reggie Carrington... Ilekroć ona mówi do niego, cały się czerwieni. Absurdalnie pochlebia mu jej zainteresowanie, a ona prawi mu idiotyczne komplementy. Chwaliła jego grę w brydża, chociaż daleko mu w tym do doskonałości.

– Więc on nie gra dobrze w brydża?

– Wczoraj wieczorem popełnił wszystkie możliwe błędy.

– A lady Julia? Czy ona dobrze gra?

– Według mnie aż za dobrze – odparła pani Macatta. – Prawie jak zawodowiec. Gra rano, w południe i wieczorem.

– Wysoko?

– Tak, istotnie, wyżej, niż ja mogłabym sobie na to pozwolić. Tak... Ale, prawdę mówiąc, nie zastanawiałam się nad tym dokładnie.

– Wygrywa?

Pani Macatta z oburzeniem głośno parsknęła.

– Zawsze liczy, że w ten sposób spłaci swoje długi. Słyszałam jednak, że ostatnio nie sprzyja jej szczęście. Wczoraj wieczorem wydawało mi się, że ma czymś zaprzątniętą głowę. Demony hazardu, panie Poirot, są tylko trochę

mniejsze od tych będących przyczyną pijaństwa. Gdybyśmy tylko mogli oczyścić ten kraj...

I Herkules Poirot wysłuchał dłuższego wykładu o metodach uzdrowienia moralności w Anglii. Potem zręcznie zakończył rozmowę i poprosił o przysłanie Reggiego Carringtona.

Uważnie przyjrzał się młodemu człowiekowi, który wszedł do pokoju. Miał wąskie usta, podbródek świadczący o braku zdecydowania, szeroko rozstawione oczy i wąską czaszkę. Wszedł z czarującym uśmiechem na ustach. Poirot pomyślał, że doskonale zna ludzi typu Reggiego Carringtona.

– Pan Reggie Carrington?

– Tak. W czym mogę pomóc?

– Proszę mi tylko powiedzieć, co pan robił ostatniej nocy.

– Dobrze. A więc wieczorem grałem w brydża w salonie. Potem poszedłem spać.

– O której godzinie?

– Krótko przed jedenastą. Sądzę, że do kradzieży doszło po jedenastej?

– Tak, po jedenastej. Czy widział pan coś lub słyszał?

Reggie z żalem potrząsnął głową.

– Obawiam się, że nie. Udałem się prosto do łóżka i natychmiast głęboko zasnąłem.

– Zatem poszedł pan prosto z salonu do swojego pokoju i pozostał w nim do rana?

– Tak jest.

– Ciekawe – mruknął Poirot.

– Co pan ma na myśli? – rzucił szybko Reggie.

– Czy nie słyszał pan na przykład jakiegoś krzyku?

– Nie, nic takiego nie słyszałem.

– Ach, to bardzo ciekawe.

– Doprawdy, nie wiem, o co panu chodzi.

– Może przypadkiem pan trochę źle słyszy?

– Mam dobry słuch.

Poirot poruszył wargami, być może po raz trzeci powtórzył, że to jest ciekawe, a na koniec powiedział:

– Dziękuję, panie Carrington, to wszystko.

Młody człowiek stał niezdecydowany.

– Wie pan – oznajmił – teraz, gdy pan o tym wspomniał, wydaje mi się, że jednak coś słyszałem.

– Ach, coś pan słyszał?

– Tak, ale widzi pan, czytałem książkę... Taką kryminalną historię i... no i nie jestem naprawdę pewien.

– Mhm... – mruknął Poirot i dodał: – Bardzo przekonujące wyjaśnienie. – Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

Reggie nadal się wahał, następnie odwrócił się i powoli skierował do drzwi. Tam zatrzymał się i zapytał:

– Co zostało skradzione?

– Coś o wielkiej wartości, panie Carrington. To wszystko, co wolno mi powiedzieć.

– Och... – Reggie Carrington westchnął nieco zaskoczony i wyszedł z pokoju.

Poirot pokiwał głową i mruknął:

– Pasuje. Bardzo dobrze pasuje.

Nacisnął dzwonek i uprzejmie zapytał, czy pani Vanderlyn już wstała.

*

Do pokoju wkroczyła pani Vanderlyn prezentująca się bardzo pięknie. Miała na sobie doskonale skrojony sportowy kostium w rdzawym odcieniu, który podkreślał pełen ciepła połysk jej włosów. Opadła na fotel i z wdziękiem uśmiechnęła się do detektywa. W uśmiechu tym przez krótki moment można było dostrzec coś na kształt triumfu pomieszanego z kpina. Poirot był zaintrygowany.

– Włamywacze? Dziś w nocy? Ależ to straszne! Nic o tym nie słyszałam. Co na to policja? Czy oni nie mogą nic zrobić? – Znów przez chwilę w jej oczach pojawiła się kpina.

„To jasne, dlaczego nie boisz się policji, moja pani” – pomyślał Poirot. „Przecież dobrze wiesz, że policja nie może tu przyjąć i prowadzić śledztwa. Co

oznacza... właściwie co?”

– Widzi pani, *madame* – powiedział obojętnym tonem – to bardzo dyskretna sprawa.

– No, oczywiście, panie... Poirot, prawda? Nikomu nie pisnę ani słowa. Podziwiam drogiego lorda Mayfielda i nie chciałabym, aby miał jakiegokolwiek kłopoty. – Założyła nogę na nogę i zakołysała lśniącym pantofelkiem z brązowej skórki zawieszonym na czubku stopy. Uśmiechnęła się, ale był to sztuczny uśmiech doskonale wyrażający satysfakcję. – Proszę mi powiedzieć, co mogę w tej sprawie zrobić, a zrobię wszystko.

– Dziękuję, *madame*. Wieczorem w salonie grała pani w brydża?

– Tak.

– Potem, jak wiem, wszystkie panie udały się na spoczynek.

– Oczywiście.

– Jednak jedna z nich wróciła po książkę. Czy to była pani?

– Tą, która wróciła pierwsza, byłam ja, tak.

– Co pani ma na myśli, mówiąc „pierwsza”? – spytał szybko Poirot.

– Ja wróciłam zaraz. Potem poszłam na górę i zadzwoniłam na służącą – wyjaśniła pani Vanderlyn. – Przez dłuższy czas nie przychodziła. Znowu zadzwoniłam. W końcu wyszłam na podest schodów, usłyszałam jej głos i zawołałam ją do siebie. Kiedy wyszczotkowała mi włosy, odesłałam ją. Odniosłam wrażenie, że była zdenerwowana, wyprowadzona z równowagi i kilka razy, szczotkując mi włosy, zaplątała w nie szczotkę. Odsyłając ją, zobaczyłam wchodzącą na schody lady Julię. Powiedziała mi, że ona również wróciła na dół po książkę. Ciekawe, prawda? – Pani Vanderlyn uśmiechnęła się szeroko troszkę złośliwym uśmiechem.

Herkules Poirot pomyślał, że jego rozmówczyni nie lubi lady Julii Carrington.

– Czy słyszała pani krzyk służącej?

– Istotnie, słyszałam.

– Nie spytała jej pani o przyczynę?

– Spytałam. Odpowiedziała, że zdawało jej się, że widziała unoszącą się w powietrzu postać w bieli. Cóż za nonsens!

– Jak była ubrana lady Julia tego wieczoru?

– Och, muszę pomyśleć... Tak, miała na sobie białą suknię wieczorową. No tak, to oczywiście wszystko wyjaśnia! Służąca w ciemności wzięła ją za latającego ducha w bieli. Te dziewczęta są takie zabobonne!

– Czy ta służąca jest już długo u pani, *madame*?

– O nie. – Pani Vanderlyn otworzyła szeroko oczy. – Zaledwie od pięciu miesięcy.

– Chciałbym się z nią zobaczyć, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, *madame*.

Pani Vanderlyn uniosła brwi.

– Ależ oczywiście – odrzekła trochę chłodno.

– Chciałbym zadać jej kilka pytań.

– Dobrze.

I znowu ten błysk rozbawienia w oczach.

Poirot wstał i się skłonił.

– *Madame* – powiedział – moje pełne uznanie.

Pani Vanderlyn wydawała się zaskoczona.

– O, panie Poirot, jest pan bardzo miły, ale dlaczego?

– Jest pani doskonale opancerzona i bardzo pewna siebie.

Pani Vanderlyn zaśmiała się trochę niepewnie.

– Nie wiem, czy mam to traktować jako komplement...

– Być może jest to ostrzeżenie – rzekł Poirot – że nie należy życia traktować z taką arogancją.

Pani Vanderlyn zaśmiała się z większą pewnością siebie. Wstała i wyciągnęła rękę.

– Drogi panie Poirot, wierzę w pańskie pełne powodzenie. Dziękuję za miłe słowa.

Wyszła, a Poirot mruknął do siebie:

– Wierzy w moje powodzenie, proszę, proszę! Jednak jest pewna tego, że nie osiągnę sukcesu! Tak, jest tego bardzo pewna. I to mnie gnębi. – Nacisnął ze złością przycisk dzwonka i poprosił pannę Leonie.

Kiedy, wahając się, stała w drzwiach, błędnym pełnym uznania wzrokiem po jej skromnej czarnej sukience, porządnie ułożonych czarnych falujących włosach i skromnie spuszczonej oczach. Skinął głową z aprobatą.

– Proszę wejść, *mademoiselle* Leonie – powiedział. – Proszę się nie bać.

Dziewczyna podeszła bliżej i stanęła przed nim nieśmiało.

– Czy wiesz... – głos detektywa zmienił się nagle – ...że zrobiłaś na mnie dobre wrażenie?

Leonie natychmiast zareagowała. Rzuciła mu szybkie spojrzenie z ukosa i wyszeptwała:

– Pan jest bardzo uprzejmy.

– Dobrze się prezentujesz – przyznał Poirot. – Pytałem pana Carlile’a, czy jesteś ładna, czy też nie, ale odrzekł, że nie wie.

Leonie uniosła pogardliwie brodę.

– Ten typ!

– Świetnie go określiłaś.

– Nie wierzę, żeby kiedykolwiek w życiu przyjrzał się dobrze jakiejś dziewczynie.

– Prawdopodobnie. A szkoda, dużo stracił. Jednak w tym domu jest kilka osób, które mogły dostrzec więcej od pana Carlile’a, prawda?

– Nie rozumiem, co pan ma na myśli...

– Leonie, rozumiesz doskonale. Opowiedz wszystko o duchu, którego widziałaś dziś w nocy. O ile wiem, stałaś i rękoma trzymałaś się za głowę. Wiem, że nie ma mowy o żadnych duchach. Jeżeli dziewczyna zostanie przestraszona, to przyciska ręce do serca albo zasłania usta, aby nie krzyknąć. Jeżeli jednak chwyta się za włosy, to znaczy, że coś zburzyło jej fryzurę, więc pośpiesznie chce się doprowadzić do porządku! A zatem, moja panienko, powiedz prawdę! Dlaczego krzyknęłaś na schodach?

– Ależ, proszę pana, to jest prawda. Ja naprawdę widziałam smukłą postać w bieli...

– Nie obrażaj, proszę, mojej inteligencji. Ta historyjka może być dobra dla pana Carlile’a, ale nie dla Herkulesa Poirota. Czy nie jest prawdą, że ktoś cię

pocałował? I zgaduję, że tym, który cię pocałował, był pan... Reggie Carrington, prawda?

Leonie niezmiészana mrugnęła do niego.

– Cóż z tego? Co jest złego w pocałunku?

– No właśnie co? – spytał uprzejmie Poirot.

– Widzi pan, ten chłopiec stanął za mną i objął mnie w pasie. Naturalnie przestraszył mnie, więc krzyknęłam. Gdybym wiedziała... No, wtedy naturalnie bym nie krzyczała.

– Naturalnie – zgodził się detektyw.

– Ale on zakradł się cicho jak kot. Potem otworzyły się drzwi gabinetu i wyszedł ten sekretarz, a chłopak zniknął na górze, więc zostałam sama jak głupia. Musiałam coś powiedzieć... przede wszystkim dlatego że to... – zająknęła się i dodała po francusku: – *Un jeune homme comme ça, tellement comme il faut!*^[45]

– Wobec tego wymyśliłaś tego ducha?

– Istotnie, proszę pana, tylko to przyszło mi do głowy. Unosząca się smukła postać w bieli. Wiem, że to śmieszne, ale co miałam zrobić?

– Nic. Teraz wszystko jasne. Od początku tak podejrzewałem.

Leonie rzuciła mu prowokujące spojrzenie.

– Pan jest bardzo sprytny i bardzo życzliwy.

– Ponieważ nie chcę, żebyś miała jakieś kłopoty w tej sprawie, może mi się zrewanżujesz i coś dla mnie zrobisz?

– Chętnie panu pomogę.

– Co wiesz o sprawach swojej pani?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Niewiele, proszę pana. Mam oczywiście pewne domysły.

– Czego się domyślasz?

– No, zauważyłam, że przyjaciele pani to zawsze albo wojskowi, albo marynarze, albo lotnicy. Poza tym są jeszcze obcokrajowcy, z którymi czasami widuje się krótko. Jest bardzo atrakcyjna, ale przecież nie będzie tak wiecznie. Teraz to jeszcze interesująca kobieta, nawet dla młodych mężczyzn. Czasem

wydaje mi się, że oni mówią za dużo. Ale to tylko moje domysły. Pani mi się nie zwierza.

– Chcesz powiedzieć, że prowadzi grę na własną rękę?

– Tak, proszę pana.

– Innymi słowy, nie możesz mi pomóc?

– Obawiam się, że nie. Chętnie bym panu pomogła, gdybym potrafiła.

– Powiedz mi, czy twoja pani jest dzisiaj w dobrym nastroju?

– W bardzo dobrym, proszę pana.

– Stało się coś, co sprawiło jej przyjemność?

– Ona jest w dobrym humorze od początku, odkąd tu przybyła.

– Tak, Leonie, ty o tym wiesz najlepiej.

– Tak. Co do tego nie mogę się mylić – przyznała dziewczyna poufałym tonem. – Wiem wszystko o nastrojach mojej pani. Jest w dobrym humorze.

– Triumfująca?

– Tak, to właściwe określenie, proszę pana.

Poirot ze smutkiem pokiwał głową.

– Trudno mi się z tym pogodzić. Jednak czuję, że to jest nieuchronne. Dziękuję, *mademoiselle*, to wszystko.

Leonie posłała mu kokieterijne spojrzenie.

– Dziękuję, proszę pana. Jeżeli spotkam pana na schodach, może być pan pewien, że nie będę krzyczała.

– Moje dziecko – oświadczył Poirot z godnością – ja mam już swoje lata. Czy byłbym zdolny do takiej frywolności?

Leonie odwróciła się, chichocząc.

Poirot spacerował wolno po pokoju. Jego twarz była ponura i wyrażała zaniepokojenie.

– A teraz – rzekł półgłosem – wreszcie lady Julia. Ciekawe, co ona powie...

Lady Julia weszła do pokoju z absolutną pewnością siebie. Głowę miała wysoko uniesioną, usiadła na krześle, które podsunął jej Poirot, i odezwała się opanowanym niskim głosem:

– Lord Mayfield powiedział, że chce pan zadać mi kilka pytań.

- Tak, *madame*. Dotyczyć będą minionej nocy.
 - Słucham.
 - Co się stało, gdy skończyła pani grać w brydża?
 - Mój mąż stwierdził, że jest już za późno, aby zacząć nowego robra, więc poszłam do łóżka.
 - A potem?
 - Zasnęłam.
 - To wszystko?
 - Tak. Myślę, że nie mogę panu powiedzieć nic ciekawego. Kiedy wydarzyło się to... – zawahała się – ...włamanie?
 - Wkrótce potem, jak pani poszła na górę.
 - Rozumiem. A co dokładnie zginęło?
 - Pewne prywatne dokumenty, *madame*.
 - Ważne dokumenty?
 - Bardzo ważne.
- Lekko zmarszczyła brwi i spytała:
- Czy one były... wartościowe?
 - Tak, proszę pani, warte były dużo pieniędzy.
 - Rozumiem.
 - O co chodziło z pani książką? – zapytał Poirot po krótkiej chwili.
 - Z moją książką? – Spojrzała na niego zdziwiona.
 - Owszem. Pani Vanderlyn oświadczyła, że krótko po wyjściu trzech pań pani wróciła na dół po zapomnianą książkę.
 - Tak, rzeczywiście, wróciłam.
 - Wobec tego w istocie nie poszła pani prosto do łóżka po wejściu na górę. Wróciła pani do salonu?
 - To prawda. Zapomniałam o tym.
 - Czy słyszała pani jakiś krzyk, kiedy była pani w salonie?
 - Nie... Tak... Chyba nie.
 - Z pewnością, *madame*, nie mogła pani tego nie usłyszeć, będąc w salonie.
- Lady Julia odrzuciła dumnie do tyłu głowę i powiedziała stanowczo:

– Niczego nie słyszałam.

Poirot uniósł brwi, ale nic nie powiedział.

Zapadło kłopotliwe milczenie. Po chwili lady Julia spytała ostro:

– Co się tu właściwie stało?

– A stało się coś? Nie rozumiem pani.

– Mam na myśli tę kradzież. Z pewnością policja musi coś zrobić.

Poirot potrząsnął głową.

– Policja nie została wezwana. Ja się tym zajmuję.

Wpatrywała się w niego, jej twarz wyrażała wielkie napięcie. Oczy, ciemne i badawcze, zdawały się przeszywać go na wylot. Wreszcie, pokonana, spuściła wzrok.

– Nie może mi pan powiedzieć, co zostanie zrobione w tej sprawie?

– Mogę jedynie panią zapewnić, że poruszę niebo i ziemię.

– Żeby złapać złodzieja... czy odzyskać dokumenty?

– Odzyskanie dokumentów to moje główne zadanie, *madame*.

W zachowaniu kobiety zaszła nagła zmiana. Stała się obojętna, wręcz znudzona.

– Tak – rzekła apatycznie – przypuszczam, że to ważne.

Znowu zapadło milczenie.

– Czy jeszcze coś, panie Poirot?

– Nie, proszę pani. Nie zatrzymuję już pani dłużej.

– Dziękuję.

Otworzył przed nią drzwi. Przeszła obok, nawet na niego nie spojrzawszy.

Detektyw podszedł do kominka i ostrożnie poprzestawiał ozdoby stojące na gzymsie. Stał tam jeszcze w chwili, gdy lord Mayfield wszedł przez oszklone drzwi.

– I co? – spytał.

– Myślę, że wszystko w porządku. Wypadki postępują tak, jak się tego spodziewałem.

Lord Mayfield spojrział na niego z uwagą.

– Jest pan usatysfakcjonowany?

– Nie, nie jestem usatysfakcjonowany. Jestem tylko zadowolony.

– Doprawdy, panie Poirot, ja tego nie mogę powiedzieć.

– Nie jestem takim szarlatanem, za jakiego mnie pan uważa.

– Nigdy nie powiedziałem, że...

– Ale pan tak myśli! Nieważne. Nie obrażam się tak łatwo. Czasami konieczne jest przybranie pewnej pozy.

Lord Mayfield spojrział na niego powątpiewająco i z pewną dozą nieufności. Herkules Poirot należał do ludzi, których nie rozumiał. Chciał nim gardzić, ale coś go ostrzegało, że ten śmieszny mały Belg nie jest taki powierzchowny, na jakiego wygląda. Charles McLaughlin zawsze potrafił poznać się na czyichś zdolnościach.

– No, dobrze – powiedział – jesteśmy w pańskich rękach. Co pan teraz zamierza?

– Czy może się pan pozbyć swoich gości?

– Sądzę, że mógłbym to zaaranżować... Powiedzmy, oświadczę im, że po tej aferze muszę wyjechać do Londynu, a wtedy zapewne zechcą nas pożegnać.

– Doskonale. Proszę spróbować to tak załatwić.

– Nie sądzi pan, że...? – Lord Mayfield się zawahał.

– Jestem zupełnie pewny, że to będzie najlepsze posunięcie.

Gospodarz wzruszył ramionami.

– No, jeżeli pan tak uważa.

I wyszedł z pokoju.

Goście wyjechali po lunchu. Panie Vanderlyn i Macatta zabrały się pociągiem. Carringtonowie – swoim samochodem.

Poirot stał w holu i obserwował serdeczne pożegnanie pani Vanderlyn z gospodarzem.

– Bardzo mi przykro z powodu pańskich kłopotów. Mam nadzieję, że wszystko dobrze się dla pana skończy. Brak mi słów...

Uścisnęła podaną rękę i wsiadła do czekającego rolls-royce'a, który miał ją odwieźć na stację. W samochodzie czekała już na nią pani Macatta. Jej pożegnanie było oschłe i zdawkowe.

Nagle Leonie, która dotąd rozmawiała z szoferem, szybko wbiegła z powrotem do holu.

– W aucie nie ma neseseru mojej pani! – wykrzyknęła.

Rozpoczęły się gorączkowe poszukiwania. W końcu lord Mayfield znalazł go koło starej dębowej skrzyni. Leonie wydała cichy okrzyk radości. Chwyciła elegancki neseser z zielonego marokinu^[46] i szybko wybiegła na zewnątrz.

Pani Vanderlyn wychyliła się z samochodu.

– Lordzie Mayfield! Lordzie Mayfield! – Podała mu list. – Czy może pan wrzucić go do skrzynki? Jeżeli zabiorę go z sobą do miasta, jestem pewna, że zapomnę go wysłać. Niewysłane listy leżą w mojej torebce całymi dniami.

Sir George Carrington spoglądał niespokojnie na kieszonkowy zegarek, otwierając go i zamykając. Był maniakiem na punkcie punktualności.

– Powinni już jechać – mrucał. – Jeżeli będą się tak grzebać, spóźnią się na pociąg...

– Po cóż się tak podniecasz, George? – przerwała mu żona. – Przecież to nie nasz pociąg!

Spojrzał na nią z wyrzutem. Wreszcie rolls-royce ruszył.

Reggie podjechał pod drzwi w morrisie Carringtonów.

– Wszystko gotowe, ojciec.

Służba zaczęła wynosić bagaże Carringtonów. Reggie pilnował pakowania ich do samochodu.

Poirot wyszedł przed frontowe drzwi i obserwował te czynności.

Nagle poczuł czyjąś dłoń na ramieniu. Nad uchem zabrzmiał cichy szept lady Julii:

– Panie Poirot, muszę natychmiast z panem pomówić.

Odwrócił się posłuszny przyciągającej go ręce. Poprowadziła go do niewielkiego pokoju, zamknęła drzwi i podeszła blisko.

– Czy to prawda, co pan powiedział? Że odnalezienie tych dokumentów ma tak wielkie znaczenie dla lorda Mayfielda?

Poirot spojrzał na nią z uwagą.

– Tak, to prawda, proszę pani.

– A jeżeli... Jeżeli te dokumenty wrócą do pana, to może pan zagwarantować, że zostaną zwrócone lordowi Mayfieldowi bez żadnych pytań?

– Nie jestem pewien, czy panią rozumiem.

– Musi mnie pan zrozumieć! Jestem pewna, że pan rozumie! Chcę powiedzieć, że... że złodziej może podrzucić te dokumenty anonimowo.

– Kiedy to może nastąpić, proszę pani?

– Dokładnie w ciągu dwunastu godzin.

– Może to pani zagwarantować?

– Mogę.

Milczał, więc powtórzyła nagląco:

– Może pan zagwarantować, że nie będzie żadnego rozgłosu?

– Tak, mogę to zagwarantować – odrzekł bardzo poważnie Poirot.

– Zatem wszystko zostanie odpowiednio zaaranżowane.

Wyszła szybko z pokoju. Chwilę później Poirot usłyszał, jak samochód odjeżdża.

Przeszedł przez hol i korytarzem dostał się do gabinetu. Znalazł tam lorda Mayfielda. Gospodarz spojrział na wchodzącego detektywa.

– I cóż? – zapytał.

Poirot rozłożył ręce.

– Sprawa skończona, lordzie Mayfield.

– Co?

Poirot powtórzył słowo w słowo rozmowę z lady Julią.

Lord Mayfield patrzył ogłuszony.

– Ale cóż to ma znaczyć? Nie rozumiem.

– Czy to nie jest zupełnie jasne? Lady Julia wie, kto zabrał dokumenty.

– Chyba pan nie myśli, że to ona je zabrała?

– Na pewno nie. Lady Julia może i jest hazardzistką, ale nie jest złodziejką. Jeśli jednak oferuje nam zwrot tych dokumentów, to przypuszcza, że wziął je albo jej mąż, albo syn. Ponieważ sir George Carrington przebywał wtedy razem z panem na tarasie, wszystko wskazuje na syna. Przypuszczam, że mogę odtworzyć wydarzenia minionej nocy dość precyzyjnie. Lady Julia udała się do

pokoju syna i stwierdziła, że jest on pusty. Szukając Reggiego, zeszła na dół, ale nigdzie go nie było. Dziś rano usłyszała o kradzieży i dowiedziała się także, że jej syn oświadczył, iż wrócił prosto do swojego pokoju i już go nie opuszczał. Wiedziała, że to nie jest zgodne z prawdą. Wiedziała też o nim coś jeszcze. Że jest słaby i że gwałtownie potrzebuje pieniędzy. Obserwowała jego fascynację panią Vanderlyn. Teraz wszystko stało się dla niej jasne: to pani Vanderlyn nakłoniła Reggiego do kradzieży planów. Zdecydowała się odegrać swoją rolę. Naciskając teraz na Reggiego, wydostanie od niego dokumenty i zwróci je nam.

– Tak, ale ta cała historia jest zupełnie niemożliwa! – wykrzyknął lord Mayfield.

– Istotnie, to jest niemożliwe, ale lady Julia o tym nie wie. Ona nie wie o tym, że ja, Herkules Poirot, wiem, iż młody Reggie nie ukradł minionej nocy dokumentów, a zamiast tego flirtował z młodą francuską służącą pani Vanderlyn.

– Ależ to wszystko jest skomplikowane!

– Istotnie.

– A sprawa nie jest zakończona!

– Owszem, jest zakończona. Ja, Herkules Poirot, znam prawdę. Nie wierzy mi pan? Wczoraj też pan nie wierzył, gdy powiedziałem, że wiem, gdzie są plany. Jednak ja wiedziałem. Były ukryte w zasięgu ręki.

– Gdzie?

– W pańskiej kieszeni, milordzie.

Przez chwilę panowała cisza.

– Czy pan zdaje sobie sprawę z tego, co pan powiedział, Poirot?

– Tak zdaję sobie sprawę. I wiem, że powiedziałem to do bardzo bystrego człowieka. Od samego początku zastanawiało mnie, dlaczego pan, człowiek będący krótkowidzem, jest pewien, że widział postać wychodzącą przez oszklone drzwi na taras. Chciał pan, aby to wygodne dla pana wyjaśnienie zostało zaakceptowane. Dlaczego? Zacząłem więc po kolei eliminować podejrzanych. Pani Vanderlyn przebywała na piętrze, sir George spacerował z panem po tarasie, Reggie Carrington był z francuską dziewczyną na schodach. Pani Macatta leżała bogobojnie w łóżku, co było słychać, ponieważ spała w pokoju znajdującym się za pomieszczeniem gospodyni, a pani Macatta chrapała! Lady Julia istotnie była w salonie, jednak głęboko wierzy, że złodziejem jest jej syn.

Pozostały więc tylko dwie możliwości: albo Carlile nie położył dokumentów na biurku, tylko wetknął je do własnej kieszeni, ale jest to mało prawdopodobne, gdyż sam pan stwierdził, że mógł je bez trudu skopiować, albo dokumenty leżały na biurku, kiedy pan do niego podszedł, tylko że natychmiast zmieniły miejsce pobytu na pańską kieszeń. Teraz wszystko wydaje się jasne. Upierał się pan przy tym, że widział pan ową tajemniczą postać, jednocześnie twierdził pan stanowczo, że Carlile jest niewinny, i niechętnie wezwał mnie pan na pomoc.

Lord Mayfield słuchał wyjaśnień detektywa z obojętnym wyrazem twarzy.

– Jedna rzecz była dla mnie zagadkowa, a mianowicie motyw. Byłem pewien, że jest pan człowiekiem prawym i uczciwym. Dlatego zaniepokoił się pan, że osoba niewinna może paść ofiarą podejrzeń. Było też zupełnie oczywiste, że kradzież dokumentów mogła łatwo zniszczyć pańską karierę. Dlaczego wobec tego w ogóle doszło do tej niewiarygodnej kradzieży? Wreszcie otrzymałem odpowiedź i na to pytanie. Ten kryzys w pańskiej karierze kilka lat temu, zapewnienie premiera, że nie prowadził pan negocjacji z pewnym mocarstwem. Być może nie była to w pełni prawda, może pozostał jakiś zapis, na przykład w postaci listu, ukazujący, że jednak zrobił pan to, czego się pan wyparł. W zaistniałej sytuacji musiał pan publicznie zaprzeczyć tym faktom. To było konieczne w interesie polityki. Jednak wątpliwe, czy uwierzyłby w to przeciętny obywatel. Gdy odzyskał pan władzę, okazało się, że jakieś głupie echo z przeszłości mogłoby zniszczyć wszystko. Zakładam, że ten list pozostał w rękach rządu jakiegoś obcego państwa, który miał wejść z panem w układy. Chciał na przykład wymienić list na dokumenty zawierające projekt nowego bombowca. Są tacy, którzy odrzuciliby podobną propozycję. Ale pan nie! Pan się zgodził. W tej sprawie pośredniczyła pani Vanderlyn. Przybyła tu po to, aby zorganizować wymianę. Zdradził się pan, przyznając, że nie miał określonego planu zwabienia jej w pułapkę. To sprawiło, że przyczyna zaproszenia jej tutaj przez pana stała się zupełnie nieprawdopodobna. To pan zorganizował tę kradzież. Stwierdził pan, że widział złodzieja na tarasie, aby uwolnić od podejrzeń swojego sekretarza. Nawet gdyby nie wychodził z pokoju, biurko stało wystarczająco blisko drzwi, by złodziej mógł zabrać dokumenty, w czasie gdy Carlile był odwrócony i zajęty przy sejfie. Podszedł pan do biurka, wziął dokumenty i trzymał je przy sobie do chwili, gdy nadarzyła się okazja wsunięcia

ich do neseseru pani Vanderlyn. Przy odjeździe wręczyła panu jawnie ów fatalny list, sugerując, że jest to jej własna przesyłka, którą ma pan zanieść na pocztę.

– Pańskie wyjaśnienie jest bardzo wyczerpujące, Poirot – powiedział lord Mayfield. – Jednak chyba ma mnie pan za kompletnego głupca.

Poirot uczynił szybki ruch ręką.

– Nie, nie, milordzie. Powiedziałem przecież, że uważam pana za bystrego człowieka. Przyszło mi to do głowy w czasie naszej rozmowy minionej nocy. Jest pan doskonałym inżynierem. Istnieją, jak sądzę, pewne subtelne różnice w opisie budowy tego bombowca, różnice ukryte tak zręcznie, że nie sposób się zorientować, dlaczego maszyna nie działa tak, jak powinna. Pewne zagraniczne mocarstwo dostrzeże jednak przyczynę niepowodzenia... I jestem pewien, że nastąpi wielkie rozczarowanie...

– Pan też jest bardzo bystry, Poirot – odezwał się lord Mayfield po chwili milczenia. – Chciałbym pana tylko spytać, czy wierzy pan w jedno: że ja wierzę w siebie. Że ufam, iż jestem potrzebny Anglii w dniach kryzysu, który się zbliża. Gdybym szczerze nie wierzył, że jestem potrzebny mojemu krajowi jak ster statkowi, to nie zrobiłbym tego, co zrobiłem. Ani tego, co mam zrobić: dzięki przemysłnym zabiegom pogodzić sprzeczne interesy, wystrzegając się pomyłek.

– Ależ, lordzie Mayfield – rzekł Poirot – gdyby pan nie potrafił pogodzić sprzecznych interesów, to nie mógłby pan być politykiem!

Przypisy

- [1] *Pour la petite mademoiselle!* (fr.) – Dla małej panienki!
- [2] *Bien, monsieur* (fr.) – Dobrze, proszę pana
- [3] Mora – tkanina jedwabna o falisto mieniącym się deseni (przyp. red.).
- [4] *Parbleu!* (fr.) – Do licha!
- [5] *mon ami* (fr.) – mój przyjacielu
- [6] *carte blanche* (fr.) – nieograniczone pełnomocnictwo
- [7] *Madame la comtesse* (fr.) – Pani hrabino
- [8] *Mon Dieu, quelle femme!* (fr.) – Mój Boże, cóż za kobieta!
- [9] *bien sûr* (fr.) – rzecz jasna
- [10] *incognito* (wł.) – zachowując anonimowość
- [11] George Heppelwhite (1727?–1786) – angielski stolarz i producent mebli, głównie mahoniowych, twórca m.in. lekkich i eleganckich krzeseł z ażurowymi oparciami (przyp. red.).
- [12] Nawiązanie do bajki *Szczęśliwy książę* Oscara Wilde’a (przyp. red.).
- [13] *Walkiria* – druga część dramatu muzycznego *Pierścień Nibelunga* Richarda Wagnera (przyp. red.).
- [14] W rzeczywistości nie jest to fragment starej irlandzkiej ballady, lecz wiersz napisanego przez Agathę Christie i opublikowanego po raz pierwszy w roku 1919 (przyp. red.).
- [15] Nikołaj Rimski-Korsakow (1844–1908) – rosyjski kompozytor epoki romantyzmu, twórca oper (m.in. *Bajki o carze Sałtanie*, z której pochodzi słynny *Lot trzmiela*) oraz utworów symfonicznych i wokalnych (przyp. red.).
- [16] Tournedos – mały, okrągły stek z polędwicy wołowej (przyp. red.).
- [17] *Du tout* (fr.) – tu: Wręcz przeciwnie

[18] *Almanach Gotajski* – rocznik genealogiczny wydawany od 1763 roku w niemieckim mieście Gotha (przyp. red.).

[19] *Ça vous dit quelque chose?* (fr.) – Czy coś ci to mówi?

[20] Wenta – dawniej: kiermasz, z którego dochód przeznaczony jest na cele dobroczynne (przyp. red.).

[21] Binokle – okulary bez uchwytyów na uszy, trzymające się na nosie za pomocą sprężynki (przyp. red.).

[22] *Merci, mon ami* (fr.) – Dziękuję, mój przyjacielu

[23] *Que faites-vous là, mon ami?* (fr.) – Co robisz, mój przyjacielu?

[24] *Voilà!* (fr.) – Proszę bardzo!

[25] *mille tonnerres* (fr.) – do stu piorunów

[26] Agatha Christie nazwała tak bohatera opowiadania *Szmaragd radży* już w roku 1926, czyli 27 lat przed ukazaniem się *Casino Royale*, pierwszej powieści o agencie 007. Ian Fleming wykorzystał imię i nazwisko żyjącej osoby – ornitologa, autora książki, którą czytał, ponieważ hobbystycznie interesował się obserwowaniem ptaków. Powodem zbieżności jest zapewne popularność tego nazwiska (przyp. red.).

[27] Nawiązanie do cytatu z komedii *Jak wam się podoba* Williama Szekspira: „Poszcząc, na kolanach podziękuj Bogu za uczciwą miłość” (tłum. Leon Ulrich) (przyp. red.).

[28] Gwinea – dawna moneta angielska (równa 21 szylingom) bita ze złota pochodzącego głównie z rejonu Zatoki Gwinejskiej w Afryce – stąd jej nazwa (przyp. red.).

[29] *Eagle's Nest* (ang.) – Orle Gniazdo

[30] *Buena Vista* (hiszp.) – Ładny Widok

[31] *Mon Désir* (fr.) – Moje Pragnienie

[32] Peplum (peplos) – długa szata bez rękawów, spięta na ramionach, noszona przez kobiety w starożytnej Grecji (przyp. red.).

[33] *Madame peut être tranquille. Je réussirai* (fr.) – Może być pani spokojna. Uda mi się

[34] *bon courage* (fr.) – powodzenia

[35] Clubfoot – przezwisko oznaczające zdeformowaną stopę nadane postaci Adolfa Grundta, negatywnego bohatera kilku powieści sensacyjnych Valentine’a Williamsa (1883–1946), ze względu na jego fizyczną ułomność (przyp. red.).

[36] Desmond i Francis Okewoodowie – postacie fikcyjne, bohaterowie kilku powieści Valentine’a Williamsa, agenci brytyjskich tajnych służb walczący z groźnym wrogiem o przezwisku Clubfoot (przyp. red.).

[37] Witriol – dawniej: stężony kwas siarkowy (przyp. red.).

[38] Hugh Bulldog Drummond – detektyw, patriota, bohater i dżentelmen, weteran I wojny światowej i poszukiwacz przygód, postać z kilkunastu powieści H.C. McNeile’a. Jego zaciekle wrogiem był Carl Peterson (przyp. red.).

[39] *Gott!* (niem.) – Boże!

[40] Pikieta – jedna z najstarszych gier karcianych dla dwóch osób pochodząca z Francji. Obowiązujące zasady ustalił Charles Picquet i od jego nazwiska wzięła się nazwa gry (przyp. red.).

[41] *Du tout!* (fr.) – Wcale nie!

[42] *C’est plus simple que ça* (fr.) – To musi być łatwiejsze

[43] *Tout de même* (fr.) – Mimo to

[44] *Who’s Who* – tytuł brytyjskiego leksykonu zawierającego notki biograficzne znanych osób, którego pierwsze wydanie ukazało się w roku 1849 (przyp. red.).

[45] *Un jeune homme comme ça, tellement comme il faut!* (fr.) – Taki młody człowiek, z ogładą!

[46] Marokin – miękka skóra kozła specjalnie wyprawiona i tłoczona (przyp. red.).

✦ Królowa kryminału w wakacyjnej odświeżeniu!

Sięgnijcie po wyśmienitą kolekcję gorących opowiadań, które rozpalają emocje do czerwoności.

Latem bowiem wraz ze wzrostem temperatury rośnie też potencjał zła. Od Kornwalii po Riwierę Francuską, od delfickich świątyń po angielskie wiejskie domy słynne postaci stworzone przez Christie niestrudzenie rozwiążą najbardziej skomplikowane zagadki kryminalne.

Gdy praży letnie słońce, warto rozłożyć leżak, otworzyć książkę i śledzić nieprawdopodobne zwroty akcji, które serwuje niedościgniona Agatha Christie.



WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

www.publicat.pl

ISBN 978-83-271-6462-9

EAN 9788327164629

U.WD.KKH025.1.01.01